MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 10 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425–3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 6 (333) • ROK XXIX • CZERWIEC 2023



UNIVERSITAS
AXIS MUNDI

ISSN 1425-3917 06
9 771425 391707

fot. A. Migdał-Drost



Z okazji 170 urodzin Juliana Fałata Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej przygotowało cykl ekspozycji pod wspólnym hasłem Magistrae Artis w Fałatówce. Na parterze bystrzańskiej willi można oglądać wystawę „Kochany Mistrzu! Jakub Glasner". Jest to prezentacja prac akwarelowych Jakuba Glasnera (1879–1942) – malarza, grafika, rysownika i akwarelisty, przyjaciela Juliaa Fałata.
Kolejną ekspozycją w Bystrej będzie pokaz zatytułowany „Kochany Mistrzu! W listach i obrazach". Znajdą się na nim prace siedmiu artystów czynnych na przełomie XIX i XX w. oraz ich korespondencja z Julianem Fałatem z lat 1896–1929. Z okazji jubileuszu bielskie Muzeum Historyczne przygotowało też wystawę zatytułowaną „Najdroższy Solenizancie! – w 170. urodziny malarza". Prezentowane są na niej drobne ołówkowe i akwarelowe szkice artysty. Na zdjęciu fragment ekspozycji stałej pt. Julian Fałat – malarz i kolekcjoner w Fałatówce.

Szczegóły str. 32

fot. archiwum Teatru Muzycznego w Łodzi



19 maja w Teatrze Muzycznym w Łodzi miało miejsce uroczyste wznowienie „Skrzypka na dachu" w reżyserii i choreografii Jana Szurmieja. Dyrekcja teatru postanowiła w ten sposób uczcić jubileusz 40-lecia polskiej prapremiery tego słynnego musicalu. 5 maja 1983 roku Maria Fołtyn wyreżyserowała po raz pierwszy ten spektakl w Łodzi, a w roli Tewjego Mleczarza obsadziła słynnego polskiego basa Bernarda Ładysza, urodzonego w Wilnie w 1922 roku, a zmarłego 3 lata temu. Na zdjęciu scena zbiorowa z tegorocznego spektaklu.

Szczegóły str. 47

fot. Artur Wacławek



19 maja w Teatrze Rozrywki w Chorzowie miała miejsce polska prapremiera musicalu „Tootsie" Davida Yazbeka i Roberta Horna. Spektakl wyreżyserowała Magdalena Piekorz. Rozmach realizacyjny „Tootsie" jest zaiste imponujący. Częste zmiany sytuacji scenicznych możliwe są dzięki obrotowej scenie, co gwarantuje utrzymanie żywego tempa komedii. Scenografia Grzegorza Policińskiego i reżyseria świateł Pawła Murlika podkreślają amerykański rodowód musicalowej opowieści Broadwayu. Na specjalne wyróżnienie zasługuje choreograficzna oprawa spektaklu. To dzieło Jakuba Lewandowskiego, wybitnego twórcy wielu autorskich przedstawień teatru tańca. Na zdjęciu scena z „Tootsie" w chorzowskim Teatrze Rozrywki.

Szczegóły str. 80



Od lewej: Wojciech Kloska, Dariusz Tomasz Lebioda, Marian Kisiel

19 maja br. prof. Marian Kisiel otrzymał – w uznaniu zasług dla kultury polskiej – Nagrodę Artystyczną im. Klemensa Janickiego *Ianicius*, przyznaną przez bydgoskie środowisko literackie. Spotkanie miało charakter kameralny i było połączone z rozmową na temat poezji współczesnej. Gratulujemy!

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 6 (333). Rok XXIX. CZERWIEC 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA
Biblioteka Śląska

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnego

TOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

TOMASZ KOWALSKI
Redaktor techniczny

KATARZYNA DZIUBAŁA
Korekta

BOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA-GĘSIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
ZBIGNIEW KADŁUBEK
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK

ADRES REDAKCJI
40–036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.com

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61–065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:
Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40–036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120
Wpłat należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk"
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna –30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425–3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.com

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny"
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Krystian Węgrzynek* KOREZ TO TEATR WOLNOŚCI. ROZMOWA Z MIROSŁAWEM NEINERTEM, DYREKTOREM TEATRU KOREZ
7 *Piotr Skowronek* KATASTROFA SPOTKANIA? ROZMOWA Z PROFESOREM KRZYSZTOFEM WIECZORKIEM
12 *Piotr Zaczkowski* LĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (III)
16 *Michaił Szyszkin* NIEMIECKA LEKCJA DLA ROSJAN. TOMASZ MANN I WOJNA W UKRAINIE *Przełożył Maciej Skrzypecki*
22 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (11)
26 *Marian Kisiel* PORTRETY HUMANISTÓW. PROFESOR ALEKSANDER NAWARECKI
32 *Teresa Dudek Bujarek* FAŁATOWSKIE JUBILEUSZE W MUZEUM HISTORYCZNYM W BIELSKU-BIAŁEJ
42 *Stefan Gierlotka* ŚLĄZACY ZASŁUŻENI W ROZWOJU ELEKTROTECHNIKI
50 *Zbigniew Lubowski* UNIWERSYTECKIE PĄCZKOWANIE. ROZMOWA Z PREZYDENTEM BIELSKA-BIAŁEJ JAROSŁAWEM KLIMASZEWSKIM
53 *Wojciech Lipowski* MIŁOŚĆ NA SKRAJU SZALEŃSTWA
55 *Weronika Górska* STRASZYDŁO DA SIĘ LUBIĆ
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* „ENDYMION" ASNYKA
60 *Monika Wiszniowska* ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA ŚWIAT I WOBEC ŚWIATA. SYMPOZJUM W 20 ROCZNICĘ ŚMIERCI JANA JÓZEFA SZCZEPAŃSKIEGO
62 *Joanna Kulczyńska-Kruk* ZEGADŁOWICZ NA NOWO
73 *Jacek Okoń* KORNELIA DYGACZ (1946–2023)
74 *Weronika Górska* JAZZ JEST PRETEKSTEM
76 *Tomasz Sapota* KOLONIZACJA UNIWERSYTETU
78 *Aleksandra Niewiara* UPADEK DEMOKRACJI UNIWERSYTECKIEJ
80 *Zbigniew Lubowski* EKSPLOZJA SCENICZNEJ ENERGII

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

33 JULIAN FAŁAT – MALARSTWO
69 GALERIA: LECH KOŁODZIEJCZYK – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

3 WIERSZ NA OTWARCIE *Józef Baran* INWOKACJA
14 *Józef Baran* WIERSZE
19 *Jakub Jakubik* PROZA
38 *Juliusz Wątroba* PROZA
48 *Dorota Nižyńska* WIERSZE
56 *Wielimir Chlebnikow* WIERSZE *przełożył Marian Kisiel*
63 *Mariusz Jochemczyk* WIERSZE

FELIETONY

30 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* PROFESOR JAN KAZIMIERZ ZAREMBA
31 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* ZŁOTE ŚCINKI I ODCINKI
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA *Jan Miodek* TOPIĆ W PIECU
37 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* OBSERWATORZY
41 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* ZAPOMNIANA PIEŚŃ
47 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* NIEŚMIERTELNY „SKRZYPEK NA DACHU"
75 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* UWAGI O GŁUPOCIE

KSIĄŻKI

64 *Jan Cofałka* TRZEBA IŚĆ STALE DO PRZODU
66 *Andrzej Juchniewicz* PŁYNĄĆ SZEROKO
67 *Marek Pacukiewicz* MIARA KULTURY
68 *Wiesława Konopelska* TWÓRCA W PĘTLI CZASU

Na okładce:
Julian Fałat, Kwitnące sady w Bystrej, 1915, wł. Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej

Tylna strona okładki:
Lech Kołodziejczyk, Axis Mundi VII

Pismo wspierane finansowo przez:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Województwo Śląskie
KATOWICE dla odmiany



Czwarta nad ranem

1

Uniwersytet jako marzenie. — Najtrudniej jest pisać o miejscu, z którym jest się związanym tak mocno, że trudno sobie wyobrazić siebie poza nim. JE Ambasador Wilczek, kiedy kończyliśmy studia polonistyczne w roku 1986, z rozpaczą mówił do mnie: „Jeżeli mnie nie zatrudnią, co będę robił, przecież nic innego nie umiem". Wszyscy tak myśleliśmy, ale niewielu była dana szansa znalezienia się w świecie akademickim, który wydawał nam się wstąpieniem na ołtarze nauki. Część z nas doświadczyła owego wyniesienia, dla wielu ta obecność w sanktuarium wiedzy okazała się niedostępna. Musieli pójść do szkoły. Może było to lepsze? Ja najpierw zostałem zatrudniony na półtora roku w sekretariacie germanistycznym, a potem powołano mnie do Ludowego Wojska Polskiego (na rok). Wróciłem na uniwersytet bez kompleksów, ale z radością, że nie byłem chowany pod profesorskim kloszem. I odtąd mogłem mówić, co chcę, nawet wbrew tym, którzy chcieliby, żebym mówił inaczej. I tak od niemal 40 lat. A mój Uniwersytet ma lat 55.

2

Uniwersytet jako udręka. — Czy ktokolwiek kiedykolwiek z nas przypuszczał, że uniwersytet przestanie być miejscem tworzenia zespołów, w których myśl burzy się, jak piana w młodym winie, że będzie panować w nim takie samo odliczanie godzin jak w zakładzie produkcyjnym, że ludzie będą podobnie znerwicowani, jak w korporacji? Doświadczaliśmy tego przez lata, a przecież – buntując się przeciw temu w komunizmie i w początkach III RP – tworzyliśmy zespoły, koła, sekcje, by nie odejść od romantycznej idei, że wspólnota jest wtedy, kiedy tworzy się w spięciu myśli, w głupim czasami, ale uporczywym dążeniu do jasności. Ileż straciliśmy czasu na takim – powiedziałby ktoś – bezsensownym traceniu czasu. Ale dla nas to nie był czas stracony. Niech zaświadczą o tym nauczyciele, nasze uczennice i nasi uczniowie, którzy także tracą czas „bezsensownie", po to tylko, by żadnej uczennicy, żadnego ucznia nie pozostawić samotnym.

3

Uniwersytet jako rak pustelnik i ukwiał. — Zawsze mnie pasjonowała ta symbioza raka i ukwiała. Początkowo myślałem, że rak jest filantropem. A dzisiaj myślę, że to my nosimy na grzbiecie instytucję uniwersytetu. Ten ukwiał przygniótł raka.

4

Uniwersytet jako rozmowa. — Uśmiecham się, kiedy słyszę zapewnienia o wspólnocie. Tak nadwerężonego słowa dawno nie słyszałem. Wspólnota jest rozmową. A jak rozmawiać z tymi, którzy nie mogą rozmawiać, bo suweren został zredukowany do nieobecności?

5

Uniwersytet jako dostojeństwo. — Najtrudniejsze z wyznań. Ilu dzisiaj powie za prof. Kazimierzem Twardowskim z jego wykładu, gdy odbierał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Poznańskiego: „ślubuję, że – do ostatniego tchnienia – czynić będę wszystko, co w mej mocy, *quo magis veritas propagetur et lux eius, qua salus humani generis continetur, clarius effulgeat*". — K. Twardowski, *O dostojeństwie uniwersytetu*, Uniwersytet Poznański, Poznań 1933, s. 22.

6

Uniwersytet jako bajeczka. — Rachela Bojmwoł, *Uczona mysz* (przekład mój z rosyjskiego). — „Lubiła książki i ciszę, jak każdy uczony. A w bibliotece było cicho i mnóstwo książek. Wśród ciągnących się wzdłuż ścian i do sufitu półek, wypełnionych tomami, wydawała się prawie pozbawiona ciała. Dzień i noc wgryzała się w pokłady wiedzy. Była w tym niezmordowana. — Lecz pewnego razu jej samotność została zakłócona. W bibliotece zaczął się bowiem pojawiać człowiek z żyletką w ręce. Wcisnąwszy głowę w ramiona, kartkował książki i tu i tam wycinał jakieś nazwiska, jakieś fotografie. — Z początku mysz bała się intruza, ale potem do niego przywykła. Nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Ostatecznie oboje wykonywali tę samą pracę. Byli nie myszką i człowiekiem, ale myszą i człowieczkiem, ponieważ z czasem ona zmieniła się w zdrową mysz, a człowiek, choć ta jego praca dawała mu zarobek, podupadł i zmienił się w człowieczka. — Być może gryzło go sumienie? — Skąd to wiedzieć!".

7

Uniwersytet jako biblioteka. — Biblioteka jest twoim nieporządkiem. Kiedy każą ci poukładać książki na półkach, wedle kształtu, koloru okładek lub wydawanych serii, pogubisz się. Mierzi cię nierówność, niejednakowość, różnorodność formatów. Wszystko może cię mierzić. Po to przyszedłeś na uniwersytet, żeby Cycerona w oryginale łacińskim wykładać na polonistyce, a Pitagorasa cytować na wykładzie o kwadratach przyprostokątnych w języku greckim. Niech nazwą cię oryginałem, szaleńcem lub idiotą, ale właśnie po to jest uniwersytet, abyś mógł być oryginałem, szaleńcem lub idiotą. Zauważ, że w swojej bibliotece jesteś w tych trzech osobach i nikt nie robi ci z tego powodu wyrzutów. Wchodząc w mury uniwersytetu ze swoją pochachmęconą biblioteką powinieneś odnaleźć piękno różnorodności i wielości w jednym. – Szaleńcze! Twój szef – przez swoich heroldów idei różnorodności i wielości w jednym – skieruje cię do rzecznika dyscypliny. Bo przecież w uniwersytecie (bibliotece szaleńców i oryginałów) niektórzy pragną porządku!

8

Uniwersytet jako miejsce umarłych. — Pamiętam o nich, żegnałem ich. Słowem, obecnością. Bolesław Leśmian pisał, że trup jest zawsze sam z otchłanią, tylko on i ona. Pretensji, jakie się we mnie odłożyły wobec tych, którzy nie przybyli, nie powiedzieli ani słowa, zlekceważyli śmierć, nie umiem zważyć, ani policzyć. Najgorszym zlekceważeniem zmarłego jest w administracyjnym nekrologu byle jakie wyliczenie jego zasług. A przecież śmierć jest zawsze jedna, zawsze indywidualna, tylko moja (twoja).

9

Uniwersytet jako bunt. — Wielu zapomniało, że uniwersytet jest społecznością zbuntowanych. Obserwując „piastunów" uniwersyteckiej trzódki (sam kiedyś byłem jednym z nich), chciałbym im o tym przypomnieć, nie dlatego, iżby kwestionować ich oddanie, ale dlatego, by otworzyć ich na młodość, na czas, kiedy – wchodząc do uniwersytetu – jeszcze nie stali się figurą ZZ, bohatera z powieści Nałkowskiej. Uniwersytet to bunt przeciwko instytucji, którą on sam reprezentuje; to bunt przeciwko władzy, która jest iluzoryczna i na chwilę; to bunt przeciwko konformizmowi, jakiemu ulegają wszyscy zwiedzeni obietnicą zwierzchnika. Uniwersytet zawsze będzie buntem, bo tylko to uzasadnia jego istnienie.

10

Myśl miesiąca. — „Pracownik naukowy to taki człowiek, do którego zawodowych obowiązków należy brak posłuszeństwa w myśleniu. Na tym polega jego służba społeczna, aby pełniąc swe zawodowe czynności nie był w myśleniu posłuszny. Pod tym względem nie wolno mu być posłusznym ani synodowi, ani komitetowi, ani ministrowi, ani cesarzowi, ani Panu Bogu" (Stanisław Ossowski, *Taktyka i kultura*, „Przegląd Kulturalny" 1956, nr 13).

Marian Kisiel

Inwokacja

niech kto mysz
nie ryczy jak lew
kto żółw
nie udaje gazeli
kto gęś
nie zazdrości bielikowi
że nad górami się bieli
kto mucha
niech brzęczy Bogu do ucha
i przypadkiem nie liczy
na trel słowiczy
„wszak nie doleci słońca sowa"
ale z księżycem może być na ty
tam zaś
„gdzie koń pociągnąć nie zdoła"
osioł wkracza do gry

i niech pszczoła
pozostanie pszczołą
wśród płatków róży niech się kręci
bez niej byłoby
na tej Ziemi
o wiele więcej
śmierci

niech każdy
będzie nie Kimś
lecz sobą
i niech się nie puszy

bo w każdym
ta sama stwórcza
iskra
tli się
na dnie duszy

i niechaj Baran
Baranem
pozostanie na amen
nie wycofuje się z Barana rakiem
by być Miłoszem Szymborską
czy broń Boże
Barańczakiem

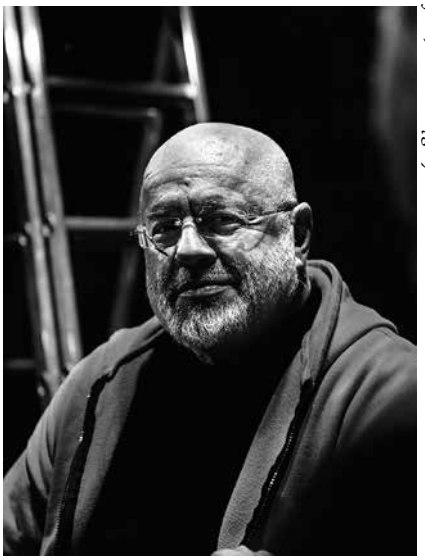
bo niewysoko
niedaleko
dofrunie

poezja
strojna
nawet w cudne
lecz w piórka cudze



Korez to teatr wolności

Z **MIROSŁAWEM NEINERTEM**, dyrektorem Teatru KOREZ, rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK



fot. Joachim Węgrzynek

Teatr Korez i jego aktorzy nie mogą chyba narzekać na brak nagród dla zespołu i laurów indywidualnych. Nagroda Korfantego, przyznawana przez Związek Górnośląski, będzie kolejna na półce?
I tak, i nie. My sobie szczególnie cenimy nagrody, które dotyczą tych śląskich spektakli. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że taka identyfikacja ze śląskością określa naszą tożsamość – nas jako teatru, i nas jako ludzi. Bo nie możemy przecież działać w próżni, a poza tym większość aktorów jest Ślązakami, więc dlaczego nie? Dla nas to wielkie wyróżnienie, choć oczywiście wiemy, że wynikało z realizacji *Cholonka*, który ośmielił innych twórców, żeby robić spektakle po śląsku.

Gdybyśmy na chwilę wrócili do czasów wcześniejszych. Przecież przed premierą *Cholonka* (2004) Korez był teatrem Schaefferowskim i nagle pojawia się Janosch. To jednak był inny teatralny klimat…
Jak Schaeffer, Mrożek i Ionesco, to potem i *Cholonek* Janoscha. Zdecydowanie groteskowy.

No tak… Do tej klasyki śląska porcja groteski…
Jednak jakby się zgadzało, prawda? A poza tym ja uważałem, że teatr powinien dla nas być przede wszystkim zabawą. Dopóki mi to sprawia frajdę, to chętnie próbuję różnych gatunków teatralnych. Robiliśmy przecież dwa spektakle śpiewane w teatrze, wystawiliśmy komedię kryminalną, więc to daje taki fajny *flow*. I pewnego razu pomyśleliśmy z Robertem Talarczykiem o *Cholonku* i powiedzieliśmy: „Tak. Zróbmy to!"

Właśnie o to chcę zapytać. Bo kiedy się śledzi historię powstawania śląskich spektakli, to się widzi, że *Cholonek* powstał w okresie, gdy się nie opowiadało naszych historii teatrze. Wówczas jedynym kontekstem, był chyba tylko serial *Święta wojna*, jedyna historia, która wówczas pokazywała Ślązaków w skali ponadregionalnej.
To opowieść wprawdzie trochę tandetna, ale nie odbierajmy jej tego, co wtedy wnosiła, bo przecież nie można jej potępić zupełnie – ludzie różne mają upodobania.

Ale przygotowywaliście *Cholonka* tak, by był odpowiedzią na losy Bercika?
Nie… Może trochę, gdzieś na trzecim planie.

Bo o tym mi tak mówili Grażyna Bułka i Robert Talarczyk.
Oczywiście, bo nas irytowało, że ta opowieść jest taka krupniokowa. Ale to się wzięło i z egoizmu. Zapytaliśmy się z Robertem, co chcielibyśmy teraz na scenie pokazać. On mówi: „Ja bym chciał *Cholonka*", a ja mu na to „O, Jezu! Ja bym też chciał *Cholonka*". To była dla nas zaczytana książka. Umierałem ze śmiechu, ile razy to czytałem…No i powiedzieliśmy sobie, że to robimy. Ale w teatrze – tak jak w innej dziedzinie – najpierw mówi się, że robimy, a potem się to odkłada w jakieś bliżej nieokreślone miejsce. I nagle się dowiedzieliśmy, że to mają robić w Teatrze Śląskim. W dodatku adaptację miał robić sam Henryk Waniek. Od razu wzięliśmy się ostro do roboty, zrobiliśmy *casting*, próbę, powiadomiliśmy prasę… Nie wiadomo, jakby to u nich wyszło, ale dla nas był to przyspieszacz zdecydowany. Myśmy wykonali te ruchy przed wakacjami, bo premiera była w październiku. A jeszcze ze *Scenariuszem* Schaeffera wyjechaliśmy do Stanów i tam siedzieliśmy chyba ze trzy tygodnie…I zaraz po powrocie robiliśmy próby, codziennie; bardzo sprawnie to szło. Choć ciągle dręczyła nas myśl, że Ślązacy są tutaj *odrażający, brudni i źli*. I na początku były takie głosy „*Nie, Ślonzoki takie nie są. Tukej wszyjscy majom czyte łokna . Zawsze wszystko jest wypucowane. A kożdy dzień czytają*…

…poezja Eichendorffa!",
(*śmiech*) i koniecznie przy *kachloku*! Ale jak Kutz to zobaczył i zapiał z zachwytu, to już poszło na całego. I wtedy wszyscy chcieli, żeby to u nich grać – jeździliśmy z tym po całym Śląsku. Taki był ten początek.

Początek, ale nie koniec! Godne podziwu jest to, że w repertuarze prywatnego Teatru Korez znajdują się w tej chwili aż trzy śląskie spektakle. Oprócz *Cholonka, Mianujom mie Hanka* i *Weltmajstry*. A przecież nie zdominowały one całej oferty teatru.
Masz rację. Gramy po śląsku, ale nie chcemy się też stać jakimś zakątkiem muzealnym, gdzie się gra tylko śląskie sztuki i wspomina, *jak to pierwyj było*. Zresztą *Weltmajstry* są odpowiedzią na to, że się nie zamykamy w takim getcie śląskim. My jesteśmy teatrem, który sam się utrzymuje, bo nie dostajemy żadnych pieniędzy. Musimy zarabiać, więc gramy rzeczy komediowe. Staramy się, żeby to nie było tylko farsowe, ale żeby i w tym było jakieś przesłanie. A ponieważ aktorzy są świetni, więc jakoś się nam to udaje.

Udaje się też znaleźć dobry tekst.
Tak. Już ci kiedyś mówiłem, że ja tej *Hanki* szukałem bardzo długo. Bo jak byśmy zrobili bez *Cholonka,* coś, co jest poniżej poziomu *Cholonka*, to pewnie i tak zebralibyśmy pochwały. Ale sami sobie ustawiliśmy poprzeczkę…

Na 2,38?
Na 2,38. I potem zastanawialiśmy się, jak to przeskoczyć. *Hanka* pozwoliła się odpowiednio wybić i to przeskoczyć.

Wracając do Waszego repertuaru… Jesteście teatrem rozrywkowym? I czasami śląskim?
Teatr Korez jest teatrem wolności. Zawsze mi chodziło o taką przestrzeń wolności, gdzie zajmuję się tym, co chcę i na co mam ochotę. Jak robiliśmy te pierwsze sztuki Schaeffera, to on nas tak trochę uwięził. Bo sztuki były dobrze przyjmowane, graliśmy je w wielu miejscach, dostawaliśmy nagrody. Świetnie, tylko nie można się też zamknąć w Schaefferze. Dopiero jak zrobiliśmy *Emigrantów* Mrożka, to ja się przestałem martwić, co będziemy grać potem. Coś nam wpadnie, to zagramy. Potem była *Lekcja* Eugene'a Ionesco i poszło. Dlatego nie chcę się ograniczać. Nie wiem, co mi wpadnie do głowy. Jedno wiem na pewno: nie szanuję teatru, który nie szanuje publiczności – eksperymentuje sobie, nie mając w ogóle publiczności na uwadze.

Jest to potrzebne, ale ja czegoś takiego nie chcę robić.

Tak sobie teraz pomyślałem, jak byście zagrali *Czekając na Godota* na przykład?
Na pewno zrobilibyśmy to bardzo komediowo, ale i zdecydowanie gorzko. Przecież bohaterami są klauni.

Zresztą i podobnie byłoby z Czechowem?
Czechow to zresztą jakiś błąd większości polskich realizacji, bo jest grany straszliwie smętnie i nostalgicznie. A to przecież ma wymiar komediowy. To są komedie.

Graliście przecież jednoaktówki Czechowa…
Tak, przy ciągłych wybuchach śmiechu… No ale przecież *Wiśniowy sad* czy *Trzy siostry* mają duży ładunek komediowy. I dopiero wtedy, gdy zderzymy z nią nostalgię i smutek, dostajemy groteskę.

I w tym tkwi chyba tajemnica waszego mistrzostwa. Widać to i w *Cholonku*. Śmiech zamiera na ustach.
Tak. Zawsze to czujemy w końcówce – wtedy jest taka kamienna cisza na widowni.

To na wszystkich robi wrażenie. Nawet na Janoschu, który *Cholonka* zobaczył na waszej scenie… A z Alojzym Lyską i Zbigniewem Rokitą, to i nawet mogliście współpracować…
Tak, to jest niesamowite. Trzech żyjących autorów. Janosch w ogóle nie wiedział, że to zrobiliśmy; dowiedział się dopiero wtedy, jak już spektakl był gotowy. I dla niego to był szok, bo on się nie spodziewał, że ktokolwiek i kiedykolwiek wystawi *Cholonka* na scenie. Dla mnie było to czymś niesamowitym patrzeć na jego reakcje. Na to, jak patrzy na postacie, które wymyślił, które tu się nagle zmaterializowały.

A pan Alojzy Lysko?
Pan Alojzy w ogóle nie ingerował. Powiedział: „Panie Mirku! A niech pan z tym zrobi, co chce". Może sobie nie zdawał sprawy, jaka jest siła teatru? Że będzie jak na spotkaniach, ludzie będą zaciekawieni, ale posłuchają i wyjdą? A tu nagle otrzymujesz cios od aktora i leżysz. I Grażyna zrobiła to bezbłędnie, a jego to też powaliło na plecy.…Bo to był gotowy tekst. Ja nie wiem, czy myśmy tam więcej niż dwa zdania wykreślili.

Przepraszam, ale wykreśliłeś bardzo ważną rzecz – tytuł. Z opowiadania *Jak Niobe…Opowieść górnośląska* powstał spektakl *Mianujom mie Hanka*. To przesunięcie ma chyba znaczenie?
Ma wielkie znaczenie, ponieważ chcieliśmy Śląsk pokazać nie przez Niobe, ale przez Hankę. To znaczy nie przez uwznioślоną tragedię, ale przez losy prawdziwej, żywej dziewczyny.

Ty chyba często zmieniasz tytuły?
(*śmiech*) Ja jestem mistrzem zmiany tytułów. Bo od razu słyszę, że coś mi nie gra. Na przykład *Wiwisexia.* Najpierw wymyślił Jachimek, że to się będzie nazywać *Gabinet krzywych luster*. A *Kolega Mela Gibsona* miał się nazywać *Rola*. A ja go pytam: Jaka rola? Pole? Rola aktorska? Rola-Żymierski?

Że niby rola Rzepki?
No tak… A tytuł ma przecież powodować, że widz musi być od razu zaskoczony i zapytać, co to jest? O co chodzi?... A ten tytuł? Masz rację, ja podświadomie chciałem w przypadku tekstu Lyski, żeby tę ważność ściągnąć za nogi w dół.

I on się chyba z tym pogodził?
Tak. Zresztą to jest wyjątkowy dla Śląska człowiek. Niezwykły.

I dla mnie również… A jak było ze sztuką Zbigniewa Rokity? Przyniósł gotowy tekst? Pracowaliście nad nim? Tytuł był inny?
Tytuł był zupełnie inny – już nie pamiętam. .. A Zbyszek przyniósł gotowy tekst. Siedział na każdej próbie, ale chyba założył z góry, że tekst w czasie pracy będzie się zmieniał. Wycinaliśmy. Dopisywał. Mówię mu: „Zbyszek! Napisz mi jakiś fajny monolog". No i on mi napisał ten monolog o ojcu alkoholiku, który go woził tramwajem. Niby zabawny, ale przecież nieoczywisty. Zresztą przy każdej dobrej sztuce jest tak, że teksty wymyślane przez aktorów na próbach, mieszają się z tekstem autora i już potem nie pamiętasz, kto to wymyślił.

Ale przy sztukach według prozy Janoscha i Lyski trzymaliście się blisko tekstu.
No tak. Przecież trzeba było dokonać adaptacji powieści Janoscha i Robert zrobił to bezbłędnie.

Tak – obaj nauczyliście Melpomenę mówić po śląsku. Jeszcze raz skwapliwie to przyznaję…A wracając do *Weltmajstrów*…
Mnie te *Weltmajstry* niezwykle ucieszyły. Bo było to zejście do tego, co ja najbardziej kocham w śląskiej kulturze, czyli do takiego absolutnie osobnego od polskiego poczucia humoru. Polski humor jest albo chamski, wychodzący z dołów społecznych, albo niezwykle wyrafinowany, kreowany przez inteligencję. A śląski humor jest gdzieś pomiędzy. On jest taki z Czech pożyczony. I u Zbyszka te opowieści są wszystkie, cholera, czeskie! Każda scena zaczyna się od opowieści o jakimś wujku. Jest i *ujek Richat, kery bardzo sie interesowoł pilkom nożnom włoskom* i nagrywał mecze. I ten, co oglądał Concordię Knurów i wymyślił, że zrobi własną drużynę, *a że mieszkoł w willi, to nazwoł ta drużyna „Aston Villa Knurów"* (śmiech) Z Hrabala wzięte wszystko.

Tak, unosi się nad tym duch wuja Pepina…A jeszcze ten monolog Barbary Lubos na koniec!
Tak, to też Zbyszek pięknie napisał. Metafizyka piłki nożnej. Że *ino som* dwie rzeczy, które trudno opisać słowami: tajemnica *fuzbalu* i tajemnica cielesności, opisana przez kaukaskiego poetę: *że bohater wloz na dyskoteka w tacie i wyloz w mamie*. I taka chwila cisza, jak to Basia mówi i…dopiero po chwili przechodzi to zdanie przez publiczność.
Stworzyła się taka wyrazista społeczność aktorów grających po śląsku: i na Placu Sejmu Śląskiego i na rynku: Talarczyk, Bułka, Lubos, Chojnacki...
Tak. A sukcesy Teatru Śląskiego to zasługa Roberta. Te wszystkie festiwale, najlepsi reżyserzy w kraju, kolejne nagrody… Nie było lepszego dyrektora tego teatru niż Talarczyk. Niestety, ludzie docenią to dopiero po latach.

Ale *Piąta strona świata* była grana jeszcze za dyrekcji Bradeckiego, chociaż reżyserowana już przez Roberta Talarczyka.
I wtedy właśnie powstał *Polterabend*, no niemal kopia *Cholonka*.

Nie zgodziłbym się. Powiedziałbym raczej, że był inspirowany…
Dobrze, mocno inspirowany. Tak zresztą jak film Kidawy *Grzeszny żywot Franciszka Buły*.

Tak. I tu bym akurat mówił o kopiowaniu *Cholonka*.
Tak. Tam nawet nie ma słowa o tym, że film jest inspirowany prozą Janoscha.

Powiedzmy sobie zresztą, że to decyzja o publikacji polskiego tłumaczenia *Cholonka* miała być antidotum na patos śląskich filmów Kutza. I powieść Janoscha miała być sprowadzeniem Ślązaków do takiego akceptowalnego poziomu plebejskości
Zauważ, że my wprawdzie piszemy, że autorem przekładu jest Leon Bielas i odprowadzamy ten ZAIKS, ale tak naprawdę to jest zrobione przez Roberta, przez aktorów, na próbach. Ten śląski był niedoskonały, ale był żywy, normalny, tak jak aktorzy potrafili, tak jak u siebie w domach mówili. A Bielas to przełożył na polski. Tam tylko czasem są wtręty po śląsku.

Tak. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że nauczyliście Melpomenę mówić po śląsku. Czasami się recytowało na Barbórce jakiś wiersz po śląsku, a wy *godocie po noszymu* naturalnie. Przełamaliście taką manierę tylko okazjonalnego wtrącania jakichś wyrażeń. W Korezie jest zresztą taka atmosfera, że ludzie chcą z Wami rozmawiać. Wielokrotnie byłem na takich spektaklach, kiedy ludzie się włączali w wasze dialogi.
Ileż razy! A jak byliśmy na wsiach, na Śląsku Opolskim, to oni nagle zaczęli


fot. Krzysztof Niesporek

dośpiewywać zwrotki albo dogadywać w trakcie dialogu „U nos tyż tak było", „Mój stary tak mioł!". Na początku nas to denerwowało, ale potem już się przyzwyczailiśmy. Graliśmy razem…

Uwielbiam, jak aktorzy potrafią ograć takie sytuacje. Anegdoty się z tego robią na lata.
Przecież, jak zaczynaliśmy grać tych Schaefferów, to graliśmy w warunkach nieteatralnych, w szkołach, w jakichś domach wczasowych, wszędzie… To nie był taka wysublimowana publiczność, ludzie często coś dopowiadali, i trzeba było reagować. Więc ci wszyscy aktorzy – Grażyna szczególnie to często podkreśla – że ona się u nas nauczyła improwizacji. Jak ktoś cię zaskoczy, to musi zareagować. Lucek Czerny, ten szalony Lucek, kupił kiedyś kuźnię na Bogucicach, tam zrobił knajpę i kreował zdarzenia. Kiedyś zaprosił nas z *Kwartetem*. To były lata 90. Szaleństwo! W szędzie się grało. I myśmy zagrali ten *Kwartet* jeszcze wtedy we frakach – potem graliśmy w czarnych koszulach i spodniach – w tej kuźni, gdzie za czysto nie było, a publiczność przyszła z okolicznych familoków. *I łoni sie przynieśli własne zice. I siedli sie na zicach* i graliśmy *Kwartet dla czterech aktorów* Schaeffera, który jest sztuką…

…muzykologiczną…?
Muzykologiczno-filozoficzną?...W każdym razie to jest bardzo wysublimowana literatura… Słuchaj, to się sprawdziło genialnie! Ludzie reagowali, dopowiadali, bawili się – wszystko chwytali. To było dla nas przeżycie.

Czyli można by powiedzieć, że ten Schaeffer prowadził was do tego *Cholonka*?
Ustawił nas.

A tak w ogóle to inaczej się gra po śląsku, a inaczej po polsku?
No jest coś takiego, że się ten przełącznik nagle przekręca. *I sie zaczyno godać*. I to jest takie nagle: *My som wszyjscy razym. W Cieszynie godajom stela. My już som tak prawie w doma.* Gdzieś się to z głowy uwalnia. *I sie mogymy pogodać*. Zresztą język śląski jest genialny. Bo te wulgaryzmy, które w języku polskim prowokowałyby natychmiast do pojedynku, to po śląsku przechodzą na luzie i z przymrużeniem oka…To jest język archetypiczny. On się odwołuje do czegoś, co od razu uruchamia te pierwotny klimat: *Siedzę w kuchni, przy piecu, obok babcia, mama*…

Nierzadko gracie *Cholonka* rano, dla szkół. Uślaszczacie ich trochę?
No siłą rzeczy. Oni jednak rozumieją po śląsku. Jak są stąd, to rozumieją. Ale zdarza się, że przyjeżdża młodzież z Dąbrowy Górniczej, z Sosnowca i przeżywają to tak samo mocno. Może nie wszystko rozumieją, ale ideę łapią.

Nieraz nauczyciele mi mówili, że dopiero po *Cholonku* młodzież otwierała się na rozmowę o Śląsku.
Sztuka otwiera wszelkie możliwości dialogu. I dlatego tak mnie irytowały te śląskie partyjki, które debatowały o personaliach, a zapominały o kulturze, która przecież jest najważniejsza.

Oprócz wielu lokalnych imprez, dla których Korez użyczał swoją scenę, szczególne miejsce odgrywał finał konkursu *Jednoaktówka po śląsku*, który do zeszłego roku współorganizowaliście. Czy udało się wykreować się jakiś nowy język teatralny? Zainspirować lokalnych twórców?
Myślę, że tak. Powstało kilka spektakli przygotowanych przez teatry amatorskie. I bardzo dobrze, bo ci twórcy mieli w czym wybierać.

Czy ta formuła nie zaczęła się już wyczerpywać?
Moim zdaniem doszło to już do ściany. Bo te – bodaj kilkaset jednoaktówek – wyczerpało już miejscowy zasób twórców. Sugerowałem Ingmarowi Villqistowi [pomysłodawcy konkursu – KW], żeby poszerzyć formułę, żeby to były różne formy teatralne, literackie, formy poszerzone o video, o radio…

Ale konkurs wypromował parę ważnych nazwisk?
Bez wątpienia. Chyba największą osobowością był Marcin Melon i jego cykl o komisarzu Hanusiku.

I sprawa ostatnia, ale bynajmniej nie najmniej ważna: naprawdę przestaniecie grać *Cholonka*? Nie obawiacie się demonstracji? Takich jak po ściągnięciu *Dziadów* w 1968? Tłumów, które zgromadzą się wokół pomnika Korfantego i będą skandować: „My chcemy *Cholonka*!".
(*długi śmiech*) Tak, bardzo byśmy chcieli, żeby na placu Sejmu Śląskiego doszło do masowych demonstracji.

Ale podtrzymujesz tę dramatyczną deklarację: w przyszłym roku, w dwudziestą rocznicę premiery kończycie granie tego spektaklu?
Tak. Wmurujemy obok tablicę, że tu powstał *Cholonek*. I… koniec.

Już się nagraliście *Cholonka*. Wygraliście? Już dość, tak?
To nawet bardziej chodzi o takie kwestie fizyczne. My z Grażyną ujdziemy jakoś…

…ale państwo młodzi już mniej?
Nawet próbowaliśmy odmłodzić obsadę i nieźle to wychodziło, ale stwierdziliśmy, że to będzie taki *ersatz*. Może nawet kopia lepsza od oryginału. Ale my wolimy oryginał. Nie chcieliśmy się zamienić w *Metro*, które będzie grane po kilkudziesięciu latach z zupełnie inną obsadą.

Chcecie odejść z *Cholonkiem* w sile grania?
Chcemy odejść z tarczą, a nie na tarczy ■.

Katastrofa spotkania?

Z profesorem **KRZYSZTOFEM WIECZORKIEM**

rozmawia PIOTR SKOWRONEK



Panie Profesorze, czy przeżywamy obecnie kryzys spotkania?

Wolałbym użyć słowa „katastrofa" niż „kryzys". Kryzys kojarzy mi się z przesileniem, z dezintegracją pozytywną, natomiast katastrofa to zerwanie ciągłości procesu. Świat po katastrofie nie jest już taki sam, jak przedtem. Mam wrażenie, że po tym wszystkim, co już zdążyliśmy sobie powiedzieć i co usłyszeliśmy o sobie od innych, już nigdy nie będziemy umieli z sobą rozmawiać tak jak się powinno – z życzliwością, empatią, kredytem zaufania. To, oczywiście, pewne uogólnienie, które nie dotyczy wszystkich sytuacji komunikacyjnych, ale widać wyraźnie taką tendencję. Ale samo zjawisko nie jest nowe – na pewne symptomy zakłóceń w normalnej komunikacji można było natrafić już kilkadziesiąt lat temu. Np. w 1971 roku Hans–Georg Gadamer napisał tekst pt. *Die Unfähigkeit zum Gespräch* (*Niezdolność do rozmowy)*. Już wtedy dostrzegał z zaniepokojeniem, że ludzie mają problem w porozumieniu między sobą. Tyle, że diagnoza, którą Gadamer postawił na początku lat siedemdziesiątych, z dzisiejszego punktu widzenia w dużej mierze przestała być aktualna. Gdybyśmy dziś postawili pytanie, jakie są powody naszych trudności we wzajemnym zrozumieniu i zbliżeniu się do siebie, odpowiedź byłaby zapewne inna.

To jakiś paradoks. Żyjemy w „epoce człowieka" – w antropocenie, a tymczasem człowiek nie potrafi dogadać się z drugim człowiekiem.

Nie tylko z człowiekiem. Tę diagnozę można poszerzyć. Martin Buber w książce *Ja i Ty* pisał o dwóch podstawowych rodzajach nastawienia człowieka do otoczenia, wyrażanych przez słowa–zasady „Ja–Ty" i „Ja–To". W relacjach międzyosobowych („Ja–Ty") jesteśmy coraz bardziej zagubieni, ale również w obszarze relacji „Ja–To", gdzie człowiek podejmuje rozmaite interakcje ze swoim przedmiotowym otoczeniem, jesteśmy nieco zdezorientowani. Paradoks polega na tym, że nasza wiedza nie zawsze przekłada się na mądrość. Często bywa tak, że im więcej wiemy, tym mniej rozumiemy. W ostatnim stuleciu dokonał się ogromny postęp wiedzy, lecz jednym z jego skutków jest fakt, że zasób dostępnych informacji znacznie przekroczył przeciętny próg percepcji. Nadmiar bodźców poznawczych, których nie jesteśmy w stanie przepracować i przyswoić, powoduje, że czujemy się zagubieni nie tylko w międzyludzkich kontaktach, ale także nie bardzo wiemy, co myśleć i co czynić w odniesieniu do całej reszty rzeczywistości. Jan Patočka w profetycznym tekście sprzed pół wieku, zatytułowanym *Czy cywilizacja naukowo–techniczna jest schyłkowa i dlaczego?*, pisał m.in. że „człowiek nie rozumie już tego, co czyni, i w stosunku do przyrody zadowala się samym tylko praktycznym władaniem", nie bacząc na to, że sam „stał się ogromną stacją wyzwalania kosmicznych sił, akumulowanych i pętanych przez całe eony". Brzmi to dość niepokojąco: my, ludzie, potrafimy wyzwalać potężne siły przyrody, ale nie do końca zdajemy sobie sprawę, po co to robimy i do czego to prowadzi.

Uciekł nam cel?

Może raczej uciekł nam sens tego, co uważamy za nasz cel, a co niekończenie jest nim rzeczywiście. Próbujemy racjonalizować nasze działania, często dopiero *ex post*, tymczasem ich skutki okazują się nieraz bardzo odległe od tego, co zamierzaliśmy osiągnąć. Choćby fakt, że w społeczeństwie przesytu i nadmiaru konsumpcji, jakim stała się cywilizacja Zachodu, wcale nie czujemy się statystycznie szczęśliwsi niż w czasach ubóstwa i ograniczonych zasobów. Drugi przykład: odkrywamy poniewczasie, że zabiegi, które miały służyć stworzeniu idealnego środowiska życia dla człowieka, zmierzają w stronę globalnego kryzysu.

Czyli odcinamy gałąź, na której siedzimy?

Tak by się mogło wydawać.

Widzi Pan jakieś rozwiązanie tej sytuacji?

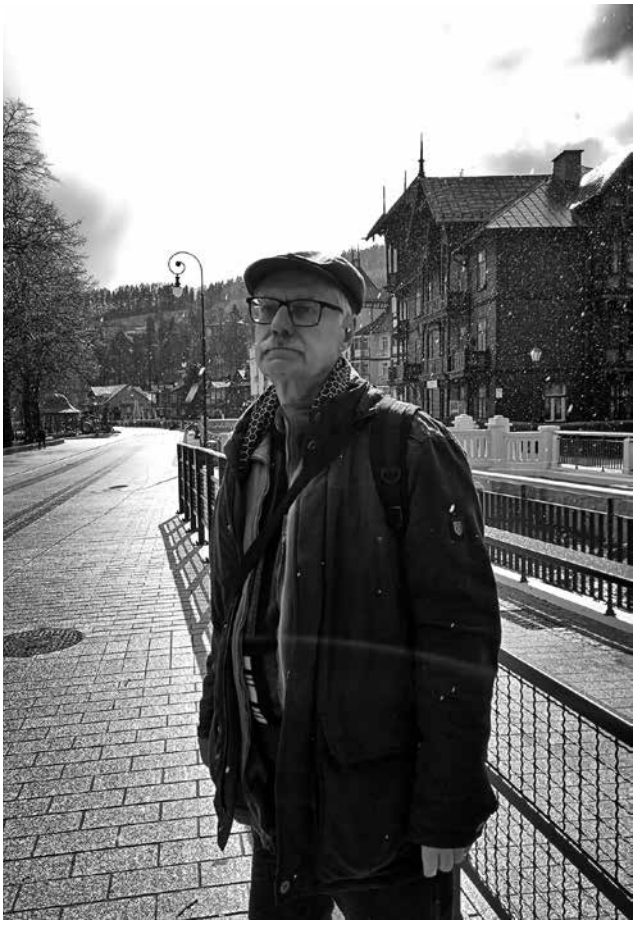
To pytanie należałoby skierować najpierw do polityków, a zaraz potem – do wychowawców. Co do mnie, mogę powiedzieć tylko tyle, że czuję się duchowym spadkobiercą ks. prof. Józefa Tischnera – filozofa nadziei. Tischner pisał, że nawet w najtrudniejszych czasach nadzieja jest siłą, wokół której koncentruje się duch ludzki. Pozwala przetrwać najtrudniejsze czasy; ale jaki powinien być przedmiot tej nadziei, bardzo trudno w tej chwili precyzyjnie określić. Moim zdaniem chodzi o to, żebyśmy potrafili się wznieść na wyższy poziom percepcji rzeczywistości, nauczyli się sięgać myślą i wyobraźnią trochę dalej niż do końca bieżącej kadencji i zastanowić się nad tym, jakie będą dalekosiężne skutki całego systemu współdziałania człowieka z rzeczywistością, który stworzyliśmy, a który przynajmniej w jakiejś części zautonomizował się i przejął nad nami kontrolę.

I straciliśmy podmiotowość?

Są i takie głosy wśród współczesnych filozofów. Mówi się o osłabieniu, rozproszeniu, a nawet o śmierci podmiotu. Zapewne stanowi to odzwierciedlenie pewnego typu świadomości współczesnego człowieka, który opiera się na subiektywnym poczuciu utraty funkcji sprawczych wobec najważniejszych procesów decydujących o tym, jaka jest rzeczywistość. To poczucie nie jest zwykłą mrzonką. Faktycznie, wywieranie świadomego i kontrolowanego wpływu na przebieg globalnych procesów kształtujących naszą przyszłość jest niezmiernie trudne. Historia nabrała rozpędu i toczy się własnym torem, o którym decydują w dużej mierze matematyczne prawa rozwoju.

Magicznym słowem systemu wydaje się „algorytm"?

Otóż to. Można to zaobserwować chociażby na przykładzie działań, które wiążą się z rozwojem sztucznej inteligencji i nowych technologii informatycznych. Na obecnym etapie rozwoju cywilizacji nastawiliśmy się na rozwiązywanie problemów przez ich algorytmizację, co sprawia, że algorytmy stają się coraz bardziej wszechobecne w kolejnych sferach ludzkiego życia i działania. Za pomocą algorytmów próbujemy rozwiązywać właściwie wszystkie



problemy; zarówno te związane z projektowaniem działań twórczych, z wytwarzaniem nowych technologii i nowych gałęzi produkcji, jak też za pomocą algorytmów próbujemy się nawzajem kontrolować. Oznacza to, że również życie społeczne staramy się sprowadzić do mechanicznej struktury, w której algorytmy formatują ludzkie myślenie i działanie, dostarczając motywacji do określonych decyzji. To się zresztą sprawdza – na przykład w polityce, gdzie za pomocą pozyskiwania informacji o aktywności w sieci i za pomocą profilowania psychologicznego użytkowników internetu specjaliści są w stanie tworzyć coraz skuteczniejsze narzędzia prowadzenia kampanii wyborczych. Sprawdza się też w handlu, gdyż kampanie reklamowe coraz częściej opierają się na umiejętności zbierania i przetwarzania danych klientów. W takim świecie wartości typowo humanistyczne, dążenia do podmiotowej autokreacji, pozostają troszeczkę w cieniu wobec postępującej ekspansji algorytmów.

Czy technologia w takim razie nie oddala nas od siebie? Nie tylko młodzi ludzie wpatrzeni w smartfony nie bardzo już potrafią rozmawiać?

Współczesna technologia szybkiej i masowej komunikacji zapośredniczonej przez urządzenia elektroniczne to tylko jedna z przyczyn osłabienia więzi między ludźmi. Przyczyn jest więcej. Każda katastrofa (a o takiej mówimy) ma wiele źródeł – wskazują na to badania naukowe. Zastanawiając się nad powodami, które sprawiają, że trudno nam ze sobą rozmawiać, a jeszcze trudniej osiągnąć porozumienie, wskazałbym przynajmniej siedem. Proszę mi pozwolić pokrótce omówić każdy z nich. (Zastrzegam, że mówię tu o ogólnych tendencjach, które zaznaczają się w życiu społecznym, lecz nie obejmują całej populacji. Wokół nas istnieje wiele przykładów pięknych i krzepiących, które zdecydowanie przeczą temu, co będę mówił dalej – ale to temat na zupełnie inną rozmowę). Na pierwszy ogień niech pójdzie zmiana głównego nośnika komunikacji. Ta historia ma swój precedens: specjaliści nauk o kulturze znają doskonale koncepcję Waltera Onga, pokazującą, jak doniosłe zmiany w kulturze i cywilizacji były następstwem upowszechnienia pisma jako narzędzia komunikacji. Z kolejną, podobną „rewolucją" mieliśmy do czynienia dzięki Janowi Gutenbergowi i jego wynalazkowi druku; w czasach nam bliższych powstawały nowe wynalazki, które usprawniały, lecz niekoniecznie rewolucjonizowały sferę komunikacji – telegraf, telefon, fale radiowe, anteny telewizyjne – wreszcie upowszechnił się internet oraz sieć telefonii komórkowej. Ta ostatnia zmiana przyniosła ze sobą ważne i wyraźne przeobrażenia w kulturze międzyludzkich odniesień. Wiele z nich ma charakter pozytywny, ale tu skupmy się na niepożądanych skutkach. Jednym z nich jest widoczna zmiana preferencji komunikacyjnych: przestaje nam zależeć na pogłębianiu więzi z wybraną osobą, a zamiast tego lubimy „być online", to znaczy utrzymywać stały, lecz powierzchowny i niezobowiązujący kontakt z jak najliczniejszą grupą znajomych, z którymi dzielimy się wszystkim, co wydaje nam się interesujące, a w zamian jesteśmy spragnieni coraz nowych wiadomości. To miły i absorbujący sposób spędzania czasu, lecz nic ponadto. Naszym codziennym rozmówkom na czacie bardzo daleko do doniosłych wydarzeń, o jakich pisali niegdyś filozofowie dialogu, ukazując dalekosiężne skutki zaangażowania całej istoty człowieka w spotkanie z drugim człowiekiem. (O innych skutkach medializacji relacji międzyludzkich proponuję porozmawiać nieco później, bo w kolejce czekają jeszcze inne ważne tematy).

Drugim w kolejności czynnikiem, generującym naszą katastrofę, jest upadek ethosu demokracji i solidarności. Myślę o tej części świata, w której demokracja była przez ostatnie kilkadziesiąt lat wiodącym sposobem układania stosunków między ludźmi. Dzisiaj w ramach systemów demokratycznych, stopniowo przekształcających się jedynie w piękną fasadę, toczy się coraz bardziej brutalna wojna o władzę. Główną bronią w tej wojnie jest język. Im bardziej walka się zaostrza, tym więcej pada słów, które ranią i niszczą, osłabiają ducha, a nawet potrafią doprowadzić pośrednio do czyjejś śmierci. Słowa mają potężną siłę oddziaływania, a jej lekceważenie jest wielkim błędem. Ponieważ zaś walka polityczna, z wszystkimi jej negatywnymi formami, toczy się jawnie, na widoku publicznym, zatem język dyskursu politycznego dostarcza wzorców dla codziennej ludzkiej komunikacji. Złe skutki tego zainfekowania języka można, niestety, odczuć na co dzień.

Trzecia przyczyna, którą dostrzegam, to nowy styl wychowania dzieci i młodzieży. Nowa pedagogika, nastawiona bardziej na autokreację niż na budowanie relacji międzyludzkich, może w niektórych przypadkach sprawiać, że osoby wychowane w tym duchu coraz trudniej wchodzą w udane interakcje z innymi. Są bowiem bardziej skoncentrowane na sobie, na własnych potrzebach, interesach i emocjach, na ścieżce kariery i rozwoju, niż na wartościach, jakie można zbudować w autentycznym spotkaniu z drugim człowiekiem.

Na czwartym miejscu wśród przyczyn postawiłbym nową strategię zarządzania sobą w czasie. Okoliczności codziennego życia sprawiają, że jesteśmy pod ogromną presją czasu. Stale się dokądś spieszymy. Żyjemy na wielkim „kontynencie prędkości", jak pisał Paul Virilio, i musimy swój czas dzielić między rozmaite strefy działania. Mam wrażenie, że nauczyliśmy się dzielić czas niemal wyłącznie na dwie sfery: pracę i rozrywkę. Kiedy tylko nie pracujemy, natychmiast rzucamy się w jakąś formę rozrywki: chwytamy smartfon, siadamy przed telewizorem, włączamy komputer… Ale ani praca (choć są wyjątki), ani tym bardziej rozrywka nie dostarcza nam bodźców do wewnętrznego rozwoju. Rezultat jest taki, że zatrzymujemy się gdzieś na wczesnym etapie i nie rozwijamy się dalej: nie zastanawiamy

się nad światem i nad swoim życiem, nie tworzymy żadnego oryginalnego stylu myślenia, co powoduje, że przestajemy być interesujący jako rozmówcy. Nie mamy nic do powiedzenia od siebie, ponieważ zadowalamy się tylko kopiowaniem gotowych wzorców. Słysząc przypadkową rozmowę dwóch ludzi można czasem czuć się tak, jakby się słyszało dwa telewizory nastawione na różne stację – wszystko, co mówią, zostało wcześniej zasłyszane w mediach.

Punkt piąty może zabrzmieć trochę stronniczo. Wydaje mi się jednak, że w życiu społecznym dokonała się już dziś daleko idąca laicyzacja i desakralizacja myślenia. To proces, który w moim przekonaniu dotyka nie tylko ludzi świadomie zrywających z Kościołem i z wiarą, deklarujących się jako ateiści albo agnostycy, ale również niektórych ludzi wierzących, którzy (niekoniecznie samodzielnie) zbudowali sobie wypaczony, nieprawdziwy obraz Kościoła, religii i wiary. Obraz, w którym gdzieś na daleki plan został zepchnięty chrześcijański ideał bezwarunkowej miłości bliźniego jak siebie samego. To powoduje – między innymi, choć nie tylko – trudności w komunikacji, zwłaszcza z tymi, którzy myślą inaczej, którzy odmiennie (lub wcale) rozumieją prawdy wiary, którzy wyznają inne wartości. Do tego jeszcze wrócimy, bo myślę, że w dzisiejszej Polsce to szczególnie ważny temat.

Punkt szósty (zaznaczę już tylko w wielkim skrócie) to kryzys idei prawdy, pluralizm dyskursów i wartości oraz zalewająca nas, wezbrana fala rozmaitych fake newsów, deepfake'ów, pseudoprawd, teorii spiskowych – słowem, niemal całkowite rozstanie z ideą prawdy posiadającej moc wyzwalającą. Bez fundamentu wspólnych przekonań niezwykle trudno nawiązać porozumienie, a jeśli każdy przyznaje sobie prawo do posiadania własnej prawdy, to na jakim gruncie można się porozumieć? Wreszcie punkt siódmy: zmęczenie sobą. Zarówno sobą samym, jak i sobą nawzajem. (Przejmująco trafny obraz społeczeństwa zmęczonych ludzi wyłania się z niedawno przetłumaczonej książki niemieckiego filozofa Byung-Chul Hana *Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje*). Jesteśmy tak znużeni codziennością, że brak nam już sił, aby ze świeżym entuzjazmem podejść do drugiego człowieka i zacząć z nim przygodę spotkania.

Jaki wpływ ma to na społeczeństwo?

Być może jestem nadmiernie przywiązany do tradycji, odnoszę jednak silne wrażenie, że nie wszystkie zmiany, które się dokonały w ostatnich latach, to zmiany na lepsze. Kontakty międzyludzkie, które opierały się na bezpośredniej komunikacji, były niegdyś zabezpieczone szeregiem konwencji chroniących rozmówców przed sobą nawzajem. Zasady, których wypadało ściśle przestrzegać, chroniły przed wścibstwem, nachalnością, wulgarnością, ostentacyjnie wyrażaną pogardą i poczuciem własnej wyższości, a także przed wieloma innymi opresjami potencjalnie kryjącymi się w języku międzyludzkiej komunikacji. Nie były to zasady proste w użyciu – jak pisał Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*: „grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą" – lecz zalety stosowania norm grzecznościowych były niewątpliwe. Z jednej strony nadawały poloru, piękna i elegancji nawet codziennym rozmowom, z drugiej – stały na straży pozycji towarzyskiej rozmówców. Kto je naruszał, temu groził ostracyzm środowiska, a w skrajnych przypadkach można się było narazić nawet na wyzwanie na pojedynek.

Dzisiaj groźbę utraty owej „pozycji" załatwia anonimowość.

To jeden ze skutków umasowienia i zapośredniczenia kontaktów przez media elektroniczne. Dawniej występowało się z otwartą przyłbicą. W filozofii spotkania bardzo ważna jest kategoria twarzy, o której pisał Emmanuel Levinas, a za nim Józef Tischner. Twarz była czymś, po czym łatwo było człowieka rozpoznać, nawet jeżeli próbował ją schować za jakąś zasłoną albo maską. Co prawda, siła konwencji, które stwarzały poczucie komunikacyjnego bezpieczeństwa, zaczęła słabnąć już wcześniej; przed rewolucją informatyczną, która spowodowała, że dzisiaj wszyscy chodzimy przygarbieni i wlepiamy nosy w ekrany zamiast stawać twarzą w twarz i patrzeć sobie w oczy. Na „zdziczenie obyczajów" skarżyli się już pisarze i poeci w okresie międzywojennym. Natomiast masowość i anonimowość komunikacji, którą Pan podkreśla, zadała ostateczny cios idei szacunku dla partnera rozmowy. Dzisiaj w miejsce zasad grzeczności i kurtuazji panuje powszechne przyzwolenie dla hejtu, chamstwa, brutalności, dosadności, wulgarności wypowiedzi. W 2019 roku CBOS opublikował komunikat z badań p.t. *Mowa nienawiści*. Wyniki tego raportu są dosyć drugocące. Pokazują, jak bardzo jesteśmy już oswojeni z takimi formami komunikacji, które zamiast bezpieczeństwa niosą zagrożenie, poniżenie, a nawet zniszczenie i podeptanie godności adresata komunikatu. To znieczulenie na wartości przenosi się ze świata komunikacji wirtualnej, gdzie panuje najwyższy poziom agresji werbalnej, również do innych mediów – radia i telewizji, których język z miesiąca na miesiąc ulega degeneracji, przekraczając kolejne granice niegodziwości. Smutek i zniechęcenie ogarnia kogoś, kto obserwuje tę dramatyczną przemianę, mając jeszcze w pamięci stosunkowo niedawne czasy, gdy na antenie radia i telewizji (obok nachalnej komunistycznej propagandy, na szczęście tworzonej nieumiejętnie, więc nie zanadto szkodliwej) gościli mistrzowie pięknej mowy i ciekawej rozmowy, posługujący się nienaganną polszczyzną i – od czasu do czasu – wyszukaną elegancją. I chociaż siła wychowawczego oddziaływania mediów systematycznie słabnie, to jednak transmisja negatywnych wzorców trwa nadal, powodując, że drastycznie obniżone standardy kultury dialogu przenikają także do świata codziennych kontaktów: w szkole, w pracy, w domu rodzinnym, przy świątecznym stole.

Bardzo chciałbym się mylić, ale obawiam się, że jesteśmy dzisiaj praktycznie bezradni wobec zalewu wulgarności, bezczelności, kłamstwa i propagandowych manipulacji. Ta nowa „antykonwencja towarzyska" rozlała się bardzo szeroko i wciąż znajduje entuzjastów,





czerpiących jakąś perwersyjną radość z bezkarnego zadawania bliźnim cierpienia przy użyciu banalnie prostych środków komunikacji.

Obniżył się próg naszej wrażliwości w tym zakresie?

Rzekłbym, że obniżył się wybiórczo. Owszem, jesteśmy nieczuli wówczas, gdy atakujemy innych, sami schowani za bezpieczną zasłoną sieciowej anonimowości. Ale nasza niewrażliwość okazuje się bardzo krucha, gdy sami stajemy się obiektem czyjegoś ataku. To kolejny paradoks, którego nie rozumiem. Co powoduje, że internetowy lub medialny napastnik tak kompletnie nie potrafi wczuć się w położenie swojej ofiary? Czy to rezultat postępującej izolacji i atomizacji społecznej, wzmacnianej złudnym poczuciem, że nie jesteśmy sami, bo mamy setki znajomych na tym czy innym portalu? A może to skutek radykalnej polaryzacji postaw, która sprawia, że świat dzieli się jednoznacznie na jasną i ciemną stronę mocy, a wobec mocy ciemności nie obowiązują żadne względy? Naprawdę nie wiem. Pozostaje faktem, że wielu z nas pozostaje całkowicie ślepych i obojętnych na dziejące się zło, nawet wtedy, gdy medialna czy internetowa nagonka kończy się śmiercią ofiary. Czy należy wrócić do sentencji Franciszka Goyi: „gdy rozum śpi, budzą się demony"?

Wróćmy do laicyzacji. Czy rzecz sięga obrzędowości, czy problem jest głębszy?

Powiem o tym drugim, mniej znanym i rzadziej dostrzeganym przejawie laicyzacji – takim, który dotyka ludzi identyfikujących się z wiarą i uczęszczających do kościoła. Leszek Kołakowski w eseju *Jezus ośmieszony* pisał: „wielkie problemy ludzkości wymagają metanoi, czyli przemiany myślenia. Polega ona na uznaniu, że korzenie zła są w każdym z nas. Uznanie własnej winy jest podstawowym warunkiem metanoi. […] Jeśli nie umiemy czuć się winni, nie jesteśmy zdolni do odróżniania dobra od zła". Wsłuchuję się uważnie w głos hierarchów i duszpasterzy mojego Kościoła, szukając znaków nadziei. Znajduję ich niewiele. Dominuje ton tłumionej lub jawnej agresji, oskarżeń, żalów i pretensji, a wszystkie one są skierowane na zewnątrz, poza struktury kościelne. Zaczynam podejrzewać, choć wolałbym się mylić, że kryje się za tym świadoma taktyka zmierzająca do polaryzacji społeczeństwa i zbudowania nowych Okopów Świętej Trójcy – warownych murów, oddzielających nieskalanych obrońców wiary od doszczętnie zepsutej reszty świata. Niepokoi mnie kontrast między duchem Ewangelii, obecnym w niej nieustannym wezwaniem do miłości bliźniego, pojednania z przeciwnikiem i uznania własnej grzeszności, a tendencją do doszukiwania się zła i winy wszędzie, tylko nie w sobie. Na Jezusowej interpretacji Królestwa Bożego opierała się budowana konsekwentnie przez wieki pedagogika chrześcijańska, której najzwięźlejszy wyraz słyszymy co rok w Środę Popielcową: „nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię". Zastanawiam się, czy coś się nie rozregulowało w naszym duchowym kompasie, skoro tak skwapliwie zabieramy się za nawracanie innych, czasem nawet wydajemy na nich wyroki niebezpiecznie bliskie potępieniu, a równocześnie z pobłażliwością traktujemy własne winy. Coś niedobrego dzieje się także z naszą umiejętnością przebaczania. Może coś przegapiłem, ale nie potrafiłbym wskazać żadnej wypowiedzi zasłużonej postaci polskiego Kościoła w ostatnich latach, która stałaby się dla mnie wzorem podstawowych zasad chrześcijańskiej pedagogiki: miłości Boga aż do negacji siebie (jak nauczał św. Augustyn), miłości bliźniego jak siebie samego, uznania własnej winy jako bezwarunkowego początku nawrócenia, a przede wszystkim – rozwijania umiejętności przebaczenia i pojednania, zwłaszcza z tymi, z którymi nam nie po drodze. Gdyby oprzeć się tylko na tym, co słychać dziś z wielu ambon, bez samodzielnej pracy nad codziennym kształtowaniem sumienia, łatwo wytworzyć sobie obraz Kościoła jako instytucji skoncentrowanej przede wszystkim na osiąganiu jak najbardziej doczesnych celów i korzyści. Dostrzegam w tym dokładnie to niebezpieczeństwo, przed którym przestrzegał Leszek Kołakowski, pisząc w przywołanym wcześniej eseju, że złą drogą dla chrześcijaństwa jest utożsamienie się z jakąkolwiek sprawą świecką, należącą do doczesnego porządku. „Gdy Kościół uznaje świeckie sprawy za cele autonomiczne, będzie przyciągać tych, którzy chcą go wykorzystać, a odpychać tych, którzy szukają Boga; będzie dokonywał w swym łonie selekcji negatywnej". Te słowa wielkiego filozofa przypominają mi się, ilekroć dostrzegam kolejny przykład upolitycznienia, a nawet upartyjnienia polskiego Kościoła hierarchicznego. Ta droga nie prowadzi w dobrym kierunku.

Czyli katastrofa jest nieunikniona?

Jeśli pyta Pan o Kościół, to jestem pewien, że nie. Kościół przetrwa wszystkie dziejowe burze, bo „nie jest z tego świata". Duch Prawdy jest w nim zawsze obecny, choć czasem trzeba się trochę postarać, żeby Go dostrzec. Ale wracając do centralnego pytania naszej rozmowy, mogę tylko powtórzyć: ta katastrofa już się dzieje. To, jak często bezceremonialnie i bezdusznie odnosimy się do siebie nawzajem, przybiera naprawdę rozmiary katastrofalne. Skoro tak, to musimy czym prędzej powołać jakąś służbę ratowniczą.

Jakie widzi Pan rozwiązanie?

To już temat na kolejne spotkanie, bo tu nie pomogą żadne tymczasowe środki. Potrzebna jest głęboka przebudowa duchowa całego społeczeństwa – to zadanie na pokolenia. Na razie idziemy w przeciwnym kierunku i brniemy coraz głębiej w eskalację konfliktu, ogarniającego ogromną część populacji. Bliska mi jest diagnoza, którą usłyszałem od profesora Przemysława Czaplińskiego, określająca współczesną kondycję życia publicznego w Polsce mianem „demokracji afektywnej", która stopniowo wypiera model demokracji deliberatywnej. Ta ostatnia opiera się na kulturze dialogu i dążeniu do jak najszerszego konsensu, obejmującego potrzeby i interesy całej

społeczności w duchu poszanowania odmienności i pluralizmu postaw i poglądów. Być może w naszym kraju nigdy nie było aż tak pięknie, jak zakłada idealny model demokracji deliberatywnej, ale dziś tkwimy na przeciwnym biegunie. Istotą demokracji afektywnej jest zastąpienie racjonalnej argumentacji perswazją, apelującą do emocji, a nie do rozsądku. Im wyższy poziom natężenia emocji, tym mniejsza skłonność do krytycznego myślenia oraz do akceptacji odmiennych postaw. Tym bardziej, że pożywką dla owych emocji – najczęściej zresztą negatywnych – staje się głównie piętnowanie i oskarżanie tych „innych". Mam wrażenie, że taki styl debaty publicznej, prowadzący do ciągłej eskalacji natężenia złych emocji, ma w sobie jakiś demoniczny urok: wciąga i uzależnia jak narkotyk. Czy można się zatrzymać, kiedy się raz weszło na tę drogę? Jasne że tak; ale im dalej, tym trudniej. Zwłaszcza jeśli się widzi, że wojna na „słowa, które ranią" (to określenie Marshalla B. Rosenberga, specjalisty w dziedzinie porozumienia bez przemocy) przynosi konkretny i realny zysk. Po co więc z niej rezygnować? Może na przykład po to, żeby swoim nieprzemyślanym i na dłuższą metę szkodliwym działaniem (nawet jeśli przynosi doraźne korzyści) nie przyczyniać się do moralnej dewastacji całego społeczeństwa. Tymczasem badania socjologiczne (chociażby wspomniany wcześniej raport CBOS) pokazują, że rosnący poziom społecznej akceptacji dla krzywdzących zachowań w obszarze komunikacji przekłada się na spadek jakości codziennego życia. Złe wzorce działań werbalnych przenoszą się z anten mediów bezpośrednio w świat naszej codzienności. Stała ekspozycja na nieustannie płynący strumień agresji słownej sprawia, że w psychice odbiorców kumulują się złe emocje i nawet jeśli staramy się je powstrzymać i bezpiecznie rozładować, to zdarzają się momenty, kiedy siadamy z rodziną przy stole lub wchodzimy do sklepu czy urzędu, zaczynamy pozornie niewinną rozmowę…

I wybuchamy…

No właśnie. Byle impuls powoduje, że wybuchamy i ofiarami stają się zupełnie niewinne osoby, które nam się nawinęły pod rękę.

Jak to wygasić?

Mamy do dyspozycji kompletny zestaw narzędzi umożliwiających skuteczne radzenie sobie z większością problemów komunikacyjnych. W zakresie wiedzy naukowej oraz filozoficznej świadomości problemów relacji międzyosobowych dokonał się ogromny postęp od czasu, gdy Martin Buber, Ferdinand Ebner i Franz Rosenzweig opublikowali swoje pionierskie dzieła inaugurujące nowy obszar badań filozoficznych dotyczących spotkania i dialogu między Ja i Ty. Polska jest jednym z kilku krajów na świecie, gdzie ten dział filozofii rozwija się twórczo i dynamicznie. Prof. Jan Szmyd napisał w 1993 r. w jednym z artykułów naukowych: „Do godnych uwagi dokonań filozofii polskiej ostatniego ćwierćwiecza naszego stulecia należy refleksja filozoficzna na temat filozofii spotkania […] ten nurt filozofowania w Polsce wykazuje od samego początku znaczną specyfikę i oryginalność – tak znaczną, że bez większego ryzyka można mówić nie tylko o filozofii spotkania w Polsce, ale także o polskiej odmianie tej filozofii". Wysoką ocenę polskiego wkładu w rozwój filozofii spotkania podtrzymuje Adam Węgrzecki w monografii *Wokół filozofii spotkania*, Kraków 2014. Podobnie znaczące osiągnięcia można odnotować w dziedzinie psychologii komunikacji – począwszy od pionierskich prac Antoniego Kępińskiego poprzez szereg prac Marii Braun–Gałkowskiej, Elżbiety Sujak, Idy Kurcz, Wiesława Sikorskiego, Waldemara Domachowskiego i innych. W naszym kraju rozwija się również twórcza refleksja w dziedzinie komunikologii, od niedawna uważanej za samodzielną dyscyplinę naukową, zajmującą się interdyscyplinarnym badaniem, opisywaniem i wyjaśnianiem procesów komunikacyjnych. Za jej prekursorów w skali światowej uważa się Harolda D. Lasswella, Paula F. Lazarsfelda, Carla I. Hovlanda i Kurta Lewina, a polski nurt badań reprezentują takie nazwiska jak Emanuel Kulczycki, Michał Wendland, Bogusława Dobek–Ostrowska, Agnieszka Ogonowska i Grażyna Osika. Oprócz dorobku naukowego i filozoficznego, dostarczającego bogatej wiedzy o problematyce relacji międzyludzkich, trzeba też wskazać na konkretne działania naprawcze podejmowane w sferze praktyki komunikacyjnej przez liczne instytucje, organizacje i fundacje – przykładowo: Polskie Towarzystwo Komunikacji Społecznej, Polskie Stowarzyszenie Psychologii Społecznej, Polskie Centrum Mediacji, Fundacja Porozumienie Bez Przemocy oraz Instytut Polska Przyszłości im. Stanisława Lema, realizujący m.in. *p*rojekt „Ogarnij Hejt". Jest więc do czego i do kogo się zwrócić w sytuacjach wymagających rozpoznania sytuacji problemowej, interwencji lub systemowego rozwiązania. Ale to tylko jedna strona medalu. Druga prezentuje się znacznie mniej imponująco. Mam na myśli naszą zwykłą, szarą codzienność – nasze spotkania, często pospieszne, zdawkowe i pełne nerwowej atmosfery; nasze dyskusje, coraz mniej przypominające sławione przez Adama Mickiewicza „długie nocne rodaków rozmowy"; nasze poszukiwanie bliskości i zrozumienia, częściej prowadzące do rozczarowań i nieporozumień niż do duchowej harmonii; nasze dramatyczne doświadczenia zetknięcia się z bezinteresowną nieżyczliwością, nieumotywowaną agresją, uproszczonymi i krzywdzącymi ocenami, a czasem nawet jawną i świadomą wrogością. Mogłoby się wydawać, że nie sposób czuć się dobrze w tej atmosferze, a jednak wielu rodaków wciąż ją podtrzymuje i podsyca. W dniu, w którym formułuję te myśli, obchodzony jest Międzynarodowy *Dzień Szczęścia* (20 marca). Czy można być szczęśliwym, nie mogąc liczyć na wsparcie i życzliwość ze strony spotykanych bliźnich? W jakiejś mierze nasz los leży w naszych rękach. Każdy człowiek może zadbać o to, by tworzyć wokół siebie dobrą atmosferę, zachęcającą do zbliżenia i pozytywnego wzmocnienia nastroju. Bardzo ważny jest jednak również szerszy kontekst społeczny, ów nieuchwytny, lecz wyczuwalny czynnik, który Wilhelm Dilthey nazywał „duchem czasu" (*Zeitgeist*). Wydaje mi się, że z nim właśnie mamy rosnący problem. Chętnie ufundowałbym nagrodę, choćby przysłowiowego konia z rzędem, temu, kto wskaże przekonującą metodę uporania się z tym codziennym problemem.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Prof. dr hab. Krzysztof Wieczorek, profesor w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Śląskiego. Ukończył studia matematyczne na Uniwersytecie Śląskim, specjalność: logika. Studiował filozofię i teologię w Krakowie, Lublinie i Freiburgu im Breisgau. Uczeń polskich filozofów spotkania: Józefa Tischnera, Adama Węgrzeckiego i Andrzeja Nowickiego. Odbył staż naukowy pod kierunkiem Bernharda Caspera, wybitnego znawcy europejskiej filozofii dialogu. Pracę doktorską poświęcił polskiej filozofii spotkania, pracę habilitacyjną – filozofii Emmanuela Levinasa. Prowadził współpracę naukową z kilkoma instytucjami badawczymi oraz ośrodkami naukowo–dydaktycznymi w Niemczech, Austrii, Czechach i na Słowacji. Jego zainteresowania naukowe są szerokie i różnorodne – od filozofii spotkania i dialogu poprzez fenomenologię, epistemologię, aksjologię, logiczne i filozoficzne problemy języka codziennej komunikacji, współczesny realizm krytyczny, aż po interakcje człowieka ze sztuczną inteligencją. Obecnie pracuje w zespole badawczym Filozofia wobec cywilizacyjnych wyzwań współczesności. Ostatnie publikacje: *The Conscience of a Machine? Artificial Intelligence and the Problem of Moral Responsibility*; *Sztuczna inteligencja: problem sprawstwa*; *Czy życie duchowe jest nadal zasadniczym wstrząsem?: Jan Patočka i koncepcja człowieka posthistorycznego*.

Lęk jako gatunek literacki (III)

PIOTR ZACZKOWSKI

Od dzieciństwa pragnął śmierci, pragnął położyć sobie kres, jak się to mówi, ale nigdy nie potrafił absolutnie się nad tym skoncentrować.
Thomas Bernhard (*Przegrany*)

135 Okruchy ławek – jednogroszówka orła – mapa świata jak pocztowy znaczek – w kącie szkielet mrówki.

136 Wolność to umierające notatki. Zrozumiał, że będą prawdziwe wyłącznie poza światłem i światem. Wie, że to nie ma żadnego znaczenia, gdyż nie wybierze kolejnego zestawu pytań. Zresztą bezpowrotnie utracił klucz odpowiedzi, krążących wysoko na niebie – jak ptaki, które odlatują, ludzie wierzą, do ciepłych krajów. I komuś innemu zbudują gniazdo na wietrze.

137 Niemowlęta gasnące na drugi dzień po urodzeniu były do życia, czy nie? A ludzie dojrzali, domyślani jedynie w sobie, tacy, którzy nie są do życia, to ludzie po swojemu niemowlęcy, nadwrażliwi i nieodwołalnie niedokarmieni? Różnica byłaby jedynie w wymiarze całunu, wielkości skrzyni, ciężarze jej okuć i liczbie wbijanych w drewno gwoździ?

138 Świat jest biurem podróży, otwartym w zasadzie całą dobę. Mimo to biletu do szkoły nie można zwrócić.

139 Wierzył, że serce dobrze wytresowane będzie czyste, przezroczyste i niewinne. Wierzył, że do pierwszej klasy pójdzie jak do pierwszej komunii – że uklęknie u stóp kapłana, a on wyjmie z dziennika bielutką hostię, nagrodę za wygraną w zawodach z lenistwem.

140 Było nieprzyjemnie, niewygodnie, ciemno i potwornie zimno. Zalatywało stęchlizną. Nauczyciele pocieszali, że wszystkie kostnice są przejściowe.

141 W plenerze ustawiono drapieżne i łakome zwierciadła, w których przeglądało się umieranie młodych saren.

142 Bał się metafory, do wnętrza której wchodził powoli, z niechęcią, po dzwonku na lekcje.

143 Samotna jest depresja, której niczego nie obiecują zeszyty w kratkę, w linie, a w ostateczności białe jak żałoba w Chinach.

144 Wszyscy wokół potrafili zręcznie, a nawet pięknie kłamać, oszukiwali się bez ustanku, pomysłowo i wzajemnie. Powtarzali na głos, że żyją. Bardzo chciał zapisać się do tego oszustwa, pobyć w nim godzinę, dwie.

145 O czym myśli upokorzony uczeń? Dlaczego wpatruje się w okno? Czy ono bardzo go boli?

146 Sztywny żagiel mundurka wsłuchiwał się w słone podmuchy wiatru i dalekie odgłosy wielkiej burzy, która pochłonie wszystkie szkoły – również i te, które będą próbowały ukryć się w tunelach pod powierzchnią ziemi.

147 Należy odraczać wyrok, który tak naprawdę nigdy nie zapadł – jak w zabawie chłopców i dziewcząt w sąd. Należy odsuwać słowo po słowie, bo to wyrok pisany.

148 Ból jest najsłabszym uczniem w szkole złudzeń (i niepotrzebnie wyrywa się do odpowiedzi).

149 Wychowawca był potężny i surowy. Miał wiele metrów wzrostu. Patrzył z góry, oceniał po wyglądzie i na podstawie pierwszego wrażenia, bez wnikania w detale, nie interesując się zdaniem odrębnym i korzystając ze skali ocen szkolnych.

150 Małe, codzienne klęski przeciągał na swoją stronę i zatrzymywał na noc. Ścielił im w ciemnym pokoju, w łóżku o miękkich ramach i wygasłych ranach.

151 Kiedy zniszczył notesy z wierszami pisanymi przedwcześnie, utracił tekst, którego odłamek wciąż tłucze się po głowie: śmiejcie się z pajaca / on płacze śmiesznymi łzami / śmiejcie się z pajaca / on tańczy sztucznymi łzami. Tańczy głupimi łzami.

152 Na pozór każda szkoła jest gwarnym, mało dotkliwym przytułkiem. Ale tylko do czasu, gdy lekcji nie reżyserują ludożercy.

153 Dotknąć rąbka szaty świętej śmierci – tego potrzebują najsłabsi z wątpiących.

154 Samobójstwo nie jest porażką, podobnie jak nie jest nią ćwiczenie z arytmetyki. Wynik – po wykonaniu wszystkich kroków (i w efekcie poważnie traktowanej nauki chodzenia) – wskazuje na brak ciągłości i wyczerpanie możliwości dalszego mnożenia. Z chwilą osiągnięcia rozwiązania należy pamiętać, że umieranie nie odwdzięczy się wspólnotą liczb ujemnych.

155 Nie na lekcję strachu się spóźnił, a na przełajowe biegi do szczęścia? (Gdyby pobiegł, zadowoliłby pana od gimnastyki i Pana Boga?).

156 Osaczenie kusiło, nagonka obiecywała. Wśród brzóz byłby pierwszy i umarły.

157 Bez pośpiechu wkłada do plecaka książki, zeszyty i recepty na życie. Wychodzi na korytarz, mija tabliczki na drzwiach i już nie wraca.

158 Zrezygnował ze wskazówek, drogowskazów, napomnień i koszmarów. Nie potrzebuje już ani pomocy naukowych, ani skryptów i podręczników. Czego nie wezmą uczniowie młodszych klas, woźny jeszcze tego samego dnia spakuje w czarne worki i wyrzuci do pojemnika na śmieci.

159 Przeprasza, że nie dawał powodu do pochwał i całymi tygodniami wagarował. Pokornie prosi, aby pochowano go w mundurku, a plan lekcji przybito do krzyża.

160 Poczty sztandarowe niosły puste kałamarze, załamane ławki i pobladłe tablice szkolne.

161 Leżał nieprzytomny, podłączony do przewodów, z trudem przywołany do porządku. Depresja stanęła z boku, zdezorientowana, poważnie zmartwiona, pożałowania godna i zmieszana. Nie czuła się u siebie. Zapewne dlatego tak bardzo chciała mu wybaczyć i zabrać do domu.

162 Uratowano go banalnie, jak gdyby chciał się zabić z powodu niedobrej (źle dobranej) kobiety – albo za przyczyną klęski nieurodzaju na polach, łąkach i rozstajach.

163 Według znawców, nieudany zamach na siebie nie daje podstaw do reklamacji, a dożywotnia odmowa nowej dostawy dowodzi, że nie ma ani piekła, ani nieba.

164 Śmierci nigdy nie odnajduje się w tym samym miejscu, w którym się ją pozostawiło.

165 Prawda jest zawsze mistyfikacją. Dlatego tak dobrze jej na deskach sceny i w trumnie – nawet zamkniętej nieudolnie i za szybko.

166 Postawił kropkę i nakleił pogodną, rozjaśnioną, zdrową etykietę, nie zapominając o umieszczeniu informacji o dacie, po której pisanie straci smak i przydatność do spożycia.

167 Na zakończenie roku szkolnego prymusi wręczali się świadectwom z wyróżnieniem. Lęk miał inne instrukcje i nagradzał znacznie później, niespodziewanie, bez zbędnych ceremonii.

168 Odnalazł notatki sprzed pięćdziesięciu lat. Czyta je mechanicznie, jest znudzony, ma wrażenie, że współżyje z własnym trupem. Jest dla siebie niesprawiedliwy. Przecież znowu próbuje wspiąć się na stromiznę litery A, największej litery A na świecie.

169 Rebelia przeciwko sobie nie miała sensu. Bez trudu naśladował akrobatę na trapezie i żonglera, skakał przez płonącą obręcz, wchodził do klatki z drapieżnikami, a po spektaklu był sympatyczną, odpowiednio wytrenowaną świnią.

170 Rozprawy toczyły się w martwym języku, a brak znajomości tego języka pozwalał oskarżonym uniknąć pokusy obrony.

171 Trzeba wiele ukrywać przed życiem. Gdy tylko przejrzy na oczy, przypomni sobie, że jest bezmyślne, złośliwe i okrutne.

172 Nieśmiałość, gdy okazywał przepustkę. Zawstydzenie, gdy wchodził do windy i wysiadał na swoim piętrze. Popłoch, gdy siadał przy biurku. Jakby zabrał miejsce komuś zdecydowanie bardziej odważnemu, gotowemu przekraczać granice wytrzymałości na absurd i nudę. Czasem wyobraźnia podejmowała decyzję, wchodziła do okna, pozostawiała je za sobą, opadała na ziemię niczyją, która była asfaltem, kamieniem, brukiem, miastem zużytym i niepotrzebnym, tak pozbawionym litości, że nie pozwalało doczekać przerwy śniadaniowej, dyplomu uznania i awansu.

173 Życie zwleka do ostatniej chwili, nie spieszy się, aby wyjaśnić, dlaczego było beznadziejne, nieudolne i wszystko zepsuło. Z uwagi na perspektywę bliskiej śmierci, mit założycielski nie może przekroczy granic objętości i przyzwoitości.

174 Depresja nie zawsze samodzielnie osiąga odpowiednią wagę, więc należy ją tuczyć każdego dnia, odpadkami z samoobsługowej myjni świata.

175 Naiwne rekwizyty mają nadzieję, że nie zamknie się im teatru przed nosem i na zawsze.

176 Kiedy tylko tego chce, jest miła, łagodna i uśmiechnięta. Wciąż rośnie i nadal kwitnie, ma wiele odcieni, pozwala zobaczyć się z wielu stron i o każdej porze roku. Pomaga zrozumieć istotę rzeczy bez żadnych oporów i ograniczeń, do wyczerpania pomysłów. Ma wiele początków i nie narzuca tylko jednego zakończenia. Najbardziej gorzkie zdarzenia zmienia w ulotne, nic nieznaczące, co najwyżej przekorne epizody. Dopuszcza zadawanie światu pytań zasadniczych, dodatkowych, retorycznych lub bezgranicznie głupich. Każdego dnia – w obronie koniecznej i na wszelki wypadek – przytacza paradoksalne, a nawet wykluczające się wzajemnie argumenty. Niekiedy jednak przeszłość to ironia, które wie swoje – niepotrzebnie i stanowczo za długo.

177 Śniło mu się, że przed daleką podróżą (przed wygnaniem?) pozostawił plik kartek z wierszami u znajomego oberżysty, który zażądał za to słonej opłaty. Nie był zachwycony, że ocalenie rękopisów jest tak kosztowne, ale nie miał lepszego pomysłu. Pytał znajomych o powody zainteresowania się oberżysty poezją. Wyjaśnili, że z wierszy wróży sobie liczby przydatne do gry losowej, w której nałogowo uczestniczy.

178 Starszy mężczyzna, znudzony widokami za oknem, ustępuje chłopcu, który przyszedł z tych widoków. U kresu podróży ten gest jest bez znaczenia.

179 Szorstka sobota. Musi obmyć się z nocy, ubrać. Nie wypada nago identyfikować własnych zwłok.

180 Zakończeniem dziennika intymnego (a nawet jego pośmiertnymi losami) zainteresowany jest wyłącznie autor. Gdzie podzieje się czytelnik i czy sobie poradzi, jest mu obojętne.

181 Wydawało się, że rozpacz jest umową jak każda inna, ale to było jeszcze wtedy, gdy nie rozpaczało mu pisanie.

182 Bajka o celi śmierci nie potrafiła odnaleźć morału. Może była przygodą zbyt osobistą.

182 Wszedł tam tylko na chwilę – wtargnął na ułamek i odłamek czasu – po papierosa. Dano, wskazano drzwi. Ponownie jest sam na sam ze wszystkimi swymi papierosami.

183 Należy z dumną nonszalancją i udawaną obojętnością wyprzedawać resztki po sobie. Do ostatniego dnia nie powinno zabraknąć rozmów z bliskimi o pogodzie. Gdy wreszcie wyjdą, pozostanie rozmowa ze sobą. Będzie śmiertelnie nudna, ale na szczęście nie potrwa długo.

184 Nie wrócą z wygnania głośne śmiechy na szkolnym podwórku.

185 Kiedyś przestanie wsłuchiwać się w ból oraz nie będzie odpowiadał na zaczepki losu. To wystarczający powód, aby czcionka Arial nie musiała podejmować pisania w miejscu, w którym je przerwie na zawsze.

186 Gdyby lustro zdolne było do spacerów (a w pewnych sytuacjach do udanych ucieczek i pokornych powrotów), odbicia na przemian oddalałyby się i przybliżały. Zazwyczaj – jak bywa z większością przedmiotów – nie działoby się nic. Na ścianach i po kątach byłoby zwyczajnie i spokojnie. Luster w stanie spoczynku nie widziano w zalęknionych domach. Rozpadły się na wiele odłamków i tysiące dróg.

187 Śnił się powolny, nużący, wyraźny teatr. Postaci były wstrzemięźliwe w szukaniu dialogów i leniwie popychały mało czytelną akcję. Chyba dlatego, że opuściły życie jak próbę, podczas której wiele można jeszcze poprawić.

188 Twardy i miękki, drapieżny i łagodny sarkofag alkoholu. Ciasny, ale własny.

189 Karawany szkół wędrowały przez pustynie do dzikich krajów. Z powrotem wracały dzieci posłuszne, odporne na trudy i zmęczenie, z wystarczająco wypalonym w słońcu mózgiem.

190 Za linią mety nauczyciele wypisywali świadectwa dla najbardziej odważnych, dla schizofreników, którzy pobili rekordy życiowe i pokonali w samotnym biegu własne cienie. Minęli siebie z dziecinną łatwością.

191 Już wie, pani elegio, że nie powinien był tego robić. Wie, że nie należy wybiegać ze szkoły w mokrym od potu mundurku – zwłaszcza wtedy, kiedy jeszcze nieczynne ulice i zamknięte na głucho niebo.

192 Dobrowolnie wybrana i konsekwentna samotność to duchowa (mentalna) błyskotka. Jeszcze bardziej (a na pewno ostatecznie) błyskotliwe jest odebranie sobie życia. Nie dotyczy to samobójstw zmarnowanych i wieloletniej pracy w biurze.

193 Był przekonany, że nie zapomni siebie nigdy. Kiedyś odejdzie, lecz łudził się, że wówczas wspomną go segregatory, które z mozołem wypełnił. Miał nadzieję, że wieloletnia korespondencja urzędowa nabierze charakteru literatury faktu i lamentu osobistego.

194 Po zmartwychwstaniu spotkamy się wszyscy na wielkim zjeździe absolwentów.

Istotny powód dalszego istnienia

zęby sobie robię
a zęby są drogie
więc
muszę żyć długo
żeby się spłaciły
a nie służyły
dla trumiennej parady

nie ma innej rady
muszą się o d r o b i ć
długim żuciem życia

Kraków, 17 marca 2022

Wojna

politycy walczą pochyleni
nad czarnobiałymi szachownicami
szaracy giną na polu chwały
i mają szansę być bohaterami

bo do martwych bohaterow
należy niekiedy w historii
ostatnie słowo
a nie do tych
co ich zwyciężyli

(szkoda że o tym się nie dowiedzą
pewnie byliby szczęśliwi)

***

jak niewiele
potrzeba biedakowi do szczęścia
łyk wody na pustyni
złotówka wygrzebana w kuble śmieci
miejsce przy ogniu
w zimową noc

jak wiele potrzebuje bogacz
żeby ugasić pragnienia
rosnące w nim
w postępie
geometrycznym

a czego się tknie
zamienia się
pod jego nienasyconym spojrzeniem
w pustynię

Ballada dla Bułata Okudżawy

jak nie kochać cię wujku Bułacie
bardzie studenckich lat
gdy z łagodnym uśmiechem
zaklinasz świat
w piękną i mądrą baśn
i dajesz się przykładać do ran

i gdy pytasz
wajna
podłaja
szto ty
zdiełała

wszyscy mówią
że już cię tu nie ma
że cię ziemia wagańkowska kryje
że pociski zabiły twe pieśni
lecz ty w moim sercu wciąż śpiewasz

bo w twych słowach pozłota września
i obietnic wiosennych blask
kiedy zatroskanym głosem
obejmujesz kulawy świat
by wyśpiewać
ludzką tęsknotę do gwiazd

i tak pięknie umiesz pocieszać
że choć często brakuje już sił
to nic byle nadzieję zachować
reszta jakoś ułoży się w mig

i na duszy
tak jakoś miodnie
i na duszy tak jakoś grustno
gdy przytulasz glob serdecznym głosem
o robaku nucąc pieśń
co stworzył bóstwo

i migają gdzieś w nas zagubione
świętojańskie ogniki poezji
gdy zmierzch gwiazdy nad miastem zapala
krąży krążek brzdąka gitara
a ty wznosisz ze słów pod niebo
czarodziejski zamek poezji

i przystrajać serce w miłość radzisz
bo inaczej po cóż tu trwać
bardzie żakowskich lat
posiwiałych dat
na tej ziemi wiecznej wśród gwiazd

gdzie twa pieśń
goryczą nabrzmiała:
wajna
podłaja
szto ty
zdiełała

Kraków 9 stycznia 2021/ 12 kwietnia 2022

Krzyżyk krzyż koło

(wiersz do obrazu Bartolomea Estebana Murillo; XVII w.)

1

Nie ma jeszcze drogi krzyżowej z Chrystusem
zawieszonym pomiędzy niebem a ziemią

w pracowni stolarskiej majstra Józefa w Nazarecie
brzęczą muchy

Matka przerywa na chwilę nawlekanie chwil na ucho igielne
i przygląda się synkowi
co też on tam zmajstrował pośród wiór i listewek
jakiś krzyżyk który klęcząc
przewiązują z synem sąsiada wstążeczką

o wzroku matki pełen tkliwości i zamyślenia
słodka nieświadomości dziecięca
losie z lasu nie wywołany

Maria znów wraca
do nawlekania minut
niczego nie zauważa
Józef zajęty heblowaniem desek

wiele lat później powróci to wspomnienie
zatoczy koło i uderzy
w matkę
klęczącą pod krzyżem

2

w dzieciństwie
też lubiłem się bawić wiórkami
chwil
w pracowni sąsiada Czyża

wyczarowywaliśmy z jego synem
pukawki
boćki
żołędziowe ludki
a nawet
krzyżyki wystrugane z listewek na lekcje religii

potem młodość zarzuciła
to wszystko w kąt

podrosłem

na długie lata
wyjechałem
z mojego nazaretu

tymczasem krzyżyk
rósł rósł
wierny choć początkowo niezauważalny
aż dorósł
i stał się krzyżem
którego nie sposób
już nie zauważyć
(odkąd
uświadomiłem sobie że przemijam)
i nie sposób
wyprzeć się tej
naszej własności
którą musimy z sobą
nosić
znosić
dźwigać
a w końcu
uginać się pod jego brzemieniem
w naszej pielgrzymce
na górę starości

gdzie
na powrót
Krzyż
przemieni sie w krzyżyk
i uleci
nieważki jerzyk

Budapeszt, Nagyar Nemzeti Muzeum, 1982 – Kraków, 2020



Niemiecka lekcja dla Rosjan. Tomasz Mann i wojna w Ukrainie

MICHAIŁ SZYSZKIN, przełożył *MACIEJ SKRZYPECKI*

Rosjanie zniosą wiele – przywykli do tego. Skoro zaś nie kochają wolności, którą postrzegają jako zaniedbanie i która w efekcie w pewnym sensie rzeczywiście nim się staje, będą mimo wszystko czuć się lepiej, prawdziwsi i „szczęśliwsi", w nowym ustroju, prostackim i rygorystycznym z wszystkimi związanymi z nimi rozczarowaniami, niż w republice. Dochodzi do tego nieograniczona zdolność reżimu do szerzenia kłamstw, ogłupiania obywateli i wprawiania ich w stan odrętwienia. Ich poziom intelektualny oraz moralny już dawno temu upadł tak nisko, że po prostu nie potrafią wykrzesać z siebie iskry, która rozpaliłaby w nich oburzenie.

Przytoczyłem powyżej fragment listu Tomasza Manna do René Schickelego (z 2 kwietnia 1934 roku). Zastąpiłem w nim jednak Niemców Rosjanami. Historyczne paralele pomiędzy nazistowskimi Niemcami a Rosją Putina są bowiem uderzające, a najnowsza historia Rosji uczyniła klasycznego niemieckiego pisarza autorem nam współczesnym.

Tomasz Mann przez całe swoje życie prowadził dialog z literaturą rosyjską, a niedługo przed śmiercią napisał nawet tekst poświęcony Czechowowi. W młodości uczył się sztuki pisania od rosyjskich autorów, a teraz może nauczyć nas sztuki przetrwania w epoce faszyzmu.

Rosyjscy twórcy lepiej dzisiaj rozumieją, co czuli i czego doświadczali Tomasz Mann oraz inni niemieccy intelektualiści. Mowa Puszkina i Tołstoja przekształciła się w język zbrodniarzy wojennych i morderców. W najbliższej przyszłości świat nie będzie już kojarzył Rosji z muzyką i literaturą, lecz z bombami spadającymi na dzieci.

Bywa, że dwa pociągi mijają się na jakimś odcinku, pędząc przez chwilę okno w okno. Są blisko siebie, na wyciągnięcie ręki tak, że można dostrzec pasażerów w drugim pociągu: ktoś czyta, ktoś inny ucina sobie drzemkę, a jeszcze ktoś odwzajemnia nasze spojrzenie. Siedzimy tak właśnie teraz – rozdzieleni co prawda przez czas, ale w jakiś sposób nasza podróż jest jednoczesna – na pokładzie równoległych pociągów historii, które wiozą nas ku katastrofie.

Hitlerowi udało się zatruć dusze Niemców, a teraz Putin zrobił to samo moim rodakom. W 1940 roku Tomasz Mann określił niemieckie zwycięstwa „krokiem w grzęzawisko bez końca". Rosja obrała niemal identyczną ścieżkę – wprost ku otchłani. Jawnie rasistowska propaganda na modłę goebbelsowskiej. Russkij mir w miejsce Tysiącletniej Rzeszy. Krym zamiast Kraju Sudetów. Nienawiść do Ukraińców jak nienawiść do Żydów. Putin w roli Fürhera: „Bez Putina nie ma Rosji!".

„Cierpię na Niemcy" – tak Tomasz Mann zatytułował swoje dzienniki. W latach 30. XX wieku opublikował wiele tekstów, w których ostrzegał przed zagrożeniami, jakie niósł ze sobą reżim Hitlera. Jego rodacy pozostali jednak głusi na te ostrzeżenia. „Cierpię na Rosję" – tak z kolei mógłby brzmieć tytuł niezliczonych pism rosyjskich autorów publikowanych na przestrzeni lat w opozycyjnych mediach. Pisarze ci przestrzegali przed rodzącym się w Rosji faszystowskim reżimem. W odpowiedzi z ust moich rodaków usłyszeli jedynie radosne okrzyki: „Krym nasz!".

Wezwania do bojkotu igrzysk olimpijskich zlekceważono zarówno w 1936, jak i 2014 roku. Reprezentacje niemal pięćdziesięciu kraju przyjechały do Berlina, mimo że ustawy norymberskie uchwalono już rok wcześniej. Moment triumfu niemieckiego sportu Hitler wykorzystał na własny użytek. Putin natomiast przypisał sobie zasługi za godzinę triumfu sportu rosyjskiego. Miał zresztą prawo to zrobić, ponieważ to właśnie on wydał rozkaz rozpoczęcia operacji specjalnej, w ramach której agenci wywiadu podmieniali próbki moczu sportowców naszprycowanych środkami dopingującymi.

Tomaszowi Mannowi nie udało się wyrwać Niemców, zmienionych w zombie, z letargu. Musiał wyemigrować. Teraz jest podobnie: kultura rosyjska żyje tylko na wygnaniu. Ludzie, którzy zostali w Rosji, mają do wyboru śpiewanie patriotycznych pieśni albo milczenie. *Czy kultura może istnieć bez swojego, skażonego faszyzmem, terytorium?* – pytał Tomasz Mann, by wkrótce samemu odpowiedzieć. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych podczas wywiadu wyznał: *Gdzie ja jestem, tam są Niemcy. Kulturę niemiecką noszę w sobie.* Na przykładzie Niemiec Mann mówi nam, dlaczego kultury nie można pogodzić z reżimem Putina: *[…] w moim pojęciu te książki, które w latach 1933–1945 mogły się w ogóle ukazać drukiem w Niemczech, są bardziej niż bezwartościowe i nie zasługują, by je wziąć do ręki. Przylgnęła do nich woń krwi i hańby; powinno się je wszystkie oddać na przemiał. Nie wolno było, nie było można uprawiać w Niemczech «kultury», podczas gdy wokół działy się sprawy, o których wiemy. Oznaczałoby to upiększanie degradacji, zdobienie bandytyzmu.* („Dlaczego nie wracam do Niemiec?", 1945, przeł. Wojciech Kunicki). Wszystkie dyktatury wykorzystują kulturę do „upiększania" swoich zbrodni.

By trwać, każda dyktatura potrzebuje wrogów i wojen. W liście do dziekana uniwersytetu w Bonn (z 1936 roku) Tomasz Mann opisuje reżim nie tylko hitlerowski, ale także putinowski: *Sensem i celem narodowosocjalistycznego systemu państwowego może być tylko jedno: przygotować naród niemiecki do «przyszłej wojny» przy bezwzględnym wykluczeniu, zdławieniu, wytępieniu wszelkich odruchów, które mogłyby się temu sprzeciwiać* (przeł. W. Kunicki).

W okresie przedwojennym powodem cierpienia Tomasza Manna były nie tylko Niemcy, ale – w równym stopniu – także tolerancja Zachodu wobec Hitlera oraz polityka *appeasementu*. Inwazja na Ukrainę z kolei nie byłaby możliwa bez podejmowanych przez lata wysiłków apologetów Putina z krajów demokratycznych. Zachodni politycy zignorowali desperackie wezwania rosyjskich pisarzy do bojkotu Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w 2018 roku. Wojna w Ukrainie trwała wtedy już 4 lata, pochłonęła tysiące istnień, ale nie powstrzymało to żadnego państwa przed wysłaniem swoich reprezentantów do Rosji, by grali w futbol przed siedzącym na trybunach Putinem. Dyktator odebrał to jako milczące przyzwolenie na agresję, które otworzyło drogę ku napaści 24 lutego 2022.

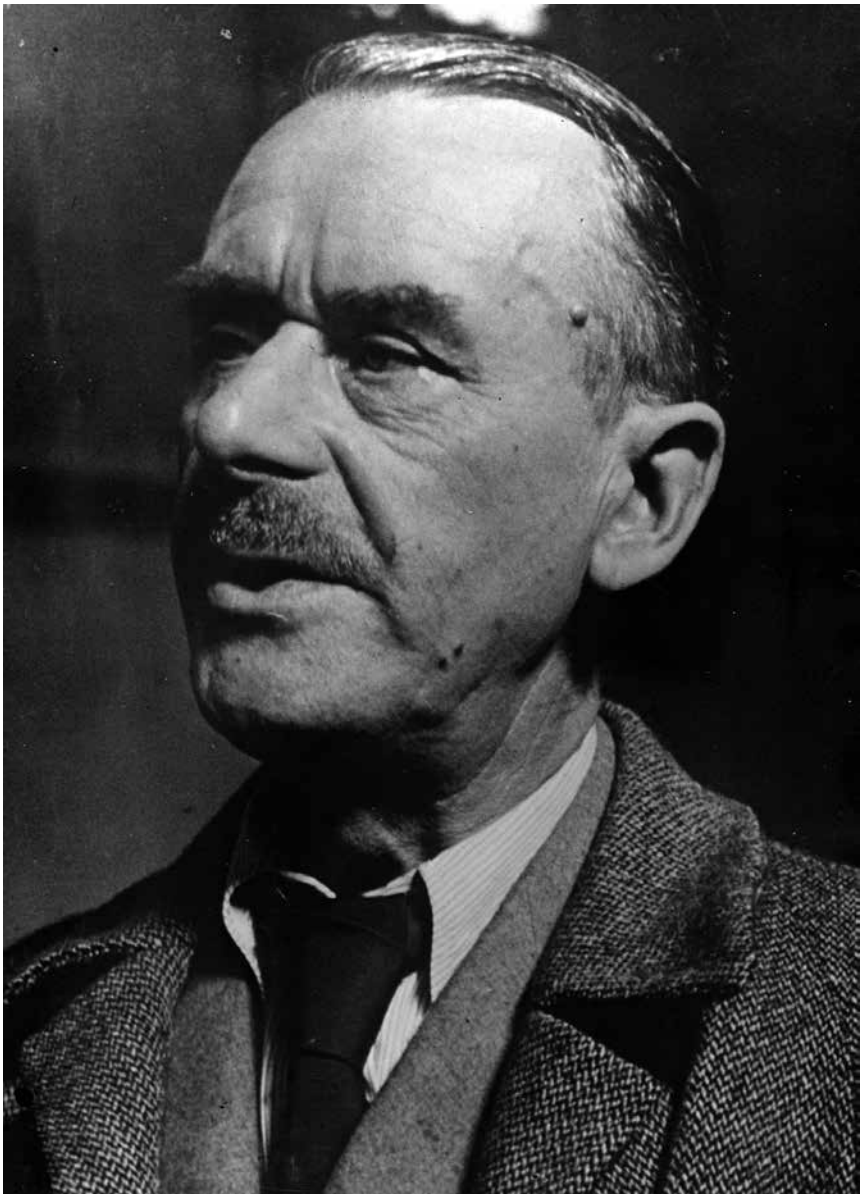
Rosyjska kultura jest unieważniania za granicą tak jak niegdyś kultura niemiecka. Gdy amerykański studenci odmówili zgłębiania kultury i języka kraju, który wydał z siebie nieludzką ideologię i rozpętał wojnę światową, Tomasz Mann stwierdził, że odrzucenie reżimu politycznego nie powinno przekładać się na niemiecką kulturę. Ta bowiem nie ma z nim nic wspólnego. To było w 1938 roku. Pisarz zmienił zdanie, gdy na światło dzienne wyszły nazistowskie zbrodnie. Jego zdaniem Hitler mógł uwieść niemieckie społeczeństwo, a następnie zadać mu gwałt na podwalinach położonych przez niemiecką kulturę i historię, przez niemiecki romantyzm. *[…] opadłszy na żałosny poziom masowości, na poziom takiego Hitle-*

ra, romantyzm niemiecki eksplodował histerycznym barbarzyństwem, upojeniem, skurczem wyniosłości i przestępstwa, który teraz w narodowej katastrofie, w psychicznym i fizycznym załamaniu, które nie mają sobie równych, koniec swój znajduje („Niemcy i naród niemiecki", 1945, przeł. W. Kunicki). Teraz my, Rosjanie, musimy poddać naszą klasyczną kulturę ponownej ocenie i odczytać naszą literaturę na nowo przez pryzmat wojny w Ukrainie. To będzie ważne doświadczenie, bo nigdy jeszcze nie patrzyliśmy na naszych klasyków z takiej perspektywy. Nie docierały do nas imperialistyczne nuty wybrzmiewające w wielkich rosyjskich powieściach. Daliśmy się uwieść słynnym łzom dziecka w „Braciach Karamazow", za nieistotne uznając fanatyczne wezwania Dostojewskiego do krucjaty przeciwko Zachodowi, jego nienawiść do wszystkich nie-Słowian, a także szczególną nienawiść wobec Słowian, którzy „zdradzili" Rosję. Nie traktowaliśmy poważnie naiwnych wynurzeń Tołstoja o prawdzie, której nośnikiem mieli być analfabeci i rosyjskie chłopstwo, a nie edukacja i kultura czy społeczne oraz technicznie zdobycze zachodniej cywilizacji.

A jednak to właśnie kultura jest naszą jedyną bronią przeciwko barbarzyństwu. W powieści „Lotta w Weimarze" Tomasz Mann czyni Goethego swym *porte-parole* i mówi o narodzie, który uległ degeneracji ku barbarzyństwu: *Nie cierpią mnie — dobrze, ja ich też nie cierpię i jesteśmy kwita ze sobą. Ja dla siebie mam swoją niemieckość — niechże ich diabeł porwie razem z ich złośliwym filisterstwem, które nazywają mianem niemieckości. Zdaje się im, że Niemcy to oni, ale Niemcy to ja i choćby one do gruntu przepadły, trwałyby nadal we mnie* (przeł. Feliks Konopka). Niemcy przepadły na oczach autora zrujnowane przez Hitlera i jego wojnę. Teraz Rosja ginie na naszych oczach. Wtedy chodziło o ocalenie niemieckiej kultury, teraz stawką jest przetrwanie kultury rosyjskiej.

Mann każe Goethemu zdefiniować własną niemieckość: *[…] niemieckość to wolność, kultura, wszechstronność i miłość — a że oni tego nie widzą, to rzeczy nie zmienia. Tragedia między mną a tym narodem?* [tłum. za F. Konopką]. To także definicja mojej rosyjskości: wolność, kultura, wszechstronność oraz miłość – nie mają one nic wspólnego ani z Niemcami, ani z Rosją, lecz składają się na nasze wspólne człowieczeństwo, które wykracza poza narodowe granice i tworzy globalną kulturę, kształtującą nasze intelektualne współistnienie na ziemi.

Czy jednak symfonie i poematy są odpowiedzią na bomby i więzienia? Najwspanialsze literackie dzieła ludzkości nie mówią o nienawiści, lecz o miłości. Czy kultura w bitwie z barbarzyństwem skazana jest na klęskę? Tomasz Mann odpowiada na to pytanie jednoznacznie: nie! Kultura, demokracja i cywilizacja muszą umieć się obronić: *Europa przetrwa tylko, jeśli humanizm odkryje w sobie męstwo, jeśli nauczymy się stawiać opór i działać rozumiejąc, że wolność nie może równać się dawaniu wolnej ręki tym, którzy pragną ją zniszczyć* („Humaniora und Humanismus", 1936). Tylko „humanizm walczący" może ocalić światową kulturę. Barbarzyństwo trzeba pokonać siłą, w wojnie. To być może najważniejsze przesłanie Manna skierowane do nas, Rosjan: jeśli kochamy nasz kraj, musimy życzyć mu dotkliwej porażki w niesprawiedliwej wojnie, którą sam rozpętał.



Tomasz Mann toczył swoją własną bitwę na radiowych falach w audycjach skierowanych do rodaków i zatytułowanych „Niemieccy słuchacze!". We wczesnych przemówieniach wyrażał nadzieję, że jego naród, prowadzony na manowce przez nazistów, opamięta się i powstanie przeciwko dyktaturze Hitlera. Pisarz żywił naiwne przekonanie, że Niemcy tak samo jak on pragnęli klęski Hitlera. *Piekło nastało dla was, Niemcy, kiedy nastali ci przywódcy. Do piekła z nimi i ich kompanią! Wtedy, wciąż jeszcze, może nadejść dla was ocalenie, może nadejść pokój i wolność* (przeł. Małgorzata Łukasiewicz) (listopad 1941). Jego wiara w istnienie sił dobra w niemieckim społeczeństwie wkrótce się załamała. W obliczu straszliwych zbrodni popełnianych przez reżim i niewzruszonego milczenia społeczeństwa Mann podniósł kwestię zbiorowej winy Niemców: *nie istnieją dwa narody niemieckie, dobry i zły, ale tylko jeden, którego najlepsze cechy za sprawą diabelskiego podstępu obróciły się w zło. Złe Niemcy to dobre Niemcy, które obrały błędną drogę, dobre w nieszczęściu, w winie i upadku. Dlatego umysł związany miejscem narodzin z Niemcami nie jest w stanie całkowicie wyprzeć się złych, obciążonych winą Niemiec i zadeklarować: «Ucieleśniam dobre, szlachetne, sprawiedliwe Niemcy w białej szacie, złe wam oddaję, abyście je wytępili»* („Niemcy i naród niemiecki", przeł. W. Kunicki).

Zła Rosja Putina to dobra Rosja na manowcach, pechowa, zrujnowana i pełna winy. Jak to możliwe, że miliony rosyj-

skich kobiet i mężczyzn popiera zbrodnie własnego państwa i posłusznie rusza na wojnę, by zabijać Ukraińców? Gdzie przebiega granica między złym rosyjskim państwem a jego dobrymi obywatelami?

Czy Niemcy w ogóle słuchali Tomasza Mana, czy może jego audycje były jedynie desperackimi nawoływaniami skierowanymi w próżnię? Wielokrotnie mówił o pogromach Żydów, które miały miejsce wszędzie tam, gdzie pojawiły się niemieckie wojska – we Francji, w Austrii i w Polsce. *Według informacji polskiego rządu na emigracji gestapo już wymordowało albo zadręczyło na śmierć ogółem siedemset tysięcy Żydów […] Wiecie o tym, Niemcy?* (27.09.1942). W 1945 roku odpowiedź na te pytania brzmiała: „Nie wiedzieliśmy".

Przypuszczam, że podczas wojny większość Niemców uważała Tomasza Manna za zdrajcę, tak jak teraz Rosjanie widzą zdrajców w swoich proukraińskch pisarzach przebywających na emigracji. Książki i artykuły opublikowane w Internecie przeze mnie oraz innych autorów krytycznych wobec reżimu nie dotarły do szerokiego grona rosyjskich czytelników, którzy podążają za swoim przywódcą wprost ku otchłani. Czy Tomasz Mann, posądzany przez swych rodaków o „zdradę", również otrzymywał od nich groźby śmierci? Latami wygłaszał w radiu przemówienia, nie wiedząc, czy ktokolwiek go słyszy. Jego słowa były przekleństwem dla „niemieckich słuchaczy". Tak zwani „przestępcy radiowi" podlegali surowym represjom i karom, a niektórzy z nich – również karze śmierci. Dla samego Manna audycje te stanowiły klucz do własnego przetrwania. To one były jego orężem w walce przeciwko Hitlerowi, to za ich pomocą brał w obronę niemiecką kulturę i język. *Przetrwanie oznacza zwycięstwo. Decydując się żyć, walczyłem z tymi bluźniercami człowieczeństwa, wyszydzając ich i przeklinając. Zatem jest to także moje osobiste zwycięstwo* („Historia powieści", 1949). Pisarz bronił swoich Niemiec i swoich niemieckich wartości: wolności, kultury, wszechstronności i miłości. Dał nam przykład tego, że pisarze, nawet odcięci od czytelników, zdradzeni i okryci niesławą we własnym kraju, nie powinni rezygnować z walki. Musimy teraz bronić naszego języka rosyjskiego przed Putinem i zbrodniarzami wojennymi, tak jak Tomasz Mann bronił swojej mowy – osamotnieni, jako „zdrajcy" własnego kraju, przeciwko własnemu narodowi.

28 marca 1942 roku alianckie bomby, w rewanżu za zniszczenie Coventry, zrównały z ziemią Lubekę, rodzinne miasto Manna. W ogniu zginęły setki ofiar, a dom Buddenbrooków obrócił się w gruzy. Mann z trudem wypowiedział następujące słowa: *Myślę […] o Coventry i nie mam nic do zarzucenia doktrynie, że za wszystko trzeba zapłacić* (przeł. M. Łukasiewicz). Czy zamordowane niemieckie dzieci także ponoszą zbiorową odpowiedzialność? Czy musiały zapłacić własną krwią za krew dzieci angielskich?

Tomasz Mann z furią apeluje o bombardowanie niemieckich miast: *Dwa tysiące podniebnych gigantów każdego dnia nad tym bagnem kłamstw – nie ma innego sposobu. Trzeba położyć kres tej bezprzykładnej hańbie, temu odrażającemu, ohydnemu oszustwu, temu gwałtowi zadanemu słowu i idei, tej niezmierzonej żądzy mordu na prawdzie. Trzeba zniszczyć to wszystko za wszelką ceną i wszelkimi środkami* […] (28.03.1944).

Mój ukraiński przyjaciel mówi: „Jeśli za każdą rakietę, która spadnie na Charków lub Kijów, inna rakieta uderzy w Moskwę lub Petersburg, wojna skończy się szybciej. To jedyna droga do pokoju". Czy rosyjskie dzieci muszą teraz zapłacić własną krwią za krew dzieci ukraińskich?

Tomasz Mann daje odpowiedzi, ale są to jego odpowiedzi na moje pytania. Czy emigrant żyjący daleko od wojennej pożogi ma jakiekolwiek moralne prawo, by ogłaszać, że cały naród ponosi zbiorową winę? Czy rosyjskie miasta również muszą zginąć strawione „ogniem piekielnym", jeśli taka właśnie jest cena pokoju? Jeśli mówimy, że za wszystko trzeba zapłacić, zgadzamy się, by dzieci, które dziś się śmieją, wkrótce poniosły zbiorową winę. Czy chcę wziąć na siebie taką odpowiedzialność? *Znajdzie się więcej ludzi z Lubeki, Hamburga, Kolonii i Dűsseldorfu, którzy też nie wnoszą zarzutów i słysząc huk bombowców Royal Air Force nad głowami, życzą im powodzenia* (przeł. M. Łukasiewicz). Czy moi rodacy będą w stanie życzyć powodzenia ukraińskim rakietom?

Tomasz Mann wierzył w przyszłość swojego kraju. *Łaska jest silniejsza niż wszelki cyrograf. Wierzę w nią, i wierzę w przyszłość Niemiec, niezależnie od tego, jak rozpaczliwie wygląda ich teraźniejszość, jak beznadziejne jawi się zniszczenie. Przestańmy wreszcie mówić o końcu niemieckiej historii! Niemcy nie są tożsame z krótkim i mrocznym epizodem dziejów, który nosi nazwisko Hitlera* („Dlaczego nie wracam do Niemiec?", przeł. W. Kunicki) . Mann upatrywał szansę w zniszczeniu państwa, które stało się narzędziem tyranii: *Goethe posuwał się – choć tylko w rozmowie – tak daleko, że życzył sobie niemieckiej diaspory. «Niemców – powiadał – rozproszyć należy po całym świecie jak Żydów!». I dodawał: «aby rozwinęli tę masę dobra, jak w nich tkwi, ku zbawieniu narodów». Masa dobra – ona istnieje, nie mogąc się spełnić w tradycyjnej formie państwa narodowego* („Niemcy i naród niemiecki", przeł. W. Kunicki).

Tomasz Mann miał prawo wierzyć w demokratyczną przyszłość Niemiec, ponieważ właśnie taki jej kształt zagwarantowali alianci po zniszczeniu nazistowskiego reżimu. Jak wyglądałaby przyszłość Niemiec, gdyby Gestapo pozostało przy władzy? Jaka będzie przyszłość mojego kraju? Kto zadba o demokratyczną przyszłość Rosji? Kto przeprowadzi deputinizację? Kolejny Putin? Kto zorganizuje „procesy norymberskie" przeciwko zbrodniarzom wojennym? Sami zbrodniarze wojenni? Czy wierzę w demokratyczną przyszłość dla Rosji?

Tomasz Mann swoją ostatnią audycję radiową, 10 maja 1945 roku, zakończył następującymi słowami: *Mimo wszystko to wielka godzina, powrót Niemiec do człowieczeństwa*, przeł. M. Łukasiewicz*).* Czy wielka chwila powrotu Rosji do człowieczeństwa kiedyś nadejdzie?

Tłumaczenia dokonano na podstawie angielskiego przekładu Simona Pare. Artykuł Michaiła Szyszkina ukazał się pierwotnie w języku niemieckim we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" 10 stycznia 2023 roku. ■



Michaił Szyszkin (1961), rosyjski pisarz od 1995 roku żyjący w Szwajcarii, autor powieści i laureat wielu nagród literackich w Rosji i na świecie. Na język polski przetłumaczone zostały powieści: *Włos Wenery* (2005) i *Nie dochodzą tylko listy nienapisane* (2010). W 2013 roku odmówił uczestnictwa w delegacji pisarzy rosyjskich na Targi Książki w Nowym Yorku, motywując swoją decyzję niechęcią reprezentowania przestępczego reżimu Putina. W kolejnych latach apelował do społeczności Zachodu m.in. o bojkot Igrzysk Olimpijskich w Soczi, a także innych masowych imprez organizowanych przez Rosję. W bieżącym roku ukazał się w języku angielskim jego zbiór esejów *My Russia. War or Peace?* (polski przekład w przygotowaniu), w której autor podejmuje próbę wyjaśnienia czytelnikowi zachodniemu źródeł postaw Rosjan w aktualnej sytuacji politycznej.

Sprint

Kiedy wybieram dentystę, zawsze kieruje się tym, jakie ma oczy. Żałuję bardzo, że na stronach internetowych oceniających medyków nie ma dokładnej optometrii, zdjęcia, albo chociaż komentarza, który o oczach opowie. Kiedy już ktoś patrzy na mnie tak dokładnie, to chciałbym patrzeć w ładne oczy. Jak ma ładne oczy, to widać w nich ładniej moje przerażenie i strach. A to, jak coś wygląda, nie zawsze odpowiada rzeczywistości. Tak jak sercem dentystów są oczy, tak maczugą zabójcy są ich ciche najki do biegania, bo ważne, żeby nie niszczyć sobie kolan. Japonek nie zawsze noszą Japończycy, bo oni tam chyba nie przenoszą żon przez próg. Widziałem za to jak łysa Pani wychodzi w japonkach z oddziału radioterapii szpitala w Katowicach. Kiedy szedłem w drugą stronę zobaczyłem dwa banery, jeden obok drugiego, bezpośrednio naprzeciwko wyjścia, reklamy peruk. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem reklamę włosów, która nie proponowała ich usunięcia i zapłakałem w duchu. W duchu, bo autostrada płaczu, która jest walidacją łączności duszy z oczami czasami przez nadmiar cystern staje się zakorkowana. Potem tylko jak szampan, wybucha raz na (ruski) rok – kiedy kończy się papier albo pierogi stają się ukraińskie, wbrew powszechnemu przekonaniu i potrzebie.

Potrzeby peruk, japonek i najków są potrzebami, które można zaadresować. Tytuł tego zbioru inspirowany jest człowiekiem, który, podobnie jak utwory, przerwany został nagle i bez sensu.

Powrót

Kiedy dwadzieścia lat temu wyszedłem z domu po paczkę papierosów, nie spodziewałem się, że kiedyś przyjdzie moment, w którym wybiorę się w drogę powrotną. Chodziło się to tu, to tam, starało się przeć do przodu. Ale w urzędach i u lekarza nie. Tam się chodzi do tyłu. Człowiek liczył, że załatwi. Dopiero kiedy załatwił siebie, sprawa stawała się jasna. Choć to też dopiero po podpisie lekarza, który oświecał sytuację białym kitlem. Piękny niebieski ryt człowieka błękitnej krwi pozwala stanąć przed świętym Piotrem ze stosownym świstkiem. Akt zgonu mili państwo. Ale! Istnieją również rozwiązania hurtowe. Dzięki pomnikom nieznani żołnierze również mogą składać podanie o niebiański akademik.

Ale nie o tym miało być. Chciałem opowiedzieć o tym, że lubiłem uciekać. Z domu, z osiedla, z lekcji. Wracałem, bo musiałem, bo przyrodzony suweren miał nade mną władzę, której nie mogłem znieść. Próbowałem sobie tych władców jakoś zmieniać, substytuować. Dlatego dziewczyn miałem wiele. Dużo dziur w duszy wymagających pewnej ręki pań okulistek. Niestety dostęp do obnażonej, tętniącej tkanki był chwilowy i trwał do momentu spazmatycznej euforii. Dalej była pustka. Nikogo nie zatrzymałem. Nie uwiązałem. Nawet mężczyźni w moim życiu byli tylko cieniami. Głównie cieniami „swoich" kobiet. Próbowali się za wszelką cenę dostać do emocjonalnych mercedesów, samemu pędząc na złamanie karku w tanich gwintowanych betach. Ekwiwalentyzowali swoje uczucia za pomocą cyferek i pierdzących wydechów. Myśleli, że sześć tysięcy obrotów jest subtelniejsze od bicia serca, choć jak już faktycznie bili, to mocno. Subtelne i eleganckie mercedesy z politowaniem przyglądały się tej błazenadzie, zastanawiając się przy tym nad nowym lakierem.

Ja tymczasem woziłem się taczką, zbierając cegiełki na paczkę papierosów. Palenie łagodziło głód. Więcej niż głód jedzenia, dlatego wybór tytoniu nad jedzenie był zaskakująco oczywisty. Tytoń to przestrzeń do spotkania podobna do fastfoodów. W McDonaldsie można spotkać żebraka i biznesmena. Polaka i Gruzina. Fajka i alkohol to język uniwersalny. Są świadectwem człowieczeństwa wśród wypranych pieniędzmi stoików. Bałem się tych poważnych ludzi. Oni wiedzieli, kiedy kupować i kiedy sprzedawać. Ja kupowałem, kiedy miałem za co i sprzedawałem, kiedy nie miałem nic. Tak dwadzieścia lat minęło w mgnieniu oka, bo i w mgnieniu oka zostałem skazany na tułaczkę tam, gdzie znajdzie się miejsce nawet dla najgorszego syna, brata, ojca, przyjaciela. Czuje wyskrobane misternie przez pijanego kamieniarza „D.O.M.", to tutaj.

Obrona

Instytucjonalne krzesła są bardzo niewygodne. Szczególnie te na korytarzu zdają się być zaprojektowane po to, by samoistnie wzbudzać stres. Ich twardość i niewyjaśniona krótkość lub plastikowość prowokuje kortyzolową erekcję. Klamki koloru stali, ale u diabła nie wiem do końca, czy to na pewno metal, czy raczej coś co do złudzenia ma przypominać o solidności. Tak jakby powstały w obawie przed zmasowanym atakiem w celu zgwałcenia prywatności kserokopiarki. Wzrokiem odnalazłem w kącie korytarza kanapę, która była zdecydowanie za niska, ale wygodniejsza niż krzesło – broń obosieczna. Krzesło daje schronienie niczym przystanek w ulewie, a kanapa wciąga, zaprasza, uwodzi, dotyka, obejmuje i usypia. Siadam i spisuję się na straty. Zapadam się w myśli odległe nadchodzącej egzekucji. Myślę, że Hiszpania to kraj piękny. Czuje na głowie wysmażoną na czerń czapkę z daszkiem. Upierdliwy piasek wchodzący w szczeliny kąpielówek. Czuje się mały. Czuje się kroplą w morzu. Jestem samotną brzozą.

– Pan Jakubik.

Zawieszam się na „samotną". Staję do boju.

Pewnie kroczę w stronę drzwi, bo jestem pewny, że nie mam szans. „Dzień dobry" – mówię i siadam na chybotliwym krzesełku. Przytakuję, słysząc „propedeutyka", unoszę brwi wtórując „hermeneutyce". Z góry patrzy na mnie Augustyn, z dołu wrzeszczy Dante, a ja po prostu patrzę na klamkę.

W skroni brzęczy mi: „Litwo, ty kurwo" i „Łęcka, ojczyzno moja". Zmieniam kierunek *ad fontes* i krzyczę z pasją NON OMNIS MORIAR. Unoszę dłoń w geście powitania, szepcząc *memento mori*. Odmachuje mi Chrystus Pantokrator. Cesarz Justynian do orszaku zaprosił Salomeę z moją głową. Ale nic z tego! Art. 50: „Zakaz ponownego sądzenia lub karania w postępowaniu karnym za ten sam czyn zabroniony pod groźbą kary". Już dzisiaj umarłem i powstałem. Powstałem. Stoi na

krześle Pan Jakubik. Ciężki! Ogromny! I pot z niego spływa! Stoi i sapie dyszy i bucha. Żar z rozgrzanego jego serca bucha:

Morsztyn – jak gorąco!
Morsztyn – jak gorąco!
Morsztyn – jak gorąco!
Mróz – jak gorąco!

Safona się w grobie przewraca, kiedy Jakubik jej przymioty do obcasów skraca. Pluje i bluzga. Rękami macha. Komisja niewzruszona punkty dodaje. Patrzy spode łba na łeb pustawy. Mówi:

– Cztery. Ale to bardziej za inteligencję niż za wiedzę. Spotkamy się na retoryce.

– Dziękuję, na retorykę to się akurat cieszę.

– To się okaże. Zapamiętam sobie pana.

Klamkę chwytam jak brzytwę, jak ratunek ostatni. Wyszedłem! Wygrałem! Krzyczę, że cztery. W mig się zbiera tłum gapiów. Kopią, pytając: pytania jakie? Humor nie taki?

Mdleję, umieram. Na nic mi się zdały poradniki *ars moriendi*.

Pełnia

Kiedy pierwszy raz usłyszałem, że pełnia księżyca to czas magiczny, uśmiechnąłem się kpiąco w duchu. Wielu moich rozmówców na przestrzeni lat podawało w wątpliwość istnienie nadprzyrodzonych wpływów tego ogromnego kamienia zawieszonego w przestrzeni kosmicznej. Zdarzali się jednak też tacy, którzy byli przekonani o wyjątkowości pełni, o jej wpływach na ludzką kondycję lub wręcz odebranie ludziom człowieczeństwa. Bajki o wilkołakach odbierałem jako literacką animizację wyrzutków i samotników, których dziwność społeczność tłumaczyła sobie zażyłością z magią i okultyzmem. Tak się zdarza, że nadnaturalne wytłumaczenia są niejednokrotnie bardziej naturalne od racjonalnego podejmowania szermierki argumentacyjnej. Ot, taka ludzka fanaberia.

Czas mijał, a moje zdanie w tej przestrzeni nie wymagało korekty. Żyłem, zapominając o istnieniu księżyca, a pomagały mi w tym gęste chmury gromadzące się nad Krakowem. Miałem wtedy z mieszkania widok na stary, chyba żydowski, zaniedbany cmentarz. Szczerze powiedziawszy, to niewiele wskazywało na cmentarność tej przestrzeni. To tu, to tam, w odległości kilkudziesięciu metrów znajdowały się wytarte kamienie nagrobne. Przypominało to raczej park, w którym ktoś kiedyś, jakby przypadkiem, pochował kilku nieszczęśników. Teraz kilkadziesiąt metrów obok mieści się pokaźnej wielkości Lidl, do którego ludzie przyjeżdżają codziennie, a szczególnie w weekendy, by, jakby przypadkiem wrzucać do swojego koszyka mniejsze lub większe kawałki zwłok. Popularnie na te zwłoki mówi się „udko" albo „pierś", ale te słowa zostały tak wytarte przez czas, że nikt nie pamiętał, co one naprawdę znaczą. W przepisie było udko, to kupowało się udko, co mniej wytrawny kucharz mógł więc pomyśleć, że „szafran" jest jakimś egzotycznym azjatyckim karaluchem. Oni tam przecież jedzą takie rzeczy, widziałem w Internecie mnóstwo materiałów traktujących o obrzydliwych budkach serwujących bardziej lub mniej żywe robaki. Faktycznie, może się to wydawać, że to dużo dziwniejsze od trzymania żywego karpia w wannie. Dobrze, że relacja wanna – stół jest uruchamiana jedynie raz do roku, bo inaczej ktoś przypadkiem mógłby zjeść swojego krewnego.

Na tym żydowskim cmentarzu, w okolicach tablic rosły rozłożyste buki. Trudno było określić, czy to ludzie chcieli być pochowani pod bukami, czy buki chciały na ludziach wyrosnąć. Jeden z tych Buków miał swojego martwego patrona bardzo blisko metalowej siatki służącej za ogrodzenie. Drzewa nie rozumieją tego, że nie mogą wchodzić bezkarnie na teren sąsiada. Nie rozumieją konceptu własności. I tutaj też trudno określić, czy to głupota drzew, czy raczej głupota człowieka. Tak czy siak, sąsiad powziął decyzję o wystosowaniu kary za wkroczenie na posesję. Nie miał możliwości wycięcia drzewa, bo teren cmentarza był prawnie chroniony. Wpadł zatem na błyskotliwy pomysł podtruwania wielkiej rośliny. Codziennie rano, w okolicach godziny ósmej wbijał strzykawkę w tętniący życiem pień. Pod twardą skórą było tak wiele żył, że nie sposób było nie trafić. Żyd, na którym wyrósł Buk dobrze wiedział, co się święci. Jemu też podawali truciznę, jakby przypadkiem, wrzucali arszenik do herbaty w kopalnianej stołówce. Wszyscy o tym wiedzieli. Teraz ja też wiedziałem, i sąsiedzi wiedzieli, że Buk umiera. Jestem przekonany, że spędził wiele bezsennych nocy zastanawiając się, dlaczego ktoś go tak nienawidzi i dlaczego nikt nie staje w jego obronie, ale dla Żyda to też nie było niczym nowym. Po niespełna roku Buk zrezygnowany popełnił samobójstwo, odciął wszystkie liście i zamknął się w swoim drewnianym więzieniu czekając na głodową śmierć. I to też nie było nic nowego.

Sąsiad truciciel był zawodowym pokerzystą. Jeździł na turnieje i wygrywał ogromne pieniądze. Wszyscy chwalili jego umiejętności, przebiegłość, spryt i odporność na stres. Był podziwianym wojownikiem, który sam wszystko zdobył i sam z tego wszystkiego korzystał. Czasami do mnie na kawę przychodziła Agnes. Kształtna, młoda instagramerka. Znałem ją jeszcze ze szkolnych czasów. Ona znała Pokerzystę z tego, że dobrze płacił i trzymał język za zębami. Zdradziła mi kiedyś w sekrecie, że jedyne czego musiał się nauczyć w swojej karierze to tych śmiesznych znaczków na kartach. Ukrywanie emocji praktykował od urodzenia, wtedy, kiedy poniżali go w szkole albo bili w domu. On zawsze był niewzruszony. Poker był strzałem w dziesiątkę.

Kilka dni temu, 16 lutego, w pierwszą pełnię tego roku, powiesił się na tym, co pozostało z Buka. Zobaczyłem go, kiedy już wisiał, dyndającego, wstrząśniętego konwulsjami. W końcu było po nim widać, że jest człowiekiem. W końcu, po ponad dwudziestu latach udało mu się, jakby przypadkiem, osiągnąć pełnię człowieczeństwa. Chociaż i tak przypuszczam, że wielu z jakiegoś durnego powodu nazwałoby go wilkołakiem.

Sąsiad

Pszczołom poświęciliśmy w motywach literackich wiele przestrzeni. Wychwalamy je za ich zorganizowanie i pasję do pracy. Niewolnicza produkcja miodu i zapewnianie owocowania sprawiają, że nie możemy wyjść z podziwu jak jeden gatunek jest w stanie wpłynąć na rzeczywistość. Jeden gatunek oprócz nas. Na pszczoły patrzymy z antropocentrycznym zachwytem. Chcemy w nich widzieć samych siebie.

– Powiedział mi, że mogło koło odpaść. Nie do końca chce mi się w to wierzyć, ale ja tam się na tym nie znam.

– Gdzie tam koło odpadło. Nie może być tak źle. A co tam się zepsuło?

– Wahacz? Nie… nie… Jakoś inaczej to się nazywało, cholera. Przypomnę sobie za chwilę. On mi to pokazywał, jak tam wjechałem.

– Dobra, to wjedź na kanał zobaczymy. Tylko wyjadę tym.

I wyjechał. Ale zanim to, musiał jeszcze chwilę potrzymać tam ten zmęczony samochód. Tutaj za warsztatem jest spory ogród. Pszczoły w nim od wielu lat znajdują schronienie, dzięki czułym dłoniom ojca właściciela warsztatu. Przy kontuarze widać pszczelarskie dyplomy. W zeszłym roku malowałem u nich biały zardzewiały płot. Teraz zawsze jak przejeżdżam obok, co zdarza się często, pokazuje znajomym, że to ja ten płot odnawiałem. Czuję się wtedy jakbym miał wpływ na to jak wygląda i jak funkcjonuje moje miasto. Łudzę się, ale jest to ułuda przyjemna. Teraz to jest szary, jednostajny, modny płot. Atrakcyjny. Spory baner z czarno-żółtym Lamborghini zwiastuje nietuzinkowe usługi klimatyzacyjne i pszczelarskie jednocześnie. Choć o tym drugim mało kto pamięta. A po prawej duży dom sąsiada. Kiedy malowałem płot to sąsiad podszedł i zagadnął. Podał swój numer i powiedział, że on też by zapłacił za takie malowanie płotu. No i byliśmy w kontakcie. Niestety nie dogadaliśmy się co do termin. A teraz:

– Teraz to tam jego pracownik mieszka. A taki duży dom. Pieniędzy miał tyle, że nawet nie wiedział, gdzie je chowa. Kiedyś tam ten pracownik znalazł na strychu zawinięty plik banknotów. Kiedy ten mu pokazał, to się okazało, że ten ani nie wiedział. On robił te takie protezy szczęki. Horrendalną kasę na tym robił. A teraz siedzi. Nie wiadomo do końca za co. Rodzice tej dziewczyny powiedzieli, że mu nie odpuszczą, ale czy to gwałt był, nie wiadomo. On tam jeździł nad jakieś tam jezioro do takiego nie bardzo towarzystwa i chyba go za coś złapali.

Opowiedział ojciec-pszczelarz. Potem auto wjechało na kanał. Pokazałem, co i jak, i faktycznie było kiepsko. Kilka dni później ojciec spadł z drabiny i się połamał. Powoli się zrastają jego stare kości. A samochód? Samochód jeździ, jeździ bardzo dobrze.

Święta

Jezus, tak mi się przedstawił. Słyszałem o nim na lekcji religii w podstawówce. Pamiętam, że ksiądz uporczywie powtarzał, że żyje wśród nas i można go spotkać, że niektórzy muszą się postarać, żeby móc doświadczyć jego miłości. Nie bardzo byłem w stanie zrozumieć o co chodzi. Tym bardziej nie do końca rozumiem po tym, jak już go spotkałem.

Miał wytarte zielone vansy i bluzę z symbolem polski walczącej. Nie był przekonany, czy powinien był ją nosić, ale dostał ją za darmo w Caritasie, więc głupio było odmówić. Miał sprężysty chód, ale widać po nim było, że jest trochę spięty. Sfrustrowany, bezsilny. Mówił, że w domu nie bardzo się układa. Pieniędzy brak. Ojciec cały czas w pracy, a matka trudzi się domową robotą. Stary fiat uno od dawna powinien zostać zezłomowany, ale ojciec potrzebuje samochodu do pracy.

Widać było, że jest bystry i błyskotliwy, ale dostawał trójе i dużo uwag. Całe szczęście rada pedagogiczna dużo mu wybaczała. „Uczynny i aktywny społecznie" – tak go opisywali. Ale szkoły nie skończył. Po ostrej kłótni Proboszcz nie wyraził zgody na promocję do następnej klasy. Wiedzę miał nienaganną, ale też niewyparzoną gębę. Nie lubi twardych zasad. „W kabale nie ma miejsca dla człowieka" – powiedział, podając mi piwo.

Dorywczo pracuje w firmie brukarskiej ojca. Mówi, że męczy go fizyczna robota i nie może patrzeć na to, jak powykręcani reumatyzmem dziadkowie układają kostkę. To nie alkohol i choroby sprawiają, że nie mają siły pracować. To brak sensu życia.

Śmieje się, że współcześnie robienie znaku krzyża to przeżytek. Ten gest raczej kojarzy mu się ze „znakiem samolotu", a zamiast drzewa krzyża, wskazuje na brzozę. Do kościoła ma zakaz wstępu po tym, jak pobił kościelnego podczas zbierania ofiary. Nie miał przy sobie gotówki, a kościelny nie przyjmował odmowy. Podobno krzyczał przy tym: „nie będziesz żądać ode mnie pieniędzy, w kościele wybrukowanym przez mojego ojca", ale kto wie, czy to prawda.

Mówi, że chciałby być jak Marcin Luter. Uważa, że to był człowiek, który kwestionował zasady i szukał w systemie miejsca dla człowieka. „Trzeba wierzyć w to co się robi" – powtarza. Razem ze swoimi przyjaciółmi jest wolontariuszem, twierdzi, że ludzie potrafią docenić dobro.

Wymieniliśmy się numerami. Jak miałem gorszy dzień, potrafił mnie pocieszyć. Był taki wesoły i zawsze służył dobrą radą. Kiedy z nim rozmawiałem, miałem wrażenie, że jestem jedynym człowiekiem na świecie. Ale już go z nami nie ma, powiesił się.

Mówił, że kiedyś wróci.

Nowy początek

Przyjechali dzisiaj. Nie do końca wiedzieli, jak się znaleźli na gliwickim dworcu. Wszystkie pociągi i wspomnienia się zlewały. Wydawało im się, że jechali tak, jak wtedy, kiedy jechali na wycieczkę do Lwowa. Czuli podekscytowanie, strach i niepokój. Co to będzie? Co zobaczymy? Jakich ludzi spotkamy? Wszystkie pociągi zlały się w jeden wielki pociąg, ciągnący się po niewyobrażalnie długich szynach. Czymże się różni pociąg od pociągu? Czym się różni wschód od zachodu?

Mówią, że to tak tylko na chwilę, że to, co teraz się dzieje to tak, jak wycieczka. Na chwilę jedziemy pozwiedzać, ale na pewno wkrótce będziemy wracać. Może miesiąc, może dwa. Z Gliwic można dalej, tam w stronę Holandii. Tam siostra czeka z wynajętym mieszkaniem i jeszcze szuka dla nich jakiejś pracy. W Polsce to tak, jak u nich, po prostu zaczną strzelać trochę później. Albo ze wschodu, albo z zachodu. „Polska A" oderwie się od „Polski B", tak jak Donbas odkleił się od Lwowa.

Kiedyś myślano, że Rosja i Ukraina to jak Austria i Australia. Kartograf mógłby się pomylić. Nikt już nie chce malować cara ujeżdżającego niedźwiedzia. Skończyła się era Putinowskiego archetypu. Znudził się, został wsadzony do kulturowego lamusa. Mimowolnie stworzył ukraińskiego Zeusa, politycznego Apollina.

Ale to nic nie zmienia, bo bogowie nie schodzą na ziemię. Pociągi dalej się mieszają, ukraińskie dzieci jeżdżą na wycieczki do Polski. Polacy dalej nienawidzą, najbardziej ze wszystkiego, ceny masła, a inflacja nie istnieje, bo złoty dalej ma sto groszy. Telewizja kłamie, a dorośli robią doktoraty na whatsappie. Miała być wojna, a są ukraińskie pierogi.

Fragmenty zbioru opowiadań „Sprint pogrzebowy". ■

Dziennik zdruzgotanego życia (11)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

> Imperium, któremu Serenissimus tak się zasłużył, leży dziś w gruzach, a większość ziem podbitych przez Potiomkina nie należy do Rosji. Skoro wnętrzności księcia spoczywają w Rumunii, a jego kości na Ukrainie, wydaje się słuszne, że jego serce pozostało w Rosji.
>
> Simon Sebag Montefiore, *Katarzyna Wielka i Potiomkin*, tłum. Wł. Jeżewski, K. Bażyńska-Chojnacka, P. Chojnacki.

10.03.2023. *Noc, jak inne ostatnio. Straszna. Za każdym razem po takiej nocy potrzeba kilku dni, by powrócić do jakiej takiej równowagi. Modlimy się wtedy, żebyśmy szybko zwyciężyli i niech to się w cholerę już raz skończy. Wczoraj w sklepie sprzedawczyni, obsługując mnie, rozpłakała się i zaczęła opowiadać o swoim rannym mężu, który jest w szpitalu, o tym, jak nie mogła zasnąć przez całą noc i jak ją to wszystko dobija. Wyobrażasz sobie? Opowiadała to mnie, całkiem obcej osobie. Widziałam, że jest u kresu wytrzymałości psychicznej. Wiele osób jest na skraju załamania. Nie uwierzysz jak często widuję na ulicy płaczące kobiety. A i mnie także zdarza się nieraz iść ulicą i płakać, właściwie bez konkretnego powodu. Starałam się znaleźć jakieś słowa pocieszenia dla niej. W końcu wszyscy jesteśmy w takiej sytuacji i to nas zbliża. Wszędzie jest okropnie. Najgorzej w Donbasie, a chyba zaraz potem w Chersoniu. Kiedyś to było takie piękne miasto, pełne słońca. Miało swój urok. Robili tam wspaniałe wino i słynne były na cały świat tamtejsze arbuzy. Nawet mieli pomnik arbuza. A teraz kupa gruzów. Zniszczona infrastruktura. Szpitale, szkoły, biblioteki, budynki administracji – wszystko w ruinie. No i ten nieustanny ostrzał.*

Historia tego miasta nie sięga daleko w przeszłość, ale nazwa – tak; pochodzi od starożytnego greckiego Chersonezu, który znajdował się niedaleko. W 1778 caryca Katarzyna zatwierdziła plan założenia nad Morzem Czarnym tego portu. Budowę poprzedziło zawarcie pokoju z Turcją i zniszczenie Siczy Zaporoskiej. Kiedy zastanowić się nad Potiomkinem, kluczową postacią dla kolonizacji południowo wschodniej Ukrainy, ukazuje się sytuacja zgoła paradoksalna; książę Taurydzki z jednej strony miał wielką słabość do Kozaczyzny, a z drugiej niszczył jej niezależność i odrębność, jak tylko mógł. Zakładanie miast także miało podwójne znaczenie. Służyło niewątpliwie rozwojowi tego regionu, ale jednocześnie czyniło zbędną Kozaczyznę w jej tradycyjnej postaci.

Budowa miasta postępowała z dużymi oporami. Pomysłodawca narzekał na opieszałość i niedbalstwo wykonawców oraz na panoszące się złodziejstwo. A jednak już w cztery lata później przyjezdni zachwycali się ładnym miastem liczącym 25.000 mieszkańców. Przed wybuchem wojny miasto liczyło ponad 280.000 mieszkańców, a podczas referendum w 1991 roku dziewięćdziesięcioprocentowa większość opowiedziała się z przynależnością do Ukrainy. Dziś Chersoń z powodu nieustannych ostrzałów i zagrożenia m.in. atakami z morza jest otwartą, niegojącą się raną na ciele Ukrainy.

12.03. *Dawno się tak nie uśmiałam. Rosyjska telewizja opowiada o naszym rzekomym programie obowiązkowego tajnego pobierania spermy od naszych żołnierzy przed wyjazdem na front. Celem programu jest przechowywanie zamrożonego nasienia na wypadek jakiegoś katastrofalnego wyludnienia kraju. Ktoś naczytał się kiepskich powieści science fiction.*

W relacjach mediów wciąż powraca Bachmut – tam toczą się zaciekłe walki, i Chersoń – cel rosyjskich ostrzałów. Są także inne nazwy. Wioski, przysiółki, osiedla, miasteczka. Niektóre z tych miejsc zagościły w mediach już dawno i stały się symbolami. Zbrodni, oporu, poświęcenia, a wreszcie i nadziei. Mariupol stał się symbolem okupacji i zniszczenia. Wieś Biłohoriwka praktycznie przestała istnieć, Awdijiwka i Wołnowacha mówią o ofiarach cywilnych. Natomiast Bucza to symbol ludobójstwa. To jednak tylko niektóre nazwy geograficzne, jakie dziś stały się bohaterami mediów i miejmy świadomość, iż to tylko skromna reprezentacja, wierzchołek góry lodowej. A ciąg dalszy, niestety, nastąpi.

14.03. *Cholera, znów to samo, od rana. U nas alarmy i ostrzeżenia, a rakiety spadają w Odessie i Kramatorsku. Giną ludzie. Koszmar trwa, jak widzisz.*

Kramatorsk to hutnicze miasto, w pewnym przybliżeniu rówieśnik Katowic i o podobnych korzeniach. U początków jego historii była niewielka osada, założona przy stacji kolejowej. Pod koniec XIX wieku wybudowano tu hutę żelaza i to były właściwe narodziny miasta. Wśród mieszkańców (150.000) przeważają Ukraińcy – ponad 65%. Pomimo tego w 2014 roku Kramatorsk zaatakowali prorosyjscy separatyści. Zostali jednak wyparci. Od początku inwazji rosyjskiej miasto znajduje się pod nieustannym ostrzałem. Wiele budynków zostało zniszczonych i widocznym akcentem miejskiego pejzażu są ruiny.

15.03. *Cześć, Witku. Od rana dziś alarmy w całym kraju. U nas także. Muszę zrobić zakupy bo dziś u nas panichida i uroczystość czterdziestego dnia po śmierci taty. Mam nie ryzykować? Dobrze. Obiecuję, nie będę, ale mam gdzieś to całe ich lotnictwo. Nie przeszkodzą mi w uczczeniu pamięci ojca. Dobra, odezwę się, jak tylko wrócę.*

Za oknem wiosna, od kilku dni. Temperatura w ciągu dnia powyżej 10 stopni. Można usiąść na chwilę w słońcu i posłuchać śpiewu ptaków, popatrzeć na pierwsze zielone zapowiedzi wczesnych kwiatów. Anna także, na ile może, cieszy się wiosną. Na ile może, bo trochę narzeka na chłodny wiatr i na to, co zwykle. Nie brzmi to jednak jak skargi typowej, zapracowanej kobiety.

16.03. *Powiem ci, jaka zabawna przygoda spotkała mnie wczoraj, kiedy wracałam z pracy. Był ładny wieczór i przyjemnie się szło. Nagle usłyszałam ten charakterystyczny odgłos nadla-*



tujących dronów. Zanim zdążyłam się poważnie zaniepokoić czy przestraszyć, nasza obrona je zestrzeliła. Okazało się jednak, że nie wszystkie. Dwa wyrżnęły w coś w pobliżu. Huk był okropny. A ja zaczęłam się histerycznie śmiać i drżały mi ręce...

Mówiąc szczerze, nie wydaje mi się to zbyt zabawne.

Oczywiście, nie. To była histeryczna reakcja. Użyłam tego słowa w przewrotnym znaczeniu. Człowiek reaguje coraz dziwaczniej na to wszystko.

A dziś Putin na Krymie, podobno także w Mariupolu.

E tam, czytałam, ale nie wierzę. Taki cykor? Sobowtóra wysłali. Ponoć ma kilku. Dodali popa do towarzystwa, osobistego kapelana. Ja bym dodała osobistego grabarza. Wiesz, tak na wszelki wypadek. W moim odczuciu to kolejna kompromitacja moskiewskiego prawosławia.

Czytałem też o polskich wolontariuszach, których samochód z pomocą humanitarną został ostrzelany.

Niestety. Ten ciężej ranny jest u nas, w Dnipro, w szpitalu Miecznikowa. To jeden z najlepszych szpitali w kraju. Jestem pewna, że nasi najlepsi lekarze dobrze dbają o niego.

Ja od rana w mediach. Jedni piszą tak, drudzy inaczej. Niemal wszyscy spekulują na temat nakazu aresztowania wydanego przez MTK dla Putina. Konwencję dotyczącą tego trybunału podpisało ponad 120 państw. (Rosja oczywiście nie jest sygnatariuszem). Czy we wszystkich tych krajach trafi za kraty? Trochę wątpię, ale niewątpliwie cele jego ewentualnych podróży będą mocno ograniczone. Na Facebooku odzywa się Polski Ruch Antywojenny, twierdząc, że to nie nasza wojna. Ruch odezwał się już wcześniej na billboardach pod Gliwicami. Media oraz internauci dywagują: czy to jeszcze Kreml czy może już Pekin. Te rozważania mają swoje podstawy, a polszczyzna ulotek Ruchu zaiste mandaryńska. Nawołują, mówiąc najogólniej, do pokoju za wszelką cenę, jak gdyby to pojęcie nie skompromitowało się także i dla Polski, w 1938 roku.

21.03. *Niedobrze. Najeźdźca zbliża się do miejscowości Stepowoje. Jeśli uda mu się ją zająć, będzie miał kontrolę nad linią kolejową prowadzącą do Awdijewki i przerwie drogę zaopatrzenia. Wtedy Awdijewka będzie w takiej samej sytuacji jak Bachmut. Na razie nasi się trzymają, ale jest ciężko.*

Od kilku dni w mediach pojawia się nazwa Awdijewka. To niewielkie, ponadpięćdziesięciotysięczne miasto, w którym życie toczyło się wokół koksowni. To znaczy pięćdziesięciotysięczne było przed wojną, bo obecnie zamieszkałe jest przez nieokreślona bliżej liczbę desperatów. Od pewnego czasu jest pod nieustannym ostrzałem. Na wcześniejszych zdjęciach wygląda bardzo schludnie, mimo znajdującej się nieopodal koksowni. Natomiast na najnowszych... czysta rozpacz. Samo miasto powstało jako osada pod koniec XVIII w., a początek swojej miejskości datuje na lata pięćdziesiąte ubiegłego stulecia. Czy rzeczywiście znajdzie się w okrążeniu, czy przetrwa, a jeśli tak, to w jakim stanie? Oto pytania na dziś, bardziej istotne niż jego historia.

22.03. *U nas alarmy, ale poza tym nic strasznego. Natomiast w Zaporożu... Przesyłam ci filmik z naszych mediów.*

Rakieta uderzyła w budynek mieszkalny w centrum miasta i wiele osób zostało rannych, także dzieci. Oglądam filmik – makabryczny. Godziny poranne, w mieście duży ruch. Przechodnie, samochody, otwarte sklepy. I nagle z kilku pięter dużego bloku mieszkalnego buchają płomienie, sypie się gruz i słychać ogłuszający huk. Ruch momentalnie zamiera, ludzie chowają się, gdzie tylko mogą. Kolejne kadry pokazują zastępy ratowników starających się pomóc uwięzionym w bloku mieszkańcom.

23.03. *Witaj, mój drogi. U mnie wszystko OK. Dziś przepiękna pogoda. Przyszła do nas prawdziwa wiosna. Tyle, że nastrój taki bardziej jesienny. Jestem tym wszystkim już taka zmęczona. Cały czas syreny i drony. W dzień i nocą. Obrzydliwie nużące. A końca tej ohydy nie widać. Wspominałam ci o Zaporożu. Tam teraz rozpacz. A przewidywania są takie, że niebawem ruszy rosyjska ofensywa na wszystkich frontach. Fajnie, że piszesz, bo to trochę poprawia mi nastrój, ale tak w ogóle, to mam tego wszystkiego serdecznie dość.*

Wygląda na to, że marzenie Anny, takie skromne, bardzo małe marzenie, spełniło się. Tego także jej życzyłem.

24.03. *Dzisiaj u nas w Dnipro od rana spokojnie. Trochę odetchnęłam. Natomiast w Krzywym Rogu i w Nikopolu nieustanny ostrzał. A tu zobacz sobie, jak moskiewski pop okazuje życzliwość współwiernym* (na filmiku widać, jak duchowny kopie staruszkę próbującą na ulicy sprzedać trochę czosnku, cebuli i jakieś kwiaty. Wszystko ląduje na ulicy, a babcia z płaczem zbiera swój „towar" i odchodzi. Pop zostaje na swoim miejscu i pokazując święty obraz nawołuje wiernych do poprawy. Scena zaiste godna opisu markiza de Custine).

25.03. *Pewnie widziałeś wiadomość o alarmie dla całej Ukrainy? Dlatego pytasz, czy jestem w bezpiecznym miejscu? Nie martw się, kochany. U nas akurat nic się nie dzieje, wszystko jest w porządku. Obiecuję ci, że nie dam sobie krzywdy zrobić.*

Wiem, że to robi okropne wrażenie, ale my już przywykliśmy. Tak wygląda teraz nasza normalność, tylko ta cholerna adrenalina... cały czas nam towarzyszy. Piszesz, że to cię właśnie martwi; że przywykamy. Ty do wiadomości, a ja do rzeczywistości. Zapewne tak samo jak ja nienawidzisz myśli o dniu, w którym powiedziałbyś sobie: tylko dziesięciu zabitych, tylko jeden dom zniszczony? No, to nie jest tak źle. Wszystko w normie. Tak to, niestety, jest, że nadmiar emocji nas wyjaławia uczuciowo. Co nam pozostało? Tworzyć sobie jakąś alternatywną rzeczywistość, udawać, że naprawdę ze sobą rozmawiamy, gdzieś w kawiarni, na spacerze? Może ty wiesz? Musi być jakiś sposób.

Nie wiem. Nie znam skutecznego sposobu. Oczywiście, adrenalina na przemian ze zobojętnieniem zabija wrażliwość. Jest coś takiego, jak nastawienie psychiczne, ale czy to rzeczywiście działa na dłuższą metę?

26.03. *Zmiana czasu. Niby drobna rzecz, a trochę przeszkadza. Nie mogłam się rano pozbierać do pracy. Aha, ty obudziłeś się o ósmej, kiedy była już dziewiąta?*

Media mielą wciąż jedno i to samo. Pozornie niewiele się dzieje. Bachmut i Awdijewka. Tam walczą, a gdzie indziej ostrzały artylerii i rakiety oraz drony jak osy. Jeśli podczas



wojny nic się dzieje, to są to zazwyczaj pozory. Gdzieś tam pomiędzy sztabami a liniami dzieje się bardzo wiele. Nie musimy o tym wiedzieć teraz. W stosownym czasie świat się dowie, w wróg odczuje. Ania zajęta swoimi sprawami pisze ostatnio rzadziej. Dajmy jej odetchnąć. I oby mogła zażyć wystarczającą dawkę tego wspaniałego lekarstwa, jakim jest spokojny sen.

28.03. *Ano właśnie. Dziś obudził mnie twój sms. Ale to dobrze. Ileż można spać? W nocy hałasowali, ale nic groźnego się tu nie wydarzyło. Przed zaśnięciem przypomniało mi się coś z wczesnego dzieciństwa. Moje dzieciństwo nie było zbyt radosne; przypadło na schyłek Związku Sowieckiego. Potem była pieriestrojka i potworny bałagan. A jednak było w pewien sposób szczęśliwe, dzięki rodzicom i ich miłości. A potem, kiedy odłączyliśmy się od Sowietów stawało się coraz szczęśliwsze. Może kiedyś opowiem ci o tym bardziej szczegółowo.*

Ty też z pewnością masz jakieś ciekawe wspomnienia z dzieciństwa czy młodości. Jestem ciekawa, jak tamte czasy wyglądały w Polsce. Może kiedyś podzielimy się naszymi wspomnieniami. Masz najlepsze wspomnienia z czasów studiów? Gdzie to było? W twoim ówczesnym mieście, w Katowicach? Znalazłam w internecie. Uniwersytet Śląski, w tym roku 55 lat. Piękny jubileusz. Wielu naszych studentów wyjechało do Polski po nauki. Część z nich przerywa studia, mężczyźni biorą urlopy dziekańskie, żeby wstąpić do wojska. Zapewne niektórzy już nie wrócą. Ja studiowałam na Uniwersytecie Pedagogicznym w Melitopolu. W Dnipro nie było takiej uczelni, jedynie średnia szkoła pedagogiczna. Jeździłam do Melitopola kilka razy w roku na dwutygodniowe sesje. W porównaniu do Dnipro to małe miasto i każda wizyta tam przenosiła mnie o dziesięć lat wstecz. Nie zmienia to jednak faktu, iż wspominam czas spędzony w Melitopolu z wielkim sentymentem, a uniwersytet był znakomity. Piszesz o powołaniu w Krakowie Lwowskiego Towarzystwa Filozoficznego im. Kazimierza Twardowskiego, którego założycielem i prezesem jest ukraiński filozof Stepan Iwanyk. Nauka nie powinna mieć granic.

Złoszczę się na media, które podają sprzeczne informacje.

30.03. *Spokojnie, miły. Po pierwsze Bachmut jest nadal pod naszą kontrolą, po drugie Rosjanie ponoszą kolosalne straty, traktują swoich jak biomasę, którą chcą nas zalać, a po trzecie, rzeczywiście jest ciężko. My także mamy duże straty. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Oni tracą wagnerowców, rzeczywiście biomasę, bo to głównie swołocz powyciągana z kryminałów, a my tracimy najlepszych wojowników, wyszkolonych żołnierzy, najlepszych ludzi. I to boli.*

1.04. *Kupowałam dziś lekarstwo dla mamy. To, co działo się w aptekach w ciągu ostatnich dni, to był prawdziwy Armagedon. Vierchovna Rada ogłosiła, że z dniem dzisiejszym większość leków będzie dostępna wyłącznie na recepty, więc ludzie rzucili się do aptek. Sądziłam zatem, że od dziś będzie w miarę spokojnie. Ale gdzie tam. W ostatniej chwili Rada odwołała swoje rozporządzenie i ma być tak, jak było, dopóki będzie obowiązywał stan wojenny. Lekarstwo w końcu kupiłam, ale niezły piździec się zrobił. Celem tej zmiany decyzji miało być uspokojenie sytuacji. Akurat.*



No cóż, my to skądś znamy. Takie rozwiązywanie stworzonych wcześniejszymi rozporządzeniami problemów to przecież dla nas nie nowość. Wczoraj ponury, pochmurny i zimny dzień. Czytam wiadomości, które pogłębiają mój depresyjny nastrój. Piszę do Anny takim swoistym rosyjskim: *skuczno, grustno, w mordu nie komu dat.* Ania odpisuje:

4.04. *Rozumiem. Ja podobnie reaguję na taką pogodę, jak dziś. Chociaż może i byłoby komu dać w mordę. Znowu rakiety poszły gdzieś w osiedle. No i ta zapora w Kramatorsku. Miasto jest w okropnym stanie; mieszkańcy brodzą po pas w wodzie i są ewakuowani. Jest jednak gorsza sprawa. Jeśli Bachmut padnie, Kramatorsk stanie się takim frontowym miastem. Wtedy nic z niego nie pozostanie. I jeszcze to:* (filmik z Chmielnickiego). *To są popi cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego. Popatrz, jak strasznie biją tego chłopaka. Przewrócili go i kopią. Tak się zachowują w kościele chrześcijańscy duchowni? No, ja nie mogę... A teraz, cholera jasna, te pieprzone drony. Znowu je słychać. Muszę kończyć.*

5.04. *Mam dziś wolne. Piękny dzień, za oknem słońce i plus 15 stopni. No i nie słychać dronów. Nie to jest jednak najważniejsze. Na niebie taki ruch, jakiego nie widzieliśmy od pierwszych dni wojny. Nasze lotnictwo uruchomiło chyba wszystko, co posiada. Czyżby ruszyła nasza kontrofensywa? To tylko moje przypuszczenie, ale oby tak było.*

Niestety, chyba jednak nie potwierdziło się. Nadal zacięte walki w obwodzie donieckim i jakichś zdecydowanych zmian nie widać. Być może jeszcze nie pora. Anna powraca do wydarzeń minionego dnia.

6.04. *Dziś u nas spokój, ale wczoraj po południu ten ruch na niebie, o którym ci pisałam, stał się obustronny. Mój syn przerażony wrócił z miasta i powiedział: mamo, teraz pewnie zrzucą na nas bombę atomową. Ale jak widzisz, nie zrzucili, choć przerażenie i stres były ogromne. Być może była to reakcja na wizytę naszego prezydenta w Warszawie.*

Dziś czytam w wiadomościach, że termin i sposób przeprowadzenia ukraińskiej kontrofensywy jest ściśle tajny. I oby tak pozostało, bo beztroska niektórych polityków różnych państw, a także mediów w przekazywaniu „wrażliwych" informacji bywa zatrważająca. Jutro Wielkanoc. Wysyłam Annie kilka zdjęć, które zrobiłem wiele lat temu podczas prawosławnej Wielkiejnocy w Drohobyczu, Krzemieńcu i kilku innych miastach. Dociera do mnie, że mija dokładnie dziesięć lat od mojej wizyty.

8.04. *Najwyższy czas to powtórzyć, mój drogi. Kiedy tylko będzie możliwe.*

Dziś budzi mnie sms z życzeniami świątecznymi od Anny.

9.04. *Dzisiaj nasz prezydent składa życzenia wszystkim, którzy obchodzą Wielkanoc po katolicku. Podoba mi się to, co powiedział, a brzmiało to mniej więcej tak: obchodzimy te święta w różnych dniach, ale niebawem nadejdzie dzień, w którym świętować będziemy wspólnie, nie tylko tu, ale w całym wolnym świecie, a będzie to dzień naszego zwycięstwa.*

Media licytują się doniesieniami o wycieku tajnych akt z Pentagonu, dotyczących m.in. Ukrainy. Mnożą się

dywagacje na temat wpływu tego wycieku na oczekiwaną od dłuższego czasu kontrofensywę ukraińskich wojsk. Głównodowodzący armii ukraińskiej już zapowiedział, iż ofensywa nie ruszy w przewidzianym wcześniej terminie ani miejscu i będzie wyglądała zupełnie inaczej, niż zaplanowano. Anna wypowiada się dosyć enigmatycznie:

11.04. *Naprawdę nie wiem, co o tym sądzić. Cała ta sprawa wygląda co najmniej dziwnie. Wszystko to wydaje się dość skomplikowane i niejednoznacznie jakieś. Tyle mogę powiedzieć. A w naszym mieście ostatnio jakoś dziwnie spokojnie. Tylko nocą odzywają się syreny, a drony z rzadka teraz słychać. Co jeszcze? Kolejna wymiana jeńców. Posyłam ci dwa filmiki, żebyś mógł porównać, jak wita się powracających z niewoli u nas i w Rosji. Bez komentarza.*

A jednak... Ukraińcy witają swych żołnierzy z radością, jak bohaterów. A w Rosji? Obojętnie. I to jest już i tak postęp, bo w 1945 z otwartymi ramionami witało powracających z niewoli NKWD i gułagi, z otwartymi bramami. To tylko mój komentarz.

13.04. *Przez kilka dni był względny spokój; dziś skończyło się. Alarmy w całej Ukrainie, a wybuchy w Melitopolu i w Charkowie. Na razie nie wiadomo z jakim skutkiem. Także w pracy duże zmiany. Jakoś z tym wszystkim muszę sobie radzić. Być może będę trochę mniej pisać. Wybacz.*

W mediach odzywają się liczne głosy oburzenia i obrzydzenia po ujawnionym fakcie dekapitacji ukraińskich jeńców wojennych. Zidentyfikowano niektórych sprawców bestialskiego mordu. Czy szanse na ich ujęcie i ukaranie są choćby w minimalnym stopniu realne? Z pewnością nie stanie się to na terenie Rosji; były szef rosyjskiej tv, nadal mający status osoby publicznej, nie tylko nie potępił mordu, ale wyraził przekonanie, iż dzieci ukraińskie powinno się topić, a dorosłych najlepiej palić w ich domach. Odraza, to jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl.

14.04. *Oh, Witku, ciężko mi nawet o tym myśleć. Jakiś koszmar. Najpierw oglądałam to wideo z zastrzelonym jeńcem, a teraz to... Potworność. Nasz prezydent mówi, żebyśmy nie dali się sprowokować tym bydlakom. My musimy respektować prawa jeńców rosyjskich. Jednak szczerze ci powiem, że moja pierwsza myśl po obejrzeniu tego obrzydlistwa była taka, żeby nie okazywać im żadnej litości i wszystkich posyłać do diabła. I jestem pewna, że tak pomyślała większość Ukraińców.*

Oczywiście, zgadzam się z tobą, że rosyjska propaganda tylko czeka na taką okazję, żeby naszych żołnierzy pokazać jako zezwierzęconych morderców, wiem. Ale przyjrzyj się Rosjanom wracającym z naszej niewoli; wyglądają, jakby wracali z sanatorium – dobrze odżywieni, wypoczęci. Natomiast kiedy nasi chłopcy wracają od nich, wyglądają jak żywe trupy. Po prostu w oczach mają śmierć. A my, kurwa mać, mamy respektować prawa tych... Jedyne, co nas powstrzymuje, to że nie chcemy być jak oni. To w końcu ich pomysł, żebyśmy byli jedną wielką Rosją. Pierdolić ich! Nigdy. Nie będziemy. Dobrze, wiem, że to trudne, ale tak musi być. Inaczej ta zasrana wojna nie miałaby w ogóle sensu.

Niedziela. U nas zwykła, choć niespodziewanie słoneczna, a w Ukrainie prawosławna Wielkanoc. Zaraz rano wysyłam Ani zwyczajowe *Christos wosskriesien*, na co ona nie odpowiada tradycyjnym *woistinu wosskriesien*, lecz przesyła mi pisanki – jedną w barwach Ukrainy, drugą w barwach Rosji. Ukraińska jest wyżej, rosyjską pod nią. Okazuje się, że jest to tzw. GIF. Ukraińska pisanka spada, uderza w rosyjską i rozbija ją na kawałki. Takie to wojenne życzenia. Potem Ania milknie, zajęta świętami, rodziną i – mam nadzieję – odpoczynkiem. Jednak wieczorem wiadomość o alarmie, m.in. w Dnipro. Wojenna Wielkanoc, już druga.

18.04. *Witku drogi, nie masz pojęcia, jak dobrze mi zrobiły dwa dni nie tylko wolne od pracy ale także od syren i alarmów. Spędziłam je z rodziną i czułam się naprawdę szczęśliwa. Mam jednak świadomość, że nie wszystkim w Ukrainie dopisało szczęście. Inne miasta ucierpiały od ostrzałów, a w Zaporożu i w Doniecku rakiety spadły na cerkwie. No cóż, każdy składa świąteczne życzenia jak potrafi, a „święta Rosja" widocznie potrafi tylko tak. Zakaz importu i tranzytu naszego zboża i innych płodów rolnych nas oczywiście smuci, ale staramy się zrozumieć, że każdy kraj ma swoje interesy i problemy i stara się je rozwiązać, jak potrafi.*

Ania stawia sprawę delikatnie, ale wyczuwam, że jest jej zwyczajnie, po ludzku przykro. Zapewne spodziewała się po nas, w każdym razie po naszych politykach więcej, jeśli nie empatii, to może taktu, ale zapewne wie, że jej odczucia nie mają żadnego znaczenia. Polityka to osiąganie celów możliwie najmniejszym kosztem, a najlepiej cudzym. Gdzie tu miejsce na empatię czy takt? Żeby to rozumieć, nie trzeba wczytywać się w Machiavellego. ■





fot. Małgorzata Kłoskowicz

Profesor Aleksander Nawarecki

MARIAN KISIEL

Ruch

W jednej z not Aleksander Nawarecki został zaprezentowany jako „badacz osobliwości, edytor i komentator poezji ks. Baki", „autor prac o roślinach i zwierzętach w literaturze", „o przedmiotach", „esejów Mickiewiczowskich", „i silezjologicznych" (I, 15). Wybitny prozaik (i przyjaciel, Marek Bieńczyk) zadedykował swoją prozę „filoornitologowi i ornifilologowi", „znawcy wyrazów i ptaków", „wielbicielowi ryb", „maksymaliście minimalności", „porządnemu profesorowi" – „lecz jeszcze bardziej porządnemu wędrowcowi", „wiosnorodkowi", „mistrzowi kalamburu" (II, 440). W innych notach czytamy o „twórcy mikrologii literackiej" (II, 12), czy wręcz „prekursorze mikrologicznych badań nad literaturą" (III).

Ileż w tych odsłonach portretowych zawartych zostało aluzji biograficznych, ileż definicyjnych przytroczeń, sugestii czy pragnień! A jednocześnie, jakież podkreślenie wyjątkowości, niezwyczajności, indywidualności osoby. Nie padły tu słowa: „mistrz", „nauczyciel", „twórca szkoły". Któż miałby je zresztą wypowiedzieć? Przyjaciele? Nie. Uczniowie? Ale oni, starając się naśladować mistrza, okazaliby w ten sposób, że właśnie uczniami nie są, ale wyłącznie „oblizywaczami odstawionych talerzy" (IV, 219), które on, mistrz, celowo porzucił, iżby zrozumieli, że „oblizując", tracą szansę na własną wyjątkowość. Dlatego nie wszyscy zechcą nazwać się jego „uczniami", choć – za jego przykładem – pójdą „odkrywać to, co drobne, bagatelizowane, nieważkie – cały ów «nadmiar świata»" (II, 12).

Aleksander Nawarecki jest historykiem i teoretykiem literatury, ale dla wielu to guślarz, wróż, czarownik, aojda, wajdelota, lajerman ('kataryniarz') śląskiej – czy wyłącznie śląskiej? – humanistyki. Stale go widzimy niczym Karolinę Szarłatowiczównę z *Przedwiośnia* Stefana Żeromskiego: w tanecznych, „niepochwytnych dla oka rzutach nóg" (V, 215); stale myślimy o nim jak o modernistycznym artyście, w którym Józef Kotarbiński kazał nam widzieć (za Ignacym Matuszewskim) „krańcowy indywidualizm, skłonność do marzycielstwa, dążność do syntezy pierwiastków liryczno-muzycznych i epiczno-plastycznych". I jeszcze to: „zdolność do odczuwania delikatnych i wyrafinowanych, niepochwytnych prawie objawów życia wewnętrznego". A wreszcie: „pociąg do tematów niezwykłych, do egzotyzmu". I w końcu: „mistycyzm nastrojowy i […] symbolizm" (VI, 116).

No właśnie: Nawarecki jakąś siłą genów, jakimś niewyczerpanym żywiołem młodości, która nie każdemu jest dana, wygląda niemal tak samo, jak w czasach chłopięcych, a zazdrośnicy twierdzą, że i później będzie podobnie. Ta siła witalna wynika nie z tego, że mieszkając w Warszawie, bez ustanku – po śląsku – jeździ „na kole" ('rowerem'), wiesza się „na klopsztandze" ('na trzepaku') i „loce" ('biega'), a nie „siednie sie" ('usiądzie'). Siła ta jest raczej wynikiem bezustannej ciekawości świata, zadawania pytań niepoważnych poważnym kwestiom, a także pytań poważnych kwestiom najzwyczajniej niemądrym, łączenia tego, co pozornie złączyć się nie da, wzlatywania w przestworza, trzymając się kurczowo ziemi.

Pisała Wisława Szymborska w *Schyłku wieku*, że „nie ma pytań pilniejszych / od pytań naiwnych" (VII, 429). Podobnie mówi Nawarecki, jakby nawiązując do myśli Gastona Bachelarda z jego studiów o wyobraźni, że małe jest zawsze schronieniem dla tego, co wielkie. „Małe" – u Bachelarda, a u Nawareckiego – „skromnych rozmiarów, fragmentaryczne, uszkodzone, zaniechane, lekceważone, usytuowane «na końcu», skazane na zniszczenie, a nawet nieistniejące, ale zawsze znaczące" (D, 13). Tak, a nie inaczej: małe jest wielkie, a wielkie objawia się w małym. Tę maksymę moglibyśmy uznać za dewizę autora *Małego Mickiewicza* (mają biskupi swoje hasła w herbie, dlaczegóż nie mogliby ich mieć i uczeni). Istotę tej maksymy odnajdziemy w słowie „bałagan". Na „bałagan" kierują nas przyjaciele uczonego, którzy uczcili go tomem zbiorowym *Balaghan. Mikroświaty i nanohistorie*, w podtytule kładąc nacisk na przedrostki „mikro-" i „nano-". „Bałagan" nie prowadzi jednak w stronę nieporządku, niedbałości i niechlujstwa, ale w stronę namiotu objazdowego teatrzyku, domu plemion osiadłych, a nawet językowych nawrotów (zrzędzeń) bałaguły. A zatem – w stronę „ruchu". Przyjaciele uczonego przywołali tu fragment ze Stanisława Vincenza: „Ruch! Wiatr główny bałaguła, trzaska i śwista, zamiata dla wszystkich, przygarnie wszystkich, przepędzi wszystkich. Przeciąg!" (IX, 83).

Zastąpmy słowo „przeciąg" – „nie-pokojem", uprzednio rozstrzeliwszy je (po Derridowsku) dywizem.

Słowo rozstrzelone dywizem nie jest wsączeniem weń jadu niezgody, ale rozszerzeniem jego znaczenia. To nie-pokój o siebie i świat, o wolność i przyszłość, *ergo* – o wszystko to, co jest „przy" człowieku. Mówiąc inaczej: ponieważ nie ma nic „poza" człowiekiem, więc owo „wszystko" jest „przy" nim.

Metody

Co jest „przy" uczonym? Metodologia. „Nie-pokój" („bałagan") Nawareckiego jest najpierw niezgodą na jednolitość metodologii. Albo na jej zaborczość. Być może uczony ceni sobie spójność i porządność, ale tyleż samo go ona mierzi, co pociąga. Szuka więc tam, gdzie może nie znaleźć; drobi to, co wydaje się złączone na zawsze, a nawet jednolite; „kruszynę" – po Norwidowsku – podnosi „przez uszanowanie / dla Darów Nieba" (XI, 200), nawet jeśli uzna, że nie jest tą, dla której warto się strzelać kulkami z papieru. Ruch, wieczny nieporządek, sprzeczność, która stanowi o istocie świata, są dla badacza tym, co życiodajne, ożywcze, buzujące.

Dlatego jednolitość metodologii uzna on za policzek wymierzony nauce. Chętnie będzie sięgał do normatywnych, spójnych i zamkniętych teorii, ale raczej po to, by odkryć w nich szczelinę, w którą można by wetknąć jakiś patyk, powiercić trochę, zobaczyć, czy nie rozsadzi spójności. To są chłopięce ciekawości: pogmerać tu, pogmerać tam – a nuż coś z tego wyjdzie? Ciekawe pod tym względem są jego uwagi do poezji ks. Józefa Baki. Monografia *Czarny karnawał*, jakkolwiek przygotowana jako rozprawa doktorska, stała się ostatecznie rozprawą habilitacyjną. Nawarecki pisał ją równolegle do szkiców skamandryckich, raczej niepasujących do Baki. W końcu złożyły się one na książkę doktorską. U początków pracy naukowej Nawareckiego leży zatem coś, co nazwiemy „nieprzywiedlnością" myśli i rzeczy; to, co drobiazgowo składamy, okazuje się ostatecznie czymś innym niż potrzebujemy. Chciało się tak, a wyszło inaczej.

Zanim jednak o Bace, wpierw o *Rzeczach i marzeniach* (1993), które w wydaniu drugim przybrały tytuł *Parafernalia* (2014). Książki niby te same, a jednak różne, jak różne są ich podtytuły. Pierwszej: *Studia o wyobraźni poetyckiej skamandrytów*; drugiej: *O rzeczach i marzeniach*. Jakby uciekło z drugiej to, co było sensem pierwszej – wyobraźnia poetów konkretnej grupy. Ale my wiemy, że nie uciekło. Wciąż pozostajemy w tym samym kręgu. Nawarecki napisał: „interesuję się literacką reprezentacją rzeczy, a spoglądając z ich perspektywy — uobecnieniem przedmiotu w słowie pisanym i materialnej wyobraźni pisarzy" (F, 7). Innymi słowy: rzeczy mówią. Ale co mówią? I jak aktywizują się w wyobraźni poety? Każdy, kto czytał Skamandrytów (i ich akolitów), koncentrował się na optymizmie poznawczym, witalizmie, urbanizmie, języku kolokwialnym itd. A Nawarecki postanowił zapytać o to, co wszyscy widzieli, a jednak przechodzili nad tym do innego porządku.

Więc: jak „gra" w poezji Tuwima muzyka; dlaczego Pawlikowska-Jasnorzewska tak często odwołuje się do metaforyki akwatycznej; dlaczego ekspresjonista Wittlin domaga się (w obliczu żołnierskiej śmierci) „łyżki zupy"; dlaczego Iwaszkiewicz – jakkolwiek by to nie zabrzmiało – „grzebie w rzeczach"? Tych pytań jest więcej, ale i te – już zadane – niepokoją. Rzeczy, marzenia, wyobraźnia to trzy słowa wielokrotnie rozpisywane przy okazji wierszy, sondowane myślą Bachelarda, krytyków genewskich, dążące do wybrzmienia, nowego zaistnienia przy poetach, których zamknięto w stereotypie, w jakiejś skorupie lektury, która jest gorsza niż nieczytanie, ponieważ jest urną ze spopielałymi słowami.

Co spopielone, nie przyoblecze się w ciało. Poloniści wiedzą dobrze, że „Wprzódy słońce w miejscu stanie! / Prędzej w morzu wyschnie woda" (XII, 838), niż umysły zarażone stereotypem spróbują przekroczyć swoje ograniczenia. Istotą pracy myśli Nawareckiego jest temu się przeciwstawić. Dlatego *Parafernali*a albo *Rzeczy i marzenia* są właśnie szukaniem tam, gdzie nieoczywiste staje się oczywiste, a początkowe zdumienie przekształca się w aprobatywny uśmiech. Przypomnieć trzeba: w latach 70. i 80. w Uniwersytecie Śląskim intensywnie badano twórczość skamandrycką. Pytano o „samotność" i o „wspólnotę" (Ireneusz Opacki), o kabaret (Tomasz Stępień), o języki komunikacji masowej (Anna Węgrzyniak), o salon i naturę (Elżbieta Hurnik), o językową wyjątkowość (Romuald Cudak). Starano się zmieścić w myśleniu tradycyjnym i jednocześnie mu zaprzeczyć. Pisano głównie o Tuwimie i Wierzyńskim. A tutaj nagle pojawia się ktoś, kto zamierzył przyjrzeć się tematom „drugorzędnym lub niefortunnym w dorobku Skamandra". Wbrew obowiązującej szkole lektury, upominając się o fragmenty, urywki, czasami tylko metafory lub znaki niejasne. Kto tak może pytać?

Ten, kto literatury nie traktuje jako ciągu znaków, ale jako zapisane w słowach doświadczenie ludzkie. A to wyraża się w zauroczeniu kolorem i żywiołami, w lękach i fascynacjach, w ujawnianych bądź skrywanych pragnieniach. Nawarecki nie stawia tekstu poetyckiego pod murem metodologii, on prosi metodologię, by pomogła mu zrozumieć tekst. Tylko wtedy mur może runąć, kiedy zespolą się z sobą wiersz i pomysł, czyli – mówiąc inaczej – prawda utrwalonego przez poetę i prawda odkrytego przez interpretatora – przeżycia. Jakże rzadko mamy możliwość spotkania obu prawd, a jeszcze spotkania wyrażonego w żywiołowym języku, w owych (raz jeszcze przywołam Szarłatowiczównę) „niepochwytnych dla oka rzutach nóg". Tak! Nawarecki jest prestidigitatorem interpretacji, nawet jeśli nas zwodzi swoim nieuporządkowaniem, gadatliwością, czyli – „bałaganem".

Baka

Wróćmy więc do początków, do studium o poezji Józefa Baki. Ma ono charakter głębokiej analizy, rozbiór dzieła sąsiaduje z recepcją. *Rzeczy i marzenia* (później *Parafernalia*) poświęcił badacz wyobraźni poetyckiej, czyli czemuś, co jest nierozerwalne z człowiekiem i jego materią, jakkolwiek trudno definiowalne. *Czarny karnawał* jest pytaniem o czytanie, zachwyt i śmiech (wiersze Baki) oraz o jego nieoczywistą obecność w realizacjach poetów dwudziestowiecznych (Pawlikowska-Jasnorzewska, Rymkiewicz). Ale wszędzie tam, gdzie zdawać by się mogło, że badacz pragnie dać syntezę, on przed nią ucieka. W rzeczach większych odkrywa się jako „mikrolog", pyta o szczegół, drobinę, o sens mniejszego w większym.

Ten mistrz, którego rozpiera „pycha »inicjatora« śląskiej mikrologii" (I, 12), wie, że „mikrologia jest dla metafizyki ocaleniem przed zakusami myśli łapczywej" (X, 13). Metafizyki? Czym ona jest dzisiaj? Napisał o swoich (i swoich zwolenników) badaniach: „Próbowaliśmy […] zintegrować 'mikropoetykę' Gastona Bachelarda, 'mikrolekturę' Jeana-Pieere'a Richarda, Jakobsonowską 'mikroskopię' i Barthesowską teorię *punctum* oraz inne jeszcze koncepcje 'mikropoetyki' czy 'fenomenologii mikroskopowej', spotykane na pograniczu krytyki literackiej i filozofii – w pismach Waltera Benjamina, Theodora Adorno, Jacques'a

fot. Agnieszka Sikora



Derridy, Jean-Francois Lyotarda" (I, 11). W tym synkretyzmie metod odkrywa się niespokojność umysłu. Zażartujmy: Szarłatowiczówna po raz któryś.

Książkę o Bace przeczytałem w roku 1991. Powracając do niej po 32 latach, zobaczyłem, jak przemienił się pierwszy czytelnik (zauroczony) w drugiego czytelnika (krytycznego). Lata przeorały lekturę jak rolnik ściernisko, dlatego bardziej mnie zainteresowały teraz „paradoksy recepcji" niż „poetyka tekstu". Poetyka jest przygwożdżeniem motyla do tablicy, recepcja – bezustannym jego odrywaniem przez niesforne dzieci i stałym przypinaniem przez zdenerwowaną nauczycielkę. Tak wytłumaczyłbym różnicę między strukturą tekstu a jego „obecnością" w naszej lekturowej świadomości. Dlatego *Czarny karnawał* jest odwołaniem do takiego rodzaju historii literatury, która odnajduje swoją właściwość w gatunkach, przytoczeniach, sugestiach, aluzjach czy inspiracjach? Nawarecki mówi otwarcie o „dramatyzmie" i „desperacji" tych odniesień (A, 351). I urywa odpowiedź, kiedy pyta o „właściwą miarę" oceny.

Nie traktuję książki o Bace jako czegoś wyjątkowego w pisarstwie naukowo-eseistycznym Aleksandra Nawareckiego. To była praca ważna, w latach 80. minionego stulecia zaskakująca, napisana przeciwko strukturalistom, ale – w istocie rzeczy – była ona restytucją dawnego stylu: zrozumiałego, dowcipnego, nie stwarzającego przepaści między wiedzą tego, który pisze i tego, który czyta. Jeżeli w gronie strukturalistów Nawarecki objawiał się niektórym jako nowe zjawisko, to wnet można było zobaczyć, że on tego języka metodologii nie przyjmuje, on pragnie rozmawiać ('łozprawiać') o literaturze z każdym – bez podpórki metodologii, poza audytoryjną salą, w bufecie, na ławce, pod 'klopsztangą', a nawet na sali gimnastycznej czy na basenie. Szalone? Niewątpliwie. Ale to, co szalone powinno się ostatecznie skrystalizować pod jakąś postacią. Że to żmudne? Oczywiście. Ale musimy podążyć za niemożliwym, nawet jeśli poniesiemy porażkę. „Bo – powiada Nawarecki – granice podobieństwa, inspiracji i przypadku są niezwykle trudne do wytyczenia" (A, 275).

Inni

Zostawmy Bakę, bo czekają inni: Mickiewicz, Słowacki, poeci (głównie oni) mniejsi i więksi. Z różnych obszarów: od baroku do współczesności. Nawarecki nie boi się rzucać do rzeki, której nurt porwał niejednego, przypominając bezczelnemu ryzykantowi, że nie wystarczy umieć pływać, trzeba jeszcze znać jej bieg, meandry. Nawarecki jest jednak straceńcem. Powtarza sobie: umiem czytać, znam reguły, co za problem odczytać jakiś tekst? Każdy tekst. I wtapia się w przestrzeń słowa, zachwyca się nim, szuka jego etymologii, niejednokrotnie błądząc (ale ileż ma radości w tym błądzeniu), a nawet jeśli nie odnajduje prawdy, to nie jest to dla niego powodem do zmartwienia. Humanistyka jest albowiem błądzeniem, szukaniem, zadawaniem niepoważnych pytań. Tym się różni od wiedzy pewnej, która ma swoich funkcjonariuszy, a ci chcą zawładnąć myślą niepoważnych humanistów. Nawarecki powiedziałby tutaj: nie, wasza „elektroliza" będzie dla nas metaforą „oczepin" z opowiadania Mrożka, wasza „głowica atomowa" – „kłonicą", którą humanista trzyma za pazuchą. Albowiem tekst literacki, w swojej istocie, zawsze i bezwarunkowo ujawnia swoją skłonność do odkryć i zakryć; pierwsze są niezbyt interesujące, drugie – fascynują i pobudzają do rozmaitych poszukiwań.

Te poszukiwania są widoczne w książkach, które nie mają swojego twardego kręgosłupa. Tylko monografie, będące od początku do końca realizowanym projektem badawczym, dają się rozpatrywać w perspektywie skończonej całości. Zbiory szkiców takimi całościami być nie mogą i nie chcą. Dlatego w *Pokrzywie*, *Małym Mickiewiczu*, *Parafernaliach* (drugiej wersji *Rzeczy i marzeń*), czy w *Dialogu troistym* (na-

pisanym wespół z Andrzejem Kotlińskim) ujawnia się ta szczególna twarz badacza, pisarza, eseisty, która wzdraga się przed jakimkolwiek spełnieniem projektowym. Jego pociąga nieukończenie, myśl w toku, jak dziś mówimy: *work in progress*. A więc to, co jest możliwe, lecz jeśli miałoby być prawdziwe, to lepiej, żeby go w ogóle nie było.

Może się w głowie pomieszać: poeci barokowi, Baka, romantyczni wieszczowie, Skamandryci, poeci pokolenia wojennego, powojenni, a wreszcie – najmłodsi/najnowsi. Wielka zachłanność poznawcza. Zazdroszczę, nie ukrywam, zazdroszczę tej ciekawości, tego błądzenia, gubienia się i odnajdywania w świecie wyobraźni, bibliotek i zwykłych ludzkich emocji. I tej nieposkromionej ciekawości, która nie drąży literatury na jej jednym odcinku, ale odkrywa ją w różnych wizerunkach. Pomijam nazwiska, bo nie są ważne. Nie jest chyba nawet ważna jakaś konkretna realizacja tekstowa (choć ważne jest pojedyncze doświadczenie). Nawarecki jest chłonny wiedzy. Tego, czego mógłby się dowiedzieć od „innego".

Dlatego w *Pokrzywie* usłyszymy pytanie o możliwość nauki od ziela; „wiedza to nieprosta, lecz krzywa, po krzywej myśleć każe. Wiedza kopnięta, mądrość paląca, a ogień tajemniczy" (C, 9). Dlatego w *Małym Mickiewiczu* badacz powie, że wielki Adam potrzebuje małego Adasia, „bez pomnikowej sławy na cokole obojętności". Po to, „aby można go kochać, a nie trzeba było podziwiać" (D, 7). I dlatego we wszystkich swoich esejach, jak tkacz tka, jak jedwabnik z aforyzmu Hebbla „przędzie", swoją myśl po to, by najpierw zadziwić siebie, a potem zadziwić nas. Sięgając do tego, co epifenomenalne, marne lub znikome („w «znikomości» pobrzmiewa «nikłość», «znikanie», «zanikanie», «nikczemność», a nawet «nicość»" – D, 13), Nawarecki napisał: „Mówiąc o znikomości, dotykamy też osobliwej skali pisma, które […] jest ocalającą «miniaturą świata», a zarazem ma status platońskiego cienia – uwikłane w zastępstwo, nieobecność, a nawet śmierć" (D, 13).

I tutaj, rezygnując z rozważań na temat tego, jakimi drogami kroczy myśl eseisty, kiedy poszukuje sensów w drobinach, nicościach i rudymentach, zobaczmy w jego pisarstwie rzecz nieoczekiwaną. *Lajermana* – opowieść, która jest autobiografią Ślązaka dumnego ze swojej peryferyjnej przestrzeni, jak też esejem hermeneutycznym, w którym różne głosy splatają się z sobą – te uczone, i te nieuczone – „poniżej i powyżej klopsztangi" (E, 20). Wprawdzie Nawarecki napisał, że „*Lajerman* nie jest ani traktatem, ani autobiografią, ani zbiorem esejów, ani tym bardziej postmodernistyczną bryja-hybrydą" (E, 137), ale czy można wierzyć komuś, kto mówiąc o obieraniu 'kartofli' (po polsku 'ziemniaków') używa słowa „strużyć" (E, 60)?

Lajerman

Nawarecki w *Lajermanie* zmierzył się z przeszłością, która jest (jak każda przeszłość) ciemna. Oswoił ją śmiechem, więc inaczej niż Stefan Szymutko w *Nagrobku ciotki Cili*. Wyszedł od Baki, kaznodziei wileńskiego, który miał straszyć, a raczej śmieszył. Nawarecki mówiąc o sprawach poważnych, odwołał się do kultury śmiechu, a nie do śmierci. Śmierć, depresja, świadomość resztek, odpadki, gra bez celu (słowna i muzyczna), a i więcej – to wszystko spaja się w narracji tożsamościowej, poplątanej, niejasnej, streszczającej się w pytaniu: „Kaj my to som?". „Kaj", czyli gdzie, w jakim otoczeniu, wspólnocie, języku? „Kaj" jest „zawieszone między niebem a ziemią, skierowane jakby do oddalających się bogów, próbujące ugruntować wspólnotę w języku i w zamieszkiwanej przestrzeni" (E, 90)?

Myślę, że jest to pytanie główne. Nawarecki krąży wokół niego jak Szarłatowiczówna, i ma rację. Dlaczego postawiłem przecinek w miejscu niepotrzebnym? Dlatego, że właśnie tutaj powinien być postój. „I ma rację" – czyli jest pewien czegoś, co nieoczywiste, może głupie, ale swoje, do czego nie mają prawa inni. Podziwiam w uczonym jego pasję, niestrudzoną wolę rozmowy, ciekawość wszystkiego, chłonność. Właśnie: chłonność, która nie ma zakreślonych granic, jest amebiczna, rozlewa się, przybiera różną formę. W istocie rzeczy bowiem, co jest poza chłonnością? Nic. Być może tylko ona potrafi nas jakoś zadomowić w tej rzeczywistości, która jest marna, czy – jakby powiedziano na Śląsku – „daremna". Być może dzięki niej umiemy się jeszcze odnaleźć w świecie książek, idei, ludzi. Bo gdyby nie, to co?

Styl

Żeby wypowiedzieć to, co się chce, trzeba odnaleźć swój styl. Jeśli nie Szarłatowiczówna, to Kałużyński. Jeśli nie podrygi nóg, to podrygi rąk. Mówca musi skupić na sobie uwagę. Nawarecki walcząc z ciałem, walczy z myślami. Jego styl mówienia i pisania jest somatyczny. Nie usiedzi w miejscu i nie zatrzyma się na jednym zdaniu. Tyle skojarzeń przecież rodzi każde słowo, tyle zmarnowanego czasu na siedzenie… Kto widział, słyszał, czytał – ten wie.

Każdy chciałby zostać zapamiętanym ze słowa czy gestu. Czasami się to udaje, na ogół nie. Życzyłbym każdemu, żeby miał taką pointę, jaką Justyna Bargielska zamieściła w wierszu *Kapitanie, tu Sally*. Ten wiersz otwiera *Balaghan*, księgę wdzięczności dla Aleksandra Nawareckiego (II, 15): „Pan Jezus, śniło mi się, że we mnie się zakochał / i zostawił dla mnie kościół. Czego i tobie życzę". ■

Książki Aleksandra Nawareckiego: (A) *Czarny karnawał. „Uwagi śmierci niechybnej" księdza Baki – poetyka tekstu i paradoksu recepcji*, Wrocław [i in.] 1991. ■ B) *Rzeczy i marzenia. Studia o wyobraźni poetyckiej skamandrytów*, Katowice 1993. ■ (C) *Pokrzywa. Eseje*, Chorzów-Sosnowiec 1996. ■ (D) *Mały Mickiewicz. Studia mikrologiczne*, Katowice 2006. ■ (E) *Lajerman*, Gdańsk 2010. ■ (F) *Parafernalia. O rzeczach i marzeniach*, Katowice 2014. ■ (G) *Dialog troisty. Colloquia o Juliuszu Słowackim*, Warszawa 2019 (wspólnie z Andrzejem Kotlińskim). ■ **Inne prace**: (I) A. Nawarecki, *O śląskiej szkole mikrologii (1999–2005). Garść wspomnień*, „Forum Poetyki" 2017, wiosna-lato. ■ (II) *Balaghan. Mikroświaty i nanohistorie*. Red. M. Jochemczyk, M. Kokoszka, B. Mytych-Forajter. Katowice 2015. ■ (III) https://pl.wikipedia.org/wiki/Aleksander_Nawarecki (dostęp 01.05.2023). ■ (IV) T. Peiper, *Pisma wybrane*, oprac. S. Jaworski, Wrocław 1979. ■ (V) S. Żeromski, *Przedwiośnie*, Warszawa 1957. ■ (VI) J. Kotarbiński, *Ze świata ułudy*. Warszawa [i in.] 1926. ■ (VII) W. Szymborska, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2023. ■ (IX) S. Vincenz, *Na wysokiej połoninie. Barwinkowy wianek. Epilog*. Posłowie A. Vinzenz. Sejny 2005. ■ (X) M.P. Markowski, *Miłe/Małe*, „Tygodnik Powszechny" 2004, nr 44. ■ (XI) C.K. Norwid, *Pisma wybrane*, oprac. J.W. Gomulicki, t. 1, Warszawa 1986. ■ (XIII) A. Fredro, *Wybór komedii*, oprac. M. Ursel, Wrocław 2016, s. 838.

Profesor Jan Kazimierz Zaremba

JAN MALICKI

Dziś już tylko nieliczni wspominają prof. Jana Zarembę, właściwego twórcę śląskiej polonistyki oraz współorganizatora katowickiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, kształcącej przez dekady nauczycieli, ludzi kultury i mediów, twórców. Chętniej powtarzają anegdoty zastępujące wiedzę o konterfekcie człowieka nietuzinkowego, rozpoznawalnego i szanowanego w zacnym gronie uczonych WSP oraz czasów pierwszych lat akademickości uniwersyteckiej. Czasów przełomu, który w pełni przeorał stereotypowe wyobrażenia o Górnym Śląsku, dodając jakże ważną dziś barwę uczoności. Mógłbym więc swoje rozważania zacząć od przypomnienia słów ks. Emila Szramka z roku 1920, zawarte w manifeście dopiero co powstałego Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, ale dopiero powojenne czasy doprowadziły do stworzenia instytucjonalnej nauki akademickiej w przestrzeni między Krakowem a Wrocławiem. Nie udało się zatrzymać w Katowicach wędrującego na zachód, do Wrocławia, Uniwersytetu Jana Kazimierza; powstały jednak dwie inne zawodowe uczelnie akademickie: Wyższe Szkoły Pedagogiczne w Opolu i w Katowicach.

„W roku 1946 – wspomina prof. Józef Pieter – Ministerstwo Oświaty mianowało Jana Zarembę członkiem Komitetu Organizacyjnego WSP w Katowicach i w takim charakterze miałem z nim styczność". I to przez długie lata, bo do końca istnienia WSP. Zawsze razem: prof. Józef Pieter jako rektor uczelni i doc. Jan Zaremba – jego zastępca, prorektor. Warto też przypomnieć, że Jan Zaremba był i dziekanem, i kierownikiem Katedry Historii Literatury Polskiej, i dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej. Jednak nie funkcje i dostojeństwa kształtowały legendę o ludziach z tamtych lat i miejscu na ulicy 1 Maja w Katowicach. Znakiem rozpoznawczym było coś innego. Niezwykle trafnie scharakteryzował owe odległe czasy prof. Zbigniew Jerzy Nowak: „Nie omylę się, jeśli powiem, że w uczelni tej panował optymizm pedagogiczny. Polegał on na tym, by dostrzegać w studencie nie tylko jego aktualny stan intelektualny czy moralny, ale i perspektywy rozwojowe i otwarcie na przyszłość, w której mogą przecież zajść korzystne zmiany. Myślę, że dotykamy centralnej problematyki humanistycznej, przed którą stoi każdy wychowawca i nauczyciel. Otóż właśnie profesor Zaremba był współtwórcą owej atmosfery nauczycielskiej istniejącej w Wyższej Szkole Pedagogicznej". Do końca jej istnienia. Zwierzęce prawo natury często unicestwia poprzedników. Cywilizacja zazwyczaj ich upamiętnia.

Profesora zawsze darzyłem wielkim szacunkiem. Dodam: od pierwszego dnia, kiedy składałem ślubowanie i byłem immatrykulowany właśnie przez Profesora. Potem, gdy na piątym roku



studiów Profesor wpisywał mi dedykację wraz z „życzeniami sukcesów naukowych", a ja po wielu latach zrewanżowałem się dedykacją: „*Suum cuique*. Pamięci Profesora Jana Zaremby – prof. Jan Malicki", w wydanym wiele lat po śmierci mojego Mistrza, tomie *Postilla popularis* Adama Gdacjusza. Pisarza również cenionego przez Profesora.

Nieprzypadkowo przywołałem tu nazwisko Adama Gdacjusza, którego kazania Profesor wydawał, o nich pisał, choćby w pracy *Polska literatura na Śląsku (część 1)*, wykładał. Gdacjusz wpisywał się bowiem w wielki krąg fascynacji kulturą literacką Śląska, a jej efektem były nie tylko rozprawy analityczne, nade wszystko dwa wielkie przedsięwzięcia naukowe. Jedno to *Bibliografia piśmiennictwa polskiego na Śląsku XVII i XVIII wieku. Śląski Korbut*, opracowana przez 9-osobowy zespół, a opublikowana przez wrocławskie Ossolineum w roku 1980, dzięki dotacjom Oddziału PAN w Katowicach i Uniwersytetu Śląskiego. Było to monumentalne przedsięwzięcie, pozwalające uchwycić często nieznane teksty i wydania, nierzadko zupełnie zapomnianych autorów. Jesteśmy jednak w epoce przedkomputerowej. Kwerendy w bibliotekach dawały nam możliwość poznawania ich zasobów z autopsji. I tak się też działo. Poznałem Kórnik, Poznań i Wrocław.

Drugim wielkim przedsięwzięciem naukowym była właśnie *Antologia starośląska*, powstała w oparciu i dobór tekstów ze *Śląskiego Korbuta*. Był to już czas trudny dla Profesora. Emerytura, coraz mniejsze grono współpracowników, trudności techniczne sprawiały, iż praca szła coraz wolniej. Zresztą i coraz częściej pojawiały się głosy zniecierpliwienia i stale powracające pytanie, dlaczego zaczyna się od tomu 2, nie od czasów najwcześniejszych. I podobnie, jak w *Śląskim Korbucie*, tom pierwszy się nigdy nie ukazał. Dziś, po latach doceniam mądrość Profesora, który swój obszar badawczy chciał zawęzić i zamknąć między wojną 30-letnią a pruską kolonizacją, dostrzegając w owej przestrzeni dwa skrzydła tego samego zjawiska. Zachował się zresztą *Wykaz autorów i tekstów anonimowych*, które winny się znaleźć w antologii. Rozpoczyna go *Polak w Śląsko* i Piotr Wachenius; jest oczywiście Adam Gdacjusz, Jerzy Bock i Jan Malina. Zamykają – „Gazety Śląskie dla Ludu Pospolitego" oraz Jana Krzysztofa Kośnego *Książeczka do sylabizowania i czytania*.

Profesor do końca życia pracował nad antologią. Ba, poddana została nawet recenzji przez dwóch uczonych. Jednym z nich był prof. Tadeusz Ulewicz z Krakowa, drugiego, niestety, nie zapamiętałem. Wydawało się, że po pozytywnych recenzjach, to już krok do publikacji. Niestety, do niej już nie doszło. Pozostały jednak długie, wieczorne rozmowy o literaturze. Czytanie i recytowanie przez Profesora wierszy z antologii, choćby Ludwika Hieronima Heimba z Pruchnej:

Witaj piękny quacki kraju,
Oprowdę poziemski raju,
Zawitaj quacki powiecie,
Najpiękniejszy w całym świecie!

Złote ścinki i odcinki

RYSZARD JASNORZEWSKI

Małgorzata Glinka, była siatkarka, kobieta sukcesu, uporządkowała (w towarzystwie Kamila Składowskiego, profesjonalisty od pisania) wspominki z kariery sportowej, dokładając zwięzłą relację z układania życiorysu po zejściu z parkietu. Ogłosiła autobiografię siedem lat po odbiciu ostatniej piłki, jako pierwsza ze sławnej drużyny „Złotek" Andrzeja Niemczyka. Wyczerpująco opisała przygody reprezentacyjne oraz wyczyny klubowe. Wątki główne i poboczne, opowiadane w pierwszej osobie, dopełniły świadectwa osób z kręgu rodzinnego, towarzyskiego i zawodowego, a także zestawienia statystyczne i relacje prasowe.

W książce nie zabrakło ponadto akcentów wizualnych, z intrygującym portretem przyszłej gwiazdy we wnętrzu parku, jeszcze w roli bobasa, z pluszowym misiem w ręku. Spogląda odważnie w przyszłość, niczym wyjątkowych nie różniąc się od innych dzieci, również tych, które nie zdobędą żadnych medali bądź pucharów. Ze złudzeń i spekulacji odrywa podpis pod zdjęciem już dojrzałym, egzotycznym i rodzinnym: „Odpoczywamy pod palmą". Taka palma i takie wakacje – w zgodnym wyobrażeniu konsumentów sportowych biografii – wskazują na osiągnięty status społeczny równie skutecznie, jak czynią to statuetki, puchary i medale.

O sportowych indywidualnościach w stanie spoczynku wiemy bardzo dużo, a jednocześnie wiemy jedynie tyle, ile udostępniono na rynku pamięci. Wyczyny sportowe z przeszłości są rzeczywistością dokonaną i zamkniętą. Można ją dowolnie opisywać, komentować, podsumowywać. Na pierwszym planie są jednak wyniki, a nie ludzie. Z taką rzeczywistością, z tymi wynikami, komunikuje się życie po, życie otwarte i prywatne, trudniejsze zarówno do opowiedzenia, jak i do sprzedania, gdyż zbyt oczywiste i aż nadto zwyczajne. Zwyczajne są również pisarskie motywacje Glinki: „Napisanie tej książki jest (…) sposobem zakończenia mojej sportowej kariery, a także formą autoterapii po załamaniu, które przyszło po ostatnim gwizdku".

Wszystkie odcienie złota są jednak również autopromocją, dokumentem życia z sukcesem i dla sukcesu. Bohaterka autobiograficznej gawędy już jako nastolatka była zdecydowana uczynić z gry w siatkówkę przyszły zawód. Maturę co prawda, zgodnie z wolą rodziców, zdała, ale najważniejsze sprawności czy kompetencje nabywała i rozwijała na boisku. Już po kilku latach gry w polskich klubach wyjechała zarabiać sportowe pieniądze do Włoch. Dawała radę wybitnie i popisowo („charakter nie pozwalał mi się poddać"), była gwiazdą drużyn nie tylko we Włoszech, ale także we Francji, Hiszpanii i Turcji.

W reprezentacji, drużynie „Złotek", dobrze zestawiona, utalentowana grupa siatkarek, po części bardzo młoda, a po części już doświadczona, zetknęła się z niekonwencjonalnymi metodami dojrzałego i uznanego szkoleniowca. Niemczyk rozluźnił dyscyplinę, zniósł ciszę nocną, zrezygnował z apeli, pozwalał na spędzanie wolnego czasu z mężami i partnerami, organizował wyjścia na dyskoteki. „Kazał nam – wspomina Glinka – szczególnie dbać o wygląd, dobry makijaż i fryzjer to był taki sam obowiązek jak treningi." Niemczyk umiejętnie manipulował podopiecznymi, roztaczał perspektywę sportowej sławy i dochodowych kontraktów. Daleka od stereotypów była otoczka indywidualnych rozmów z zawodniczkami: „Siedział ze szklaneczką jakiegoś napoju, czasem cygarem czy papierosem, z reguły ubrany tylko w ręcznik." Płyny mocne i nieprzypadkowe, spożywane na ogół bez niczyjej asysty, nadużywane wytrwale i systematycznie, z biegiem czasu skomplikowały relacje trenera z drużyną i doprowadziły do jego dymisji.

Urodę siatkarek, na której uwydatnienie nalegał Niemczyk, można uznać za dodatkową broń, osłabiającą morale nieumalowanych i źle uczesanych rywalek, ale o przewagach decydowały w pierwszym rzędzie sportowe umiejętności. W tej reprezentacji, podwójnie ozłoconej na mistrzostwach Europy, Glinka była liderką zarówno na parkiecie, jak i w szatni. Zabrakło jednak happy endu. Podczas zgrupowania w Chinach siatkarka nie chciała czy nie mogła wykonać jakiegoś ćwiczenia, w końcu wdała się w ostrą dyskusję z trenerem. Finałem współpracy było (jak relacjonował sam Niemczyk) zwięzłe: „Trenujesz albo spierdalasz!". Krótko przed śmiercią trenera doszło jednak do pojednania. „Cieszę się – deklaruje Glinka – że mogliśmy sobie wyjaśnić parę kwestii i pożegnać z uśmiechem".

Niekoniecznie ważny jest numer tramwaju i trasa, którą małoletnia Gosia musiała pokonać, aby dojechać na treningi w Skrze Warszawa. Podejrzewam jednak, że ten tramwaj, do innych podobny, nakazuje poważnie traktować surowe początki. A że pojazd to skromny, łatwiej – po upływie wielu stron w książce – zaakceptować zabytkowy pociąg, wynajęty do uświetnienia ceremonii zaślubin Małgorzaty z Włochem o imieniu Roberto. Rola żony i matki wyraźnie ociepliła wizerunek Glinki. Podczas choroby córki Michelle zrozumiała, jeszcze jako czynna sportsmenka, że „życie nie jest kolejnym meczem siatkówki".



Cenne to miłe i pożyteczne. Za mniej pożyteczną, bo niepedagogiczną uznamy natomiast wzmiankę o tym, że szkolne wypracowania pisał Glince menedżer drużyny z Andrychowa. Sprzeciw wobec technik łączenia zamiłowania sportu ze sprawowaniem państwowego urzędu, wzbudzi informacja, że prezydent Aleksander Kwaśniewski przylatywał na zgrupowania siatkarek służbowym helikopterem. W narracji sportowej pojawiły się ponadto nieuniknione akcenty komiczne. Przy Dorocie Świeniewicz czuła się Glinka „jak czołg przy baletnicy", zapewne nie inaczej było podczas finału mistrzostw europejskich, gdy „gra Turczynek przypominała nagłe zerwanie się silnego wiatru, po którym bardzo szybko przychodzi cisza".

Sukcesy siatkarek to kronika wypadków minionych, o najwyższe laury walczą dzisiaj panowie. Zmiana nastrojów to rzecz zwyczajna. Są generacje mniej lub bardziej utalentowane. Na pewno jednak sukces dostępny będzie wyłącznie osobnikom i osobniczkom nieuleczalnie „chorującym" na siatkówkę. Tak przynajmniej twierdzi Małgorzata Glinka. Jednocześnie przestrzega: „Tyle że jest i mroczna strona tej sytuacji – (…) rodziny muszą wytrzymać z chorą osobą w domu". Zbliża to siatkówkę do gry w ekstremalne sporty literackie. ■

Kamil Składowski oraz Małgorzata Glinka: *Wszystkie odcienie złota*. Wydawnictwo SQN, Kraków 2022, s. 286.

Fałatowskie jubileusze w Muzeum Historycznym w Bielsku-Białej

TERESA DUDEK-BUJAREK

Rok 2023 w Muzeum Historycznym w Bielsku-Białej to czas różnych rocznicowych wydarzeń i jubileuszy, które muzealnicy postanowili przypomnieć poprzez wielorakie formy swojej działalności. Większe i mniejsze ekspozycje i prezentacje opowiadają o takich wydarzeniach, jak nadanie przed 300 laty praw miejskich Białej – małopolskiej siostrze śląskiego Bielska, z którym od ponad 70 lat tworzy wspólny organizm; narodziny Wojciecha Korfantego, od których minęło 150 lat; wybuch powstania styczniowego 160 lat temu. Jednym z powstańców był Józef Fałat (starszy brat malarza Juliana), który w jesieni swojego życia zamieszkał w Beskidzie Śląskim, w Bystrej, w willi zwanej Fałatówką. Od 50 lat dom ten jest placówką muzealną o wyjątkowym charakterze. To tam, w sposób aktywny można poznawać twórczość malarską i graficzną Juliana Fałata (ekspozycja kilkudziesięciu prac akwarelowych, obrazów olejnych i litografii) oraz jego bogaty życiorys udokumentowany licznymi archiwaliami i artefaktami. Otwarte pół wieku temu muzeum biograficzno-artystyczne jest prężnie działającą instytucją kultury, o jasno wytyczonej strategii działania. Obecnie Fałatówka w Bystrej to oddział Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej, które z okazji przypadającej 170. rocznicy urodzin artysty przygotowało wiele propozycji jubileuszowych. Miejscem wystaw, działań edukacyjnych i popularyzatorskich eventów oraz wydarzeń kulturalnych są przestrzenie ekspozycyjne Fałatówki oraz zamku ks. Sułkowskich – głównej siedziby muzeum.

Urodziny tego nietuzinkowego malarza, twórcy scen myśliwskich, górskich pejzaży, śnieżnych widoków, rozmaitych studiów plenerowych oraz portretowych, są okazją do przypomnienia i przybliżenia wielu wątków z jego bogatej biografii. Julian Fałat przez całe życie pracował na rzecz nie tylko własnego sukcesu, ale także pomyślności Rzeczypospolitej. Będąc nadwornym malarzem scen myśliwskich cesarza pruskiego Wilhelma II Hohenzollerna organizował w Berlinie pokazy polskiej sztuki, podjął trud zreformowania krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych i przekształcenia jej w Akademię. Życiowe ścieżki zaprowadziły go na budowę szwajcarskich kolei, do Kraju Kwitnącej Wiśni, na Pomorze, gdzie współtworzył zręby polskiego życia kulturalnego i do Warszawy, gdzie zaangażował się w budowanie nowoczesnej kultury i administracji II Rzeczypospolitej. Był w Legionach i stanął do walki o polskość Śląska Cieszyńskiego. Po przejściu na emeryturę osiedlił się w Bystrej. Tej niewielkiej beskidzkiej wiosce oddał nie tylko swój pędzel tworząc liczne studia pejzażowe, ale i serce czynnie angażując się w poprawę warunków życia jej mieszkańców.

W domu, z którego wyrósł Julian Fałat, nie było tradycji celebrowania dat urodzin czy dni imienin poszczególnych członków rodziny. Poznanie książąt Radziwiłłów, częste wizyty w ich majątku i uczestniczenie w różnych rodzinnych uroczystościach, w tym w wyjątkowym obchodzeniu kolejnych rocznicowych dat narodzin księcia Antoniego czy jego małżonki, zaszczepiły w malarzu potrzebę budowania takiego zwyczaju, szczególnie po założeniu własnej rodziny. W obfitej korespondencji od i do malarza (przechowywanej w zbiorach bielskiego Muzeum) odnajdziemy listy z wielorakimi życzeniami: pisanymi do artysty, jak i wysyłanymi przez niego do innych osób. Większość z nich dotyczy okoliczności związanych z imieninami, choć i te Julian Fałat zaczął obchodzić w gronie najbliższych dosyć późno, tuż przed 40 rokiem życia. Okoliczności te wyjaśnia jeden z listów napisany przez starszego brata, Józefa. *Najdroższy Solenizancie! W dniu 7-go stycznia, jak się dowiedziałem przy przenosinach Ojca naszego na wieczne mieszkanie, obchodzisz Swoje Imieniny. Nie wiem, gdzie obecnie przebywasz, gdyż Stasio (…) doniósł mi jako wiadomość sensacyjną, że byłeś w Krakowie a potem wyjechałeś do Warszawy. Czy tak, czy tak list ten mój dojdzie Cię wprawdzie po Imieninach ale nie poza oktawą tychże. Przystępuje tedy do rzeczy i życzę Ci w imieniu całej rodziny po naszemu „zdrowia, szczęścia i długich lat życia"*. Został on napisany po śmierci ich ojca – Kazimierza Fałata. Na pogrzebie rodzica spotkali się w trójkę: Józef, Julian i Stanisław, i jak wspominał malarz jeden z braci zwrócił uwagę, że to dzień imienin Juliana: *Tak więc dwaj moi bracia zdecydowali obchodzić tego dnia imieniny moje, na co ja się zgodziłem. Naturalnie, że to były pierwsze i ostatnie dotychczas obchodzone imieniny przez moich braci.* Jednak listowne życzenia spływały do malarza także w późniejszych latach: *Mój drogi Stasiu! Od dni dziesięciu siedzę w Berli-*



fot. A. Migdał-Drost

Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej – Fałatówka w Bystrej



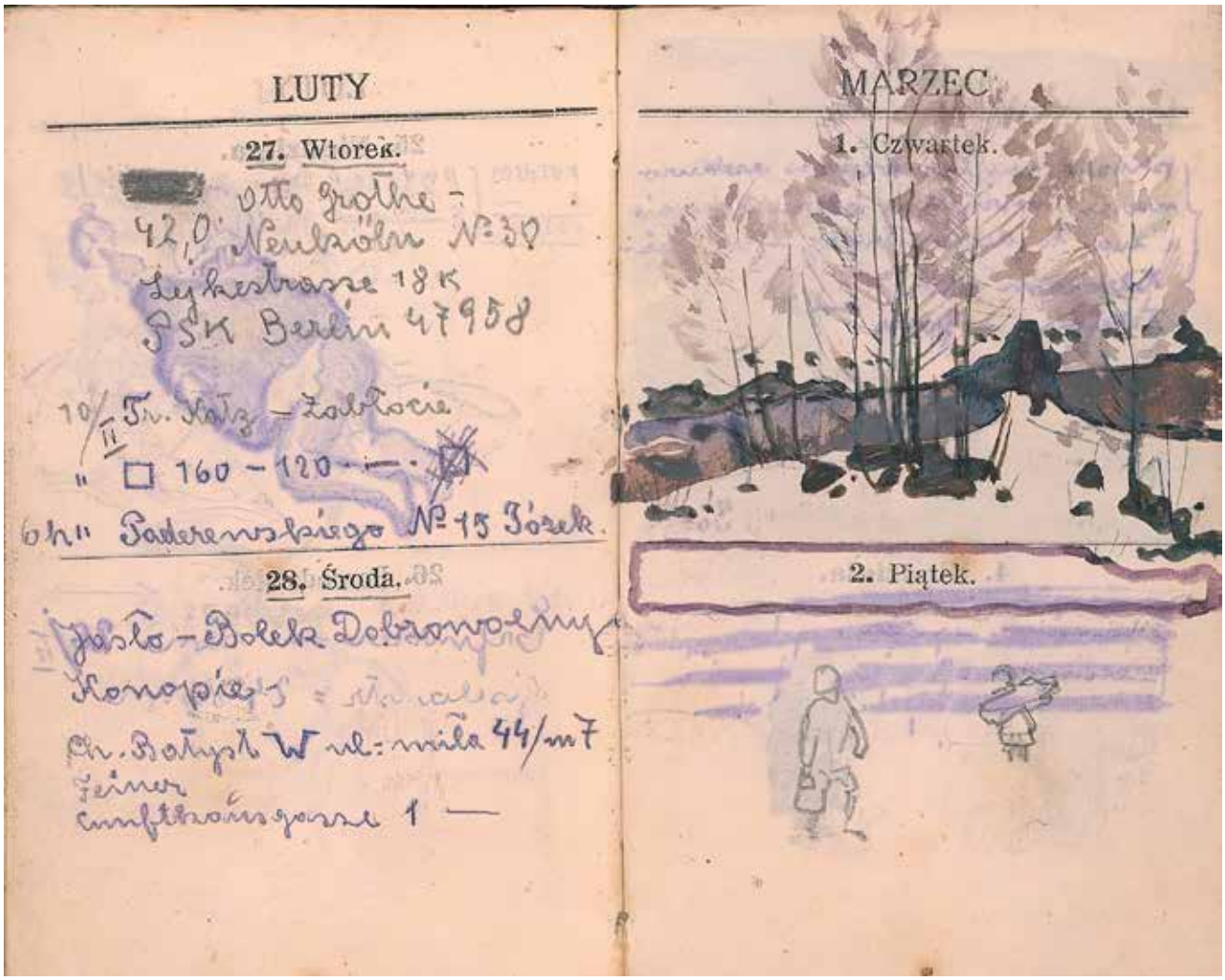
J. Fałat, Krakowianki przed lustrem, 1903



J. Fałat, Buki nad Fałatówką, 1910



J. Fałat, Zima, 1910



J. Fałat, Zima, kartka z kalendarza

proj. A. Migdał-Drost



nie i Twój list z powinszowaniem imienin tutaj otrzymałem. Dziękuję Ci za wszystko serdecznie – napisał artysta do brata Stanisława w 1897 r.

Julian Fałat bardzo dbał o swoich najbliższych, najpierw o rodzeństwo, a następnie o żonę – Marię Luizę, dzieci, wnuki i zięcia – Mariana Niemczewskiego. Starał się pamiętać o ważnych wydarzeniach w ich życiu, notował daty w podręcznych kalendarzykach, pisał listy, wysyłał kartki. *Najukochańszy Juluńciu! Bóg zapłać Ci za pamięć. Słowa Twoje ze wszystkich słów, które otrzymałem w dniu Imienin, są mi najdroższe! W życiu tem, które idzie po grudzie, życzenie brata takiego jak Ty – pokrzepia duszę i stanie za kordiał upajający szczęścia, nadziei i pociechy! Niech Cię Bóg błogosławi za to serce, które Ci podyktowało list ostatni! Może Bóg da, że choć raz w życiu albo Ty na moje, albo ja na Twoje imieniny przyjadę* – dziękował Józef Fałat w liście wysłanym z Przemyśla w 1892 r. Natomiast młodszy brat Stanisław na karcie wysłanej z Wiednia zanotował: *Serdecznie dziękuję Ci za Twój list. Nigdy nie myślałem, że na moje imieniny spotka mię taka miła niespodzianka. Pierwsza w mem życiu. Ty nie przeczuwałeś nawet jakiego znaczenia list Twój nabierze dla mnie.* Czasem Julian Fałat usprawiedliwiał się, że w natłoku zajęć zapomniał o tych szczególnych datach: *Drogi Maryanie! Pomimo, że zeszłego roku zaznaczyłem w kalendarzu dni Twoich urodzin i imienin, przeoczyłem jednak tego roku wskutek niedołęstwa starczego. Kuka we wczorajszym liście przypomniała mi więc posyłam ten liścik do Ciebie, abym Ci wprost winszował i życzył* – napisał do zięcia Mariana Niemczewskiego.

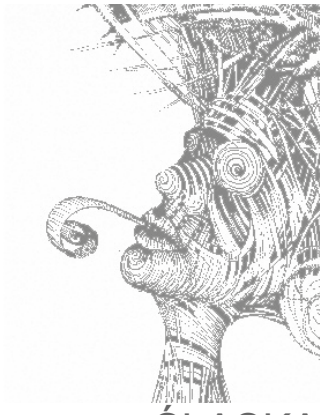
Zawarte w korespondencji życzenia dotyczą różnych okoliczności, są wśród nich wspomniane serdeczności imieninowe, ale również świąteczne, noworoczne, z okazji otrzymanych przez Fałata odznaczeń, medali i zaszczytów. Jest też w tym obszernym zestawie jeden list dotyczący urodzin artysty. Napisał go, w 1928 roku Jakub Glasner, artysta związany w 20-leciu międzywojennym z Bielskiem i Białą. O 75. urodzinach Juliana Fałata było głośno. Przypomnieli o nich reporterzy stołecznych czasopism, a do Bystrej przyjechało wielu gości, których jubilat podjął z właściwą sobie gościnnością.

Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej, nawiązując do tradycji otwartego fałatowskiego domu, przygotowało cykl ekspozycji pod wspólnym hasłem *Magistrae Artis w Fałatówce*. Z okazji 170. urodzin malarza i obchodów *Roku z Julianem Fałatem* projekt ten otrzymał podtytuł zaczerpnięty bezpośrednio z korespondencji do artysty. Na parterze bystrzańskiej willi można oglądać wystawę *Kochany Mistrzu! Jakub Glasner.* Jest to prezentacja prac akwarelowych Jakuba Glasnera (1879–1942) – malarza, grafika, rysownika i akwarelisty, studenta Cesarskiej Akademii Sztuki w Wiedniu i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W czasie swoich artystycznych podróży zawarł on liczne twórcze przyjaźnie, m.in. z Julianem Fałatem, którego sportretował już w 1902 r. (kredkowy rysunek znajduje się na stałej ekspozycji w Fałatówce). Glasner wystawiał z wieloma polskimi i międzynarodowymi ugrupowaniami twórczymi. Tematami jego kompozycji są przede wszystkim zróżnicowane w treści i nastroju pejzaże, portrety oraz sceny rodzajowe, wykonane farbami olejnymi, akwarelowymi lub pastelami. Był wszechstronnym grafikiem eksperymentującym z wieloma jedno – i wielobarwnymi technikami. W 20-leciu międzywojennym mieszkał w Bielsku i w Wiedniu. To właśnie z cesarskiego miasta nad Dunajem wysłał on list do Juliana Fałata, zaczynający się od słów: *Łaskawy i Kochany Mistrzu!*, który także prezentowany jest na tej wystawie.

Kolejną ekspozycją w Bystrej będzie pokaz zatytułowany *Kochany Mistrzu! W listach i obrazach.* Znajdą się na nim prace siedmiu artystów czynnych na przełomie XIX i XX w. oraz ich korespondencja z Julianem Fałatem z lat 1896–1929. Będą to obrazy olejne i akwarelowe, rysunki oraz grafiki autorstwa: Franciszka Ejsmonda, Władysława Jarockiego, Jacka Malczewskiego, Ludwika Misky'ego, Kazimierza Pochwalskiego, Wacława Szymanowskiego i Leona Wyczółkowskiego. Część z wymienionych twórców (podobnie jak Fałat), na różnych etapach swojego życia, związanych była z krakowską Szkołą lub Akademią Sztuk Pięknych. Jedni byli tam uczniami, inni studentami, a następnie niektórzy z nich objęli autorskie pracownie jako akademiccy profesorowie. Inni rozwijali swoją artystyczną edukację w Królewskiej Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Krakowska i monachijska akademia były miejscami zadzierzgania bliskich relacji, a nawet długoletnich przyjaźni pomiędzy wspomnianymi twórcami i Julianem Fałatem. O tych kontaktach opowiadają prezentowane archiwalia, korespondencja skierowana do Fałata przez wymienionych artystów oraz list naszego jubilata napisany do J. Malczewskiego. Wybrana poczta dotyczy wielu spraw: zawodowych, artystycznych, egzystencjalnych i osobistych. Są na tych kartach również gratulacje i życzenia dla *Najdroższego Julka!* lub *Kochanego Juleczka!*

Na co dzień, na stałej ekspozycji Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej w zamku ks. Sułkowskich, można oglądać trzy prace autorstwa Juliana Fałata. Z okazji jubileuszu przygotowaliśmy niewielką wystawę zatytułowaną *Najdroższy Solenizancie! – w 170. urodziny malarza*. Prezentowane są na niej drobne ołówkowe i akwarelowe szkice artysty (niejednokrotnie umieszczone na kartach małych dorocznych terminarzy), listy z życzeniami dla *Najdroższego Solenizanta!* słane malarzowi z okazji imienin przez jego braci Józefa i Stanisława oraz jubileuszowe pisane przez akwarelistę do wnuka Juliana Syma i zięcia Mariana Niemczewskiego. W bieżącym roku bielskie Muzeum zakupiło do zbiorów kolejną akwarelę Juliana Fałata. Jest to wizerunek skrzypka Pawła Kochańskiego, wykonany w 1911 r., w nadmorskim kurorcie Abacja. W dzisiejszej Opatii bywała nie tylko żona malarza – Maria Luiza z dziećmi, ale także wielu przedstawicieli polskiej kultury i polityki, m.in. w ramach podróży poślubnej zatrzymał się tu młody Paweł Kochański ze swoją żoną Zofią. Portret jest o tyle ciekawy, że wirtuoz przedstawiony został z instrumentem w dłoniach – XVIII-wiecznymi skrzypcami Stradivariusa, znanymi współcześnie jako Stradivarius Kochańskiego.

Wszystkie prezentowane w Bystrej i Bielsku-Białej prace Juliana Fałata i jemu współczesnych artystów oraz archiwalia pochodzą z kolekcji własnej Muzeum. ■



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Topić w piecu

Kiedy prof. Andrzejowi Pisowiczowi z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, znakomitemu znawcy języków irańskiego i armeńskiego, memu koledze ze szkolnych tarnogórskich lat, mówiłem przed paroma tygodniami o serii śląskich słów, którym poświęciłem ostatnie odcinki naszej rubryki, przywołał on powojenne lata spędzane w Kamieniu Śląskim koło Opola (1947–1950) i zwrot *topić w piecu,* używany tam w znaczeniu „palić w piecu" – jak w języku czeskim czy rosyjskim.

Takie funkcjonowanie *topienia* potwierdza „Mały słownik gwary Górnego Śląska" z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec. Na s. 266 czytamy: *topić w piecu* – „palić w piecu" (zachodnia część Śląska Opolskiego): *Muszam dziś w piecu topić, bo warzam obiołd na niydzielam.*

To piękny archaizm leksykalny, podtrzymujący prasłowiańskie znaczenie czasownika *topiti* – „ogrzewać coś, palić w czymś". W języku ogólnym utrzymało się tylko kolejne pierwotne znaczenie – „przez ogrzewanie zamieniać ciało stałe w płynne, roztapiać". Do tej samej rodziny wyrazowej należą formy *ciepły, stop, wytop*, a wszystkie one nawiązują do pnia jeszcze starszego niż prasłowiański, bo praindoeuropejskiego *tep* – „być ciepłym".

A jak się ma to *topienie* do czasownika *topić* – „zagłębiać, zanurzać w wodzie"? Prof. Wiesław Boryś, autor świetnego „Słownika etymologicznego języka polskiego" z roku 2005, widzi etymologiczną tożsamość obu form z najprawdopodobniejszym rozwojem znaczeniowym od „roztapiać" – przez „zanurzać w czymś roztopionym" – do „zanurzać w wodzie, zatapiać" (s. 638).

Tak jak kolega Andrzej zwrotem *topić w piecu* wrócił do lat dzieciństwa spędzanego w podopolskim Kamieniu Śląskim, tak i ja, przytaczając zdanie z „Małego słownika…": *Muszam dziś w piecu topić, bo warzam obiołd na niydzielam*, przypomniałem sobie tużpowojenne lata tarnogórskiego dzieciństwa, które – gdy rodzice byli w pracy – spędzałem z nianią spod Góry Świętej Anny, a jej mowa była moim pierwszym spotkaniem z gwarą Opolszczyzny.

Pamiętam doskonale, jak pewnego razu – po przyjeździe z domu – opowiadała mi o swoim kociku, „który by ino drołpoł i drołpoł" – z jakże charakterystyczną dla tego regionu wymową „o" jak „oł": *drołpoł* jak *wrołcoł, trołpił sie* czy *obiołd* ze słownikowego cytatu (*drapał, wracał, trapił się, obiad*).

Śpiewała mi też często: *Bez tam Cisowskam wieś, bez tam Cisowskam wieś, com sie tam nachodził, com sie tam nachodził do mojej lubej…* – czyli „przez tę Cisowską wieś, przez tę Cisowską wieś…", a zapis *tam, Cisowskam* z „am" – tak jak *muszam, warzam* („gotuję"), *na niydzielam*, czyli „muszę, warzę, na niedzielę", oddaje jakże też charakterystyczną dla gwar Śląska Opolskiego wymowę samogłosek „e nosowego – ę" i „o nosowego – „ą" jak „a nosowego" (takiego, jakie słyszymy na przykład w wyrazach serii *pasjans, kwadrans, awans, mezalians*): *ganś, gansi, piańć, zamby, fszańdzie,* śfianto, *gamba, prantko, pianta, wiancy, głamboki, chańć, uwandzóny* (gęś, gęsi, pięć, zęby, wszędzie, święta, gęba, prędko, pięta, więcej, głęboki, chęć, uwędzony).

Mamy też to „nosowe a" zapisane przez „am", „an" w licznych typowo śląskich nazwiskach, takich jak *Bambynek, Dambiec, Damboń, Gansiniec, Kampa, Kandzia, Kansy, Panchyrz* (przedwojenny piłkarz Ruchu), *Pandzioch, Prandzioch, Stanchly* – wariantach standardowych brzmień *Bębenek, Dębiec, Dęboń, Gęsiniec, Kępa, Kędzia, Kęsy, Pęcherz, Pędziach, Prędziach, Stęchły.*

Z punktu widzenia historycznojęzykowego najważniejsze jest podkreślenie, że wszystkie przytoczone wyżej formy z „a nosowym" – zarówno wyrazy pospolite, jak i nazwy własne – to piękne archaizmy fonetyczne, ślad odległych czasów XIV–XV w., kiedy odziedziczone z prasłowiańszczyzny dwie samogłoski nosowe – „e nosowe" i „o nosowe" (każda w wariantach długo i krótko wymawianych, bo polszczyzna jeszcze zachowywała wtedy takie rozróżnienie – jak języki czeski i słowacki do dziś) – zlały się w jeden dźwięk – właśnie w owo „a nosowe". Z długo wymawianego „a nosowego" zrobiło się później dzisiejsze „o nosowe" zapisywane jako „ą", z krótko zaś wymawianego „a nosowego" powstało dzisiejsze „e nosowe", czyli „ę" (już bez wariantów długo i krótko wymawianych). Wróciła więc polszczyzna co do barwy tych dźwięków do stanu prasłowiańskiego. Gwary Śląska Opolskiego – powtórzmy – dowiozły „nosowe a" do współczesności.

Dowiózł je do współczesności także św. Jan *Kanty* (1390–1473), pochodzący z małopolskich *Kęt*, które w jego czasach były w wymowie *Kantami*, dowiózł je również *Zambrów* – nazwa miasta w woj. podlaskim. Było to pierwotne *Ząbrowo*, zapisywane już jednak w XV w. w postaci *Zambrowo* – zgodnie z przedstawioną wyżej ówczesną wymową samogłoski nosowej „ą" i jej graficznym odpowiednikiem „am". I ta wymowa, i taki jej zapis tak silnie się utrwaliły, że obowiązują do dziś.

A od czego *Zambrów* pochodzi? – zapytajmy na koniec. – Kryje się w nim staropolskie słowo *ząbr,* które było wariantem morfologicznym późniejszego *zubra* i żubra. Zambrów zatem to z punktu widzenia etymologicznego „miejsce, gdzie przebywają ząbry – żubry".

W prasłowiańszczyźnie to też był *ząbr*, utworzony przyrostkiem „-r" od prasłowiańskiego rdzenia *ząb* o znaczeniu „coś ostrego". Oczywiście, ten pień jest tożsamy z dzisiejszym *zębem,* a *ząbr* – późniejszy *zubr* i żubr – prymarnie oznaczał „zwierzę o ostrych rogach". ■

Obserwatorzy

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I

Oglądamy właśnie z żoną na Netflixie ciekawy, acz mocno przerażający, serial zatytułowany „Obserwator". Ale do rzeczy. Najprostsze pytanie – co widać? – jak je tylko trochę rozkminić, wcale takie proste na jest. No właśnie – który z „punktów widzenia" najlepiej pozwala wejrzeć w istotę rzeczy? To jedno z tych z pytań, na jakie trudno oczekiwać zadawalającej wszystkich odpowiedzi. By nie babrać się we współczesne plemienne spory, dla uzyskania tak potrzebnego w tym (i zresztą wielu innych przypadkach) dystansu, weźmy na tapetę przypadek z nieco dawniejszej historii – dokładniej z okresu napoleońskiego. We „Wstępie" do pochodzących z tamtych czasów „Pamiętników" Laury d'Arbantes czytamy: „Na tle bogatej memuarystyki napoleońskiej pamiętniki Laury d'Abrantes mają szczególne znaczenie. Pisane są bowiem ręką kobiety, która widziała, zapamiętała i opisała to, czego nie zauważyli mężowie stanu, wodzowie czy dyplomaci, choć ich wspomnienia mają zapewne większą wartość dokumentalną. […] Jak nikt inny, umie przekazać potomności atmosferę, styl życia, mentalność paryskiej socjety w burzliwych, pełnych napięcia latach Konsulatu i Pierwszego Cesarstwa". Diametralnie innego zdania był wybitny historyk, znawca czasów Napoleona Bonaparte i Restauracji – Jan Baszkiewicz. W naukowej polemice z tymi dziejopisami, którzy dali wiarę zanotowanym przez księżną d'Arbentes spostrzeżeniom, dezawuuje ich wartość i przekonuje, że „(b)adacze przesadzali [...] Dawano w tym przypadku wiarę plotkarskim pamiętnikom pani d'Arbantes, starej znajomej Bonapartów i wdowy po generale Junocie". Zauważmy – autorka „Wstępu", Zofia Libiszowska podkreśla znaczenie obserwacji księżnej d'Arbantes kontrastując je z deficytami wersji oficjalnej wydarzeń reprezentowanej przez mężów stanu, wodzów, dyplomatów nie odbierając ich wersjom wartości dokumentalnej, lecz kładzie nacisk na atmosferę, styl życia, mentalność paryskiej socjety tamtych czasów. Baszkiewicz zamyka to wszystko w jednym przekreślającym jakąkolwiek wagę zapisków, pojęciu – „plotki". Jaki jest najwłaściwszy rozkład akcentów w opisie świata (sytuacji, zjawiska, zdarzenia) pomiędzy wersją oficjalną, a plotkami? Taki, który chwyta – właśnie – istotę rzeczy? No cóż, zależy to pewnie od tego, jaki punkt widzenia (sic!) przyjąć. I jak spostrzegawczy jest ten, kto plotkuje. I jak „blisko" jest sytuacji, o której wyraża (powtarza czyjąś?) opinię.

II

Na marginesie – bycia „blisko" jakiegoś towarzystwa czy przewagi opartej na długiej znajomości, nie należy przeceniać. Klasyk antropologii kulturowej Bronisław Malinowski w swym najbardziej może znanym dziele „Argonauci zachodniego Pacyfiku. Relacje o poczynaniach i przygodach krajowców z Nowej Gwinei" wspomina w tym kontekście początki swojej etnograficznej przygody na Triobriandach. Zacznijmy od szans dotarcia Malinowskiego do wyspiarskiej rzeczywistości w ocenie „białych mieszkańców terenu". I jak to widział sam Malinowski – „Byli to ludzie, którzy całe lata spędzili w tych stronach, mając ciągłą okazję obserwowania tubylców i porozumiewania się z nimi, a którzy właściwie nic o nich dokładnie nie wiedzieli. Jakże wobec tego ja – twierdzili moi biali informatorzy – mogłem dorównać, a tym bardziej wyjść poza to, co oni wiedzieli o tubylcach i przedstawiali ich sposób myślenia, który sprowadzał się naturalnie do stwierdzeń, że są to niewyrobione umysły, nie nawykłe do formułowania swoich myśli w sposób logiczny i precyzyjny. Ponadto ich poglądy – co jest rzeczą naturalną – były w znacznej mierze tendencyjne, oparte na z góry powziętych założeniach, nieuniknionych u zwykłego człowieka praktyki, czy to administratora, misjonarza czy kupca, ale mogących jedynie wzbudzić odrazę w kimś, kto usiłuje wyrobić sobie naukowy pogląd na te sprawy". By go sobie wyrobić trzeba przekonuje trzymać się zasad metody naukowej, które w pracy o „Argonautach..." podaje i analizuje.

III

Ale nie tylko o metody naukowe (antropologiczne, czy inne – psychologiczne, socjologiczne) tu idzie. Niekiedy wystarcza – uświadamiane czy nie – poczucie „obcości" w jakimś, nowym środowisku. Taką właśnie sytuację opisuje D. J. Enright w swej powieści „Rok akademicki" – „Lecz oczywiście tylko obcy dostrzegał żebraków i samochody. Bardziej wyczulono oko stałego mieszkańca widziało inne rzeczy: książki Henry'ego Millera, z błędami złożone przez pijanych Szwedów i wydrukowane na papierze toaletowym pośledniejszego gatunku, dżentelmena jadącego na pustynię z żoną innego dżentelmena, ostatnią fazę wojny pomiędzy Coca-Colą a Coca-Colą /.../ Co do żebraków i baszów – ci byli jak tapeta na ścianach domu". Jak widać (sic!) nie jest tak, że poczucie „obcości" pozwala z definicji zwracać uwagę na coś koniecznie ważniejszego, niż to co przykuwa uwagę „stałych mieszkańców".

IV

No dobrze, a gdzie w tym wszystkim zdolności indywidualne obserwatora? Mogą pomóc, ale mogą też zawieść. Na okładce „Dziennika na nowy wiek" Józefa Hena reklamuje się autora jako „znakomitego obserwatora". No cóż... Pisze Hen jak to po spotkaniu autorskim w DK „Koszutka" zawieziono go „do Steblowa, do pałacu Woźniaków", gdzie „(po) kolacji degustacja wina w piwnicy. Goście się rozjeżdżają, a ja mam jeszcze obowiązek rozegrać z gospodarzem nocną partię billarda; Jurkowi należy się rewanż, bo przed rokiem ja, który nie miałem kija w ręku od 60 lat, nieoczekiwanie wygrałem. (nie wiem, czy mi się nie podłożył, chociaż miła Dorota twierdzi, że nie). Tym razem przegrywam. Ale parę bil wbiłem...". No cóż – powtórzę. Tak się składa, że i ja miałem wielokrotnie okazję gościć u Doroty i Jurka w Steblowie. I kiedy byłem tam po raz pierwszy – partie bilarda wygrałem. Jurek okazał się (i jest) prawdziwym mistrzem, bo wygrać ze mną w bilarda to prosta sprawa, ale sfingować przegraną, to prawdziwa sztuka. Dorotki nie pytałem, czy Jurek mi się „podłożył" – bo było to dla mnie aż nadto oczywiste. No dobra, ktoś powie, że w swej diagnozie miałem ułatwione zadanie tym, iż dostrzegłem subtelne znaki dawane przez Dorotkę Jurkowi, żeby ten okazał się w pierwszej partii „gościnny". Udało mi się? No cóż, po prostu – zależy od tego, kto co widzi. ■

Konkurentki?

Przekomarzała się Miłość z Przyjaźnią.

– Phi, ty to jesteś tylko na chwilę. Wpadniesz, namotasz, narobisz zamętu, otumanisz, nawet z najmądrzejszych zrobisz idiotów – wytykała Przyjaźń Miłości.

– Ale jaka jestem gorąca, nieprzewidywalna i oczekiwana! Ludzie robią, dzięki mnie, takie rzeczy, których nigdy by beze mnie nie zrobili… A ty co? Taka wyrachowana, taka przewidywalna, takie zimne kluchy, takie nudy, że aż mi się robi niedobrze! Weź ty, przynajmniej raz się zakochaj, a potem się o mnie wypowiadaj – broniła się Miłość.

– Nie dość, żeś tak niszcząca, to jeszcze zarozumiała! A sama dobrze wiesz, ile przez ciebie łez, złamanych serc, nieprzespanych nocy…, czasem nawet morderstw w afekcie! Ech, jak dobry byłby świat bez ciebie – rozmarzyła się Przyjaźń.

– Ale nudny jak flaki w oleju. Bez porywów i uniesień. Bez nieba już tu, na ziemi; taki letni, szary, byle jaki, pełzający po ziemi, grzecznie przytakujący… A daj ty sobie spokój ze sobą i mi nie ściemniaj – Miłość miała wysokie mniemanie o sobie…

Pewnie kłóciłyby się ze sobą do końca świata, a może nawet dzień dłużej skakałyby sobie do kudeł albo do oczu (jako że obie rodzaju żeńskiego!). Żadna nie chciała ustąpić, zrobić kroku do tyłu, pójść na kompromis. Nagle jednak doznały olśnienia i poszły po rozum do głowy, stwierdzając, że najlepiej będzie, gdy udadzą się do mędrca samotnika, Zdrowego Rozsądku, który autorytatywnie rozstrzygnie nie rozstrzygnięty spór, czy ważniejsza, potrzebniejsza, prawdziwsza Miłość czy Przyjaźń, Przyjaźń czy Miłość.

– Zobaczysz, że ważniejsza będę ja!

– Nie, właśnie że ja!

Samotny Mędrzec, Zdrowy Rozsądek, mieszkał w centrum wielkiego miasta, ale za to w grocie z syntetycznego kamienia, który pochłaniał dźwięki rozwrzeszczanego świata. Na wielkim biurku paliła się woskowa świeca, stojąca tuż przy komputerze najnowszej generacji. Gdy usłyszał, z czym przyszły natrętne klientki, zafrasował się, zamyślił głęboko, westchnął jeszcze głębiej i po dłuższym namyśle powiedział do Miłości:

– Zakochaj się w Przyjaźni!

Zaś Przyjaźni poradził:

– Zaprzyjaźnij się z Miłością…

Szarość

Znowu zapukała w mój sen Bezsenność, budząc mnie natrętnie i nachalnie:

– Nie śpij, nie śnij! Nie szkoda ci czasu na spanie? Na leniuchowanie, na niebyt, na imitację śmierci już za życia?

– Daj mi święty spokój… Przecież muszę wypocząć, zregenerować się, nabrać sił…

– Też coś. Nie ściemniaj mi tu, bo nie jestem aż tak naiwna, jak ci się wydaje. Ty chcesz nabrać sił?! Ty lepiej nie trwoń nadaremno swojej energii!

– Ale o co ci chodzi?

– Nie udawaj, że nie wiesz! Ale dobrze, już ci przypomnę: kto siedzi przed telewizorem, oglądając głupiutkie seriale albo jeszcze głupsze obrady sejmu? Może ja? Kto gra w idiotyczne gry komputerowe, godzinami mordując wyimaginowanych przeciwników, którym życia się mnożą jak odcięte głowy Hydrze? Może ja? Kto pije najtańsze piwska czy inne mózgojeby, po których mały rozumek kurczy się do wielkości elementarnej cząsteczki? Może ja? Kto z kumplami, tumanami ględzi godzinami o niczym? Kto…

– Dobrze, już dobrze – przerwałem – nie wymądrzaj się, nie zakłócaj mojej ciszy nocnej, nie niepokój mojego skołatanego serca, które, gdy cię widzi, bije na… zawał! I nie bądź więcej tak bezczelna, by mącić mój głęboki oddech, który miał wyciszyć i wlać we mnie w ciągu nocy nową energię z wilczym apetytem na życie… Dlatego spadaj, bo cię wyrzucę na zbity, wścibski pysk, za naruszenie ciszy nocnej wespół z moja prywatnością!

– No nie, co za bezczelność! Jak ty chcesz mnie wyrzucić na zbitą twarz?! I za co? Jak jakiś zazdrosny mąż z porożem kochanka swojej niewiernej!!!

– Co ty pleciesz! Mąci ci się w twoim szalonym łbie… Odejdź! Tam są drzwi! Nie otumaniaj! Zajmij się tymi na trzeciej zmianie, którym zamykają się oczy. Bądź im mocną kawą czy trzymającym przy zdrowych zmysłach koniakiem, nie pozwalając na drzemkę… Siadaj na ramionach kierowcom w długich trasach, jak duszyczka, albo chociaż nietoperzom i sowom patrz prosto w oczy, a jeśli ci się nie chce fruwać, to chociaż mojej kotce, tej nocnej włóczędze, oświetlaj drogi do mysich ścieżek, a nie znęcaj się nade mną – wyrzuciłem jednym tchem.

– Ty mi chcesz rozkazywać, czym się mam zajmować? Twoja bezczelność mnie zdumiewa. Zamiast mi dziękować, nosić na rękach, hołubić, obsypywać prezencikami…

– Ale za co? Za co??? To już raczej ci złorzeczyć i przeklinać twoją męczącą obecność– przerwałem wytrącony z równowagi – Za te niekończące się, nocne męki, skołatane serce, lęki, które przyczaiły się w każdym kącie… No nie… Ja mam tobie dziękować? Za co? Za co?? Za co??? – wyrzuciłem z siebie gwałtowanie.

– Twoja niewdzięczność, połączona z krótkotrwałą pamięcią są zdumiewające… Mam ci wyliczać to wszystko, co mi zawdzięczasz? Naprawdę tego chcesz??

– Chyba cię pokręciło! Co ja tobie zawdzięczam? Chyba tylko stresy, stany maniakalno–lękowe, depresję… Ech, ty, ty, stara…

– Tak ci ze mną źle, niewdzięczniku? A to przecież mnie, Bezsenności, zawdzięczasz wszystko, co masz: sukcesy, spełnienia, motywację do grzesznego żywota, pomysły na życie czy przemyślenia nad twoim marnym żywotem… Pomyśl, zastanów się choć przez chwilę… Przecież gdyby nie ja, nie napisałbyś nagradzanych po wielokroć wierszy, nie poznałbyś naszego pięknego kraju i tylu wspaniałych ludzi, bo nie jeździłbyś po odbiór nagród – od Bogatyni do Gdyni, od Zakopanego po Siedlce… Nie napisałbyś melodyjek do setek piosenek… Nie wygłupiałbyś się w kabaretach… Nie zrobiłbyś tylu rzeczy, o których by ci się nawet nie śniło, gdybym ci dała spać! Ej, ty niewdzięczniku! Beze mnie byłbyś beztalenciem, szarym człowieczkiem w nerwicowych ogrodach lęku, pełzającym jak dżdżownica w popiele, a dzięki mnie dostrzegasz słońce na niebie i słońce ciebie dostrzega, możesz docierać do nieba – nakręcała się coraz bardziej.

– Ale przez piekło! – próbowałem zatrzymać jej słowotok, niestety, nadaremnie:

– Nie przerywaj mi nietaktownie, niekulturalnie, bo cię nazwę prostakiem! To dzięki mnie możesz być, a nie tylko mieć! Możesz fruwać, zamiast pełzać jak plugawa żmija! Możesz być w raju, a nie zanurzony dożywotnio w szarej ziemi! Ty, ty… Niewdzięczniku!

– To tylko chwile, chwilątka, na oka mgnienie, błysk pioruna…

– Lepsze chwile uniesień niż wieki przeciętności i tarzania się w błocie – odszczekała.

– Ale, ale… – zabrakło mi słów.

Popatrzyła na mnie z pogardą i rozpłynęła się, znikła jak kamfora, choć jej słowa dźwięczały mi w głowie, nawet nie wiem jak długo, zanim zasnąłem niespokojnym i płytkim snem. Coś mi się śniło, niestety, nie wiem co…

Obudziłem lekki i rześki, ale pusty jak wydrążona dynia czy studnia bez wody… Beznamiętnym wzrokiem spojrzałem na szare słońce i bezbarwną tęczę po kwaśnym deszczu. Od tamtej nocy już ani jeden wiersz nie wprosił się na kartkę; żadne opowiadanie nie wstukało się na komputerowej klawiaturze; daremnie czekałem, aż zaświta mi w głowie nowa melodyjka, a osierocone farby i pędzle z utęsknieniem wyglądały, razem z płótnem, nowych obrazów… Więc jestem, a jakoby mnie nie było i żyję niby życiem – od serialu do serialu, od wyborów do wyborów, od szarości do szarości… Ale za to śpię jak suseł!

Paradoksy

Świat do góry nogami. Postawiony na głowie. Głowa w ziemi. Nogi w chmurach. Stojący na baczność nietoperz. Wiszące drzewa. Chodzenie na rękach. Klaskanie stopami. Czas zatrzymany w biegu. Bieg w miejscu. Miejsce na ziemi. Ziemia na nieswoim miejscu…

To wszystko się zdarza. Nie tylko we śnie czy w pijanym widzie. Niedorzeczność. Sprzeczność. Nielogiczność. Paradoksy to nie tylko zakochane psy.

Wszystko na dotyk, wzrok, smak, czucie. A jeśli nie jest, to będzie. Przy zdrowych zmysłach i w obłędzie. Odwieczne prawa są chwilami, tak ot – wietrznie, w halnym. Wymykają się logice i bezdroża, i ulice. Białe wiersze przywdziewają rymy, miauczą świerszcze, wody idą z dymem…

Psy wolne. Zakosy proste. Ludzie w obrożach warczą pod mostem. Zaszczepieni przeciw wściekliźnie. Zdrowe choroby kołysane przez lekarzy w czarnych fartuchach, by przyciągać słonce. Zimne jak ciepłe lody. Tak mimochodem…

Biała czerń. Czarna biel. Kolorowa szarość. Łasice jeżą się drucianą sierścią. Agresywne sarny rozszarpują myśliwych na strzępy, choć im konwaliami rozkwitają lufy sztucerów.

Diabły suszą się na sznurze wybielone w proszku ave, a anioły (same basy) hałasują w nocnej ciszy, fałszując niemiłosiernie. Ślepy widzi. Głuchy kocha. Politycy są uczciwi.

Plączą się drogi proste. Węzeł gordyjski mózgu stukilometrową nitką, na której przysiadły tygrysy, a gołąbki pokoju warczą i szczerzą kły…

Tylko Miłość. Tylko Miłość. Tylko Miłość taka sama, nie da się kupić i przekupić, by zmienić bieg jak niewierna rzeka.

Tylko Miłość, tylko Miłość, niezmiennie wypełniona miłością po brzegi, bezbrzeżnie…

Tylko Miłość, tylko Miłość, niezależna od czasu, zawsze na czasie, przed czasem, za czasem, a nigdy do czasu…

Tylko Miłość. Tylko Miłość. Tylko Miłość…

Siódme niebo

Jacek chodził w starych butach, choć tak naprawdę, to stare buty chodziły z Jackiem. Z językami na wierzchu, z dżdżownicami sznurówek, wijącymi się wokół niewypranych skarpet.

Jacek żył w swoim świecie, a może to świat żył w nim – dla równowagi, żeby nie był taki szary, w swoim kaszkiecie sprzed stuleci, w przybrudzonej marynarce i z zarostem który pasował do całości jak ulał…

Tułał się po naszym mieście. Był tam, gdzie artyści chcieli się uświęcać i wynosić w jasne niebo, na skrzydłach, które z pychy, czy z rozpaczy, albo z chęci zaistnienia, nim odpłyną w niebyt…

Jacek też był artystą. Całą wychudzoną i zabiedzoną gębą, z łysą głową, z której spozierało słońce, pod kaszkietem. Z notatnikiem, z flamastrami, jak flamandzki artysta (w pomniejszonej skali) malował krajobrazy… ludzkich twarzy. Na wernisażach to się zdarza, a i tam, gdzie grafomani i poeci pragną świecić złym przykładam, jak nie żyć na niby, czy na prawdę urojoną, względnie fałsz…

A nasz Jacek, zamyślony, bywał tylko tam, gdzie był też, choćby najskromniejszy poczęstunek – ot herbatnik dietetyczny, czy paluszek przesolony, jak niejeden głupi kawał. Bo głodny był, niebożę, zaniedbany, opuszczony przez bliższych, jak i dalszych. Może za to, że sam wcześniej ich opuścił i porzucił?

Miał coś w sobie z Nikifora lub Nikifor miał coś z niego, choć nie Nikiforów pora, chociaż ludek wciąż naiwny, a on przecież też naiwny, choć starannie wykształcony, na uczelni tak szacownej z wawelskiego grodu… Więc malował abstrakcyjnie, tak, jak abstrakcyjnie żył i z żelaznym smokiem zionął ogniem skrytym w głowie.

Szedłem z nim czasem przez miasto, gdy kanciasto mi się zwierzał, że jest znowu zakochany, choć osiemdziesiątka gniecie i dobija. Ale tylko platonicznie i tak ślicznie, kolorowo, jako te portrety liche, na papierze jeszcze lichszym – stubarwnymi pisakami zapisane wzniosłe chwile…

A że w życiu mu nie wyszło? Przed nim takich były rzesze, po nim będą takie same…

Jeszcze dzisiaj się uśmiecha, tak bezzębnie i tak szczerze, przepraszając że tu żyje, i nadziwić się nie może, że ma Żona moją Żoną – i to pierwszą, aktualną, tak, jakby nie miała oczu albo postradała zmysły…

Jacek jest już w siódmym niebie, gdzie mu dali nowe buty, ciepłą kurtkę i rodzinę wszystkich świętych, choć tak samo zarośnięty, spolegliwy, dobrotliwy, cichy, pokornego serca i szczęśliwy – lecz na szczęście – szczęściem nie z tej ziemi…

Na wszelki wypadek

Nawet mrówka ma marzenia. Takie duże jak słoń. Nawet słoń chciałby być mały, jak mrówka, by się schować, przed zagarniającym wszystko, czasem. A przecież mrówka mogłaby mieć maleńkie marzenia, by być szczęśliwa. Słoń też mógłby się cieszyć z tego co ma., czyli jaki jest wielki, niezdarny i silny.

Ale tak to już jest w świecie mrówek i słoni, a nawet ludzi, którzy gdzieś pośrodku między wielkim ssakiem, a maleńkim owadem. Choć u ludzi jest jeszcze gorej, bo są (jako napisano w najmądrzejszej Księdze!) panami stworzenia, więc też wielkopańskie ich marzenia. Nie do spełnienia, bo są jak studnia bez dna, czas bez końca, czy nawet życie bez sensu. Dlatego człowiekowi zawsze źle: gdy jest brzydki, to dlatego, że brzydki, bo brzydoty nikt nie lubi; gdy jest piękny, to dlatego, że piękny, bo za pięknem wszyscy przepadają, a jak wszyscy, to tak jakby nikt. Gdy jest bogaty, to chciałby być jeszcze bogatszy, a najlepiej najbogatszy, a bogactwo (podobnie jak głupota) jest nieograniczone. Gdy jest biedny, to chce być bogaty i biedna bieda martwi się na zapas, że zostanie samotna.

Jednak mrówka, słoń i człowiek, mają jedno wspólne marzenie – o miłości prawdziwej, która wypełni mrowisko, sa-

wannę i dom. To marzenie, tak naprawdę, trzyma ich przy życiu. A że się nie spełni? Przecież marzenia nie są po to, żeby się spełniały, ale by mrówka, słoń i człowiek mogli je mieć. Na szczęście… I na wszelki wypadek…

Kałuża

Zanurzono mnie beztrosko w morzu czasu. Nie pytając o zgodę. W pięknym morzu. Ciepłym, krystalicznie czystym, pełnym ryb, korali, muszli. Rozświetlanym niegasnącym słońcem i księżycem kołysanym gwiazdkami pomyślności. Pełnym tajemnic do odkrycia, do przeżycia, do zachwytów…

Sny na jawie. Jawa w snach. Wszystkie wodne światy moje. Nurkuję za nimi do samego dna. Łapię odbite słońce. Zanurzam się w srebrze księżyca. Ptaki łączą wodę w z niebem. Niosą w nieśmiertelność. Wiatr wznieca sztormy. Bóg ucisza wiatr. Na grzbietach fal płynę na wyspy szczęśliwe. Oddycham rajem…

Nie dostrzegam, jak może płynie ze mną i we mnie. Wciąga w wiry jak w przegrane gry, i wyrzuca na mieliźny. Zmienia kształty i odcienie. Szorstkim piaskiem przeciera oczy, bym przejrzał i dojrzał jak z wolna staje się jeziorem. Już dostrzegam drugi brzeg, który się tak szybko zbliża. Śpiew ptaków cichnie. Zamulone dno. Jeszcze tylko od czasu do czasu, w pryzmacie wspomnień dostrzegam tęczę. Ryby mają głos. Mewy zniżają lot. Słońce blednie. Księżyc zachodzi łzą.

Łapię chwile wyślizgujące się z rąk przerażonymi rybami. Niknące w niepamięci. Rozpływają się ludzie i zwierzęta. Rzeczy zapominają kształtu. Słowa – myśli. Głowa ciąży kulą u nogi, ciągnącą na samo dno. Siódme niebo coraz dalej, zamotane w mgłę.

Przejrzyste morze czasu skurczyło się w brudną kałużę. Gasną moje światy w zaproszeniach zaświatów…

Poszukiwania

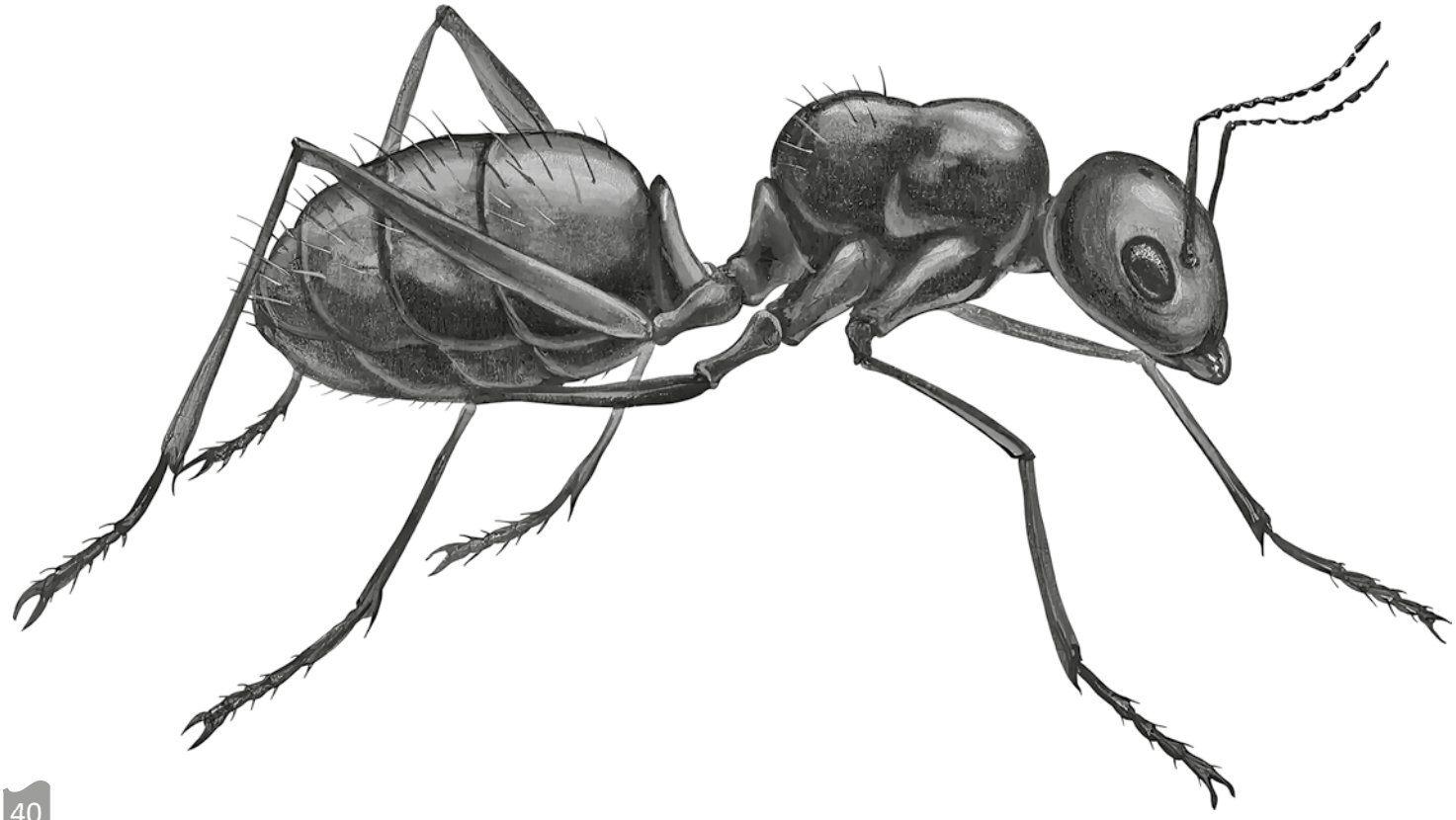
Od oddechu do oddechu. Od mrugnięcia do mrugnięcia.W poczekalni, w przechowalni. Jak bagaże pełne marzeń niespełnionych. Rozmieniliśmy się na drobne, obijając się o ściany płaczu. Rozmijamy się, przemijamy, zapominamy nawet o tym, o czym chleliśmy zapomnieć.

Tułaczka przez życie. Z wyciem i ciszą, która chce zabić. Jeśli jednak ciągle żyjemy, to po coś i na coś. Nikt by nas tu nie powoływał i pozwalał trwać, gdybyśmy byli zbędni i niepotrzebni, jak dziurawy but, bolący ząb, czy nieprześniony sen. Dlatego musi być i jest jakiś sens naszej tułaczki od wschodów do zachodów. Ukryty gdzieś daleko i głęboko. Zakopany jak skarb czekający na odkrywcę.

Poszukuję tego skarbu. W sobie. Do pomocy mam Boga, który wierzy we mnie. I pogan, co nie wątpią. Chociaż nikt mnie nie wyręczy w tym szukaniu po omacku i na ślepo tego sensu, co nie wiedzieć, czy w kosmosie, czy na wyciągnięcie ręki, albo w zapatrzeniu w siebie. I jak tu odnaleźć to, czego nie zgubiłem, a jak grzech pierworodny, co bez mojej winy, ciąży i przygniata, bym nie frunął w niebo, skazany na ziemię. Więc z niepokojem dwoję się i troję, uwielokrotniam, bo przeczuwam instynktownie, że wnikając w coraz głębsze obszary milczenia, usłyszę głos prowadzący do źródła. Że zamknięte oczy dostrzegą więcej – w końcu pełnię. Złamię szyfr i odczytam prawdę o sensie istnienia.

Może jednak lepiej szukać odpowiedzi bez pytań. Ptaki śpiewają, nie pytając po co. Kwiaty kwitną, nie zachwycając się barwą, kształtem, zapachem. Drzewo rośnie do słońca. Wilk wyje do księżyca. I wszystko zda się takie jasne, proste i prawdziwe. Ale mam w sobie ptaka, kwiaty, drzewo, wilka. Dlatego to co jasne ciemnieje, to co proste się gmatwa, jak promienie światła zaplątane w błysk.

Po co się miotać w tęsknotach, za tą jedyną prawdą ukrytą w przestrzeni i czasie, rozedrganą choć stałą, przemieszczającą się nieustannie, gdy każda chwila, nawet ta pozornie bezsensowna, ma głęboki sens, bo poprzedza kolejną, co już czeka, by zapełnić pustkę nowym adwentem… ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Zapomniana pieśń

Ta pieśń towarzyszyła mi od dzieciństwa, niewątpliwie od bardzo wczesnego. Oto w pewnych sytuacjach mój ojciec chrzestny opowiadał o momencie kiedy z Anglii, po wojennej tułaczce wracał do Polski. Wtedy koledzy współtowarzysze walki na pożegnanie śpiewali mu pewną pieśń. Zarówno ci którzy, jak On też już wracali do Ojczyzny, jak i ci którzy jeszcze nie podjęli decyzji. Był to czerwiec 1947 roku. Ta pieśń wśród wielu innych była też śpiewana w domu moich dziadków. I pamiętam pewne spotkanie z czerwca 1962 roku, z okazji 70. urodzin Dziadka i żony wspomnianego wujka w którym uczestniczyli między innymi ks. Anastazy Muża (1886 – 1969), zasłużony duszpasterz naszej ziemi, choć rodem z Kuźnicy na Półwyspie Helskim, dodajmy aresztowany w pierwszych tygodniach II wojny, a także nasz sąsiad inż. Józef Iwicki (1891 – 1988), z kolei rodem z Człuchowa na Pomorzu, wieloletni dyrektor Piotrowickiej Fabryki Maszyn. Po latach autor znakomitej książki Z myślą o Niepodległej ...: listy Polaka, żołnierza armii niemieckiej, z okopów I wojny światowej; 1914–1918, wydanej nakładem Ossolineum w 1978 roku. Wtedy ta pieśń znowu była śpiewana, zarówno w domu, jak i w ogrodzie, wśród śliw i jabłoni.

W moim życiu, ale już poza domem pojawiła się ta pieśń wiele razy. Także w latach studenckich we Wrocławiu w czasie juwenaliów. Wtedy w radosnej atmosferze juwenaliów krzyczeliśmy, chodziliśmy barwnie przebrani, a do wyglądających z okien mieszkańców miasta krzyczeliśmy:

Wrocławianie, hej tam z góry
Dajcie nam tu swoje córy.

A mój niesforny imiennik krzyknął w pewnym momencie:

Jeszcze jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa.

A pod wieczór nasza grupa poszła na Wyspę Słodową. Potem poszliśmy do mieszkania kolegi na ulicę Grodzką. I wtedy wśród innych frywolnych piosenek zaśpiewaliśmy też pieśń będącą tematem moich wspomnień.

A już po studiach kiedy prof. Adolf Dygacz „gonił" mnie na badania terenowe, dotarłem kiedyś do Nowego Bytomia. Gospodarz opowiadał mi wtedy swoją przygodę z wesela, uroczystości z 1948 roku. Wtedy też część zebranych śpiewała ową pieśń. I co? Wtargnęli bojownicy o nową Polskę, opętani młodzieńcy z Służby Polsce. Gospodarz wspominał, że „dostali my po pysku, że tą pieśń my śpiewali". Powiedział też, że śpiewali śląskie i niemieckie pieśni. Jednak kierującemu akcją nowej ideologii nie podobała się tylko jedna pieśń. Ta „moja".

I jeszcze jedno wspomnienie. W dolnośląskiej wsi pod Ząbkowicami Śląskimi odbywało się „skromne wesele" na ponad 150 osób. Wesele mojego późniejszego szwagra Zdzicha. Śpiewano pieśni ludowe z repertuaru Lachów Sądeckich i z Kresów Południowo – Wschodnich, i typowe przyśpiewki weselne. W pewnym momencie ktoś zaintonował ową pieśń. Wszyscy wstali, jak w filmie Andrzeja Wajda „Popiół i diament", opartym na słynnej powieści Andrzejewskiego. Ta pieśń pojawia się w nim w różnych kontekstach. I dodać tylko należy, że owo wesele odbywało się w czasie pierwszej wizyty w Polsce Jana Pawła II. Wtedy to padły zbawienne słowa:

Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi… Tej ziemi!.

To był 2 czerwca 1979 roku.

I jeszcze jedno wspomnienie. Tym razem z Wileńszczyzny. Konkretnie z Rudnik Królewskich. Był 2008 rok. Zostałem zaproszony przez żonę przedwojennego policjanta. Grała na pianinie rozczulającą „Modlitwę dziewicy" Tekli Bądarzewskiej. Oczywiście nie tak pięknie jak dziś znakomita pianistka Magdalena Lisak. A potem z jej córką pojechałem na grób pomordowanych żołnierzy AK. Oczywiście, jak mi powiedziała, przez „sowieckich zbrodniarzy". Kiedy zaś wróciliśmy do domu, gospodyni zagrała pieśń o której opowiadam. I zaśpiewała drżącym głosem:

Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się kryje jak szczur!
Musicie, musicie, musicie
Za kark wziąć i strącić go z chmur!
I poszli szaleni, zażarci
I poszli zabijać i mścić.

Kilkanaście wybranych osób ogarnęło wzruszenie. A będący na spotkaniu Władysław Ałładowicz ps. Bogdaniec, uczestnik operacji „Ostra Brama" powiedział po odśpiewaniu pieśni do mnie i mojego syna Miłosza: *Pamiętajcie. Tacy są Polacy, tu gdzie Polska była przez wieki* Oni znali te zwrotkę i następne. A my?

I takich wspaniałych spotkań z ową pieśnią miałem jeszcze kilka. Ale nasuwa mi się smutna refleksja, że ta pieśń staje się zapominana. Poza refrenem jej tekst jest nieznany. Przekonałem się o tym wielokrotnie, także po mszy na Monte Casino w 1989 roku. A przecież Czerwone maki to element polskiego uniwersum symbolicznego, polskiej tożsamości, naszego patriotyzmu nie uwikłanego w spory.

I przypomnijmy, nie tylko młodym, że pieśń ta powstała w owej symbolicznej nocy z 17 na 18 maja 1944 roku. Autorem słów jest Feliks Konarski (1907–1991) znany przed wojną poeta i pieśniarz, a muzyki Alfred Schütz (1910–1999) polski kompozytor i pianista pochodzenia żydowskiego.

Śpiewajmy *Czerwone maki*. Tylko nauczmy się tekstu. I jeszcze jedno. Jakie były źródła jego znajomości w dobie realnego socjalizmu? ■

Ślązacy zasłużeni w rozwoju elektrotechniki

STEFAN GIERLOTKA

Pierwszą na Śląsku wyższą uczelnią kształcącą inżynierów była utworzona w 1910 roku Wyższa Szkoła Techniczna we Wrocławiu (*Königliche Technische Hochschule Breslau*). Szkoła nauczała w języku niemieckim do końca II wojny światowej. Po wyzwoleniu Wrocławia w 1945 roku w budynkach *Technische Hochschule* utworzono Politechnikę Wrocławską. Również w roku 1945 powstała Politechnika Śląska w Gliwicach. Podstawowa kadra profesorska obu politechnik wywodziła się z Politechniki Lwowskiej.

Elektrycy śląscy przed I wojną światową

Emil Ottomar Naglo (1845–1908)
Prace nad trakcją elektryczną. Założyciel pierwszego Stowarzyszenia Elektrotechnicznego w Niemczech

Urodził się 15 lutego 1845 w **Siemianowicach**. Ukończył szkołę budowy maszyn w Berlinie i rozpoczął pracę w firmie Siemens Brothers w Londynie. W roku 1872 założył w Berlinie firmę Telegraphenanstalt Gebrüder Naglo, która produkowała telefony, telegrafy, elektryczne lampy oświetleniowe, przyrządy pomiarowe, prądnice oraz urządzenia elektryczne do tramwajów. Specjalizując się w rozwoju tramwajów, opracował i wdrożył pantograf, pozwalający zwiększyć prędkość przejazdową. W roku 1897 Emil Naglo sprzedał firmę do Schuckert & Company, a w 1903 roku po połączeniu z Siemensem powstały zakłady Siemens-Schuckert-Werke GmbH (SSW).

Zasługą Emila Naglo była inicjatywa założenia w 1879 roku pierwszego Stowarzyszenia Elektrotechnicznego w Berlinie *Elektrotechnischer Verein*, które w 1893 roku zostało przekształcone w *Verband Deutscher Elektrotechniker VDE*. Od roku 1904 Emil Naglo był przewodniczącym VDE. Zmarł 12 września 1908 w Berlinie.

Eugen Goldstein (1850–1930)
Odkrywca promieniowania anodowego oraz protonu

Urodził się 5 września 1850 w **Gliwicach**. Studiował na uniwersytecie we Wrocławiu oraz w Berlinie, gdzie w 1879 roku u Hermanna von Helmholtza obronił doktorat z fizyki. Od roku 1878 – w Berlińskim Obserwatorium Astronomicznym – prowadził badania nad polem magnetycznym Ziemi i energią elektryczną w przestrzeni kosmicznej. Prowadził badania nad wyładowaniami elektrycznymi w gazach o niskim ciśnieniu. Emitowane promienie przez katodę lampy wyładowczej nazwał promieniowaniem katodowym. Wykazał, że emisja promieniowania ma kierunek prostopadły do powierzchni katody oraz że promieniowanie to ulega odchyleniu pod wpływem pola magnetycznego.



Eugen Goldstein

W 1887 roku otrzymał tytuł profesora. W 1909 roku został wyróżniony medalem *Hughesa* przez Naukowe Towarzystwo Królewskie w Londynie Royal Societmedal. Kilkakrotnie Towarzystwo składało propozycję Goldsteina do nagrody Nobla. Zmarł 25 grudnia 1930 roku w Berlinie.

Sachs Carl (1853–1878)
Pierwszy badacz ryb elektrycznych

Urodził się w 1853 roku w **Nysie**. Studiował we Wrocławiu, a następnie w Berlinie. Po uzyskaniu stopnia doktora, kontynuował pracę naukową na uniwersytecie w Heidelbergu, prowadząc badania zjawisk elektrycznych występujących u niektórych ryb. Badania, były zlecone i finansowane przez fundację Humboldta w Berlinie. W roku 1876 popłynął parowcem do Wenezueli, gdzie rozpoczął badania histologiczne węgorzy elektrycznych w dorzeczu Orinoko. Wykonał wiele preparatów narządów elektrycznych tych ryb, które obecnie znajdują się berlińskim muzeum przyrodniczym. Po powrocie w 1877 roku napisał obszerną monografię poświęconą zjawisku elektryzacji u ryb pt. *Aus den Llanos. Schilderungen einer naturwissenschaftlichen Reise nach Wenezuela.*

W 1878 roku zginął podczas wspinaczki alpinistycznej na Monte Cevedale w Tyrolu, spadając po lodowej ścianie do szczeliny. Jego nazwiskiem nazwano narząd elektryczny u węgorzy elektrycznych – narząd Sachsa.

Graetz Leo (1856–1941)
Wynalazca prostownika diodowego – układ Graetza

Urodził się 26 września 1856 we **Wrocławiu**. Studiował matematykę i fizykę na uniwersytetach we Wrocławiu i Berlinie. Po uzyskaniu doktoratu (1881), rozpoczął pracę na uniwersytecie w Monachium, prowadząc badania nad promieniowaniem elektromagnetycznym oraz dyspersją promieniowania rentgenowskiego i katodowego. W roku 1908 został profesorem zwyczajnym fizyki na uniwersytecie w Monachium. Napisał wiele książek dla elektryków z zakresu elektryczności i magnetyzmu.



Leo Graetz

Najbardziej znanym jego wynalazkiem jest prostowniczy układ Graetza do przekształcania prądu przemiennego na prąd stały. Zmarł 12 listopada 1941 w wieku 85 lat w Monachium.

Karl Ilgner (1862–1921)
Wprowadził koło zamachowe w zespołach napędowych i udoskonalił układ Leonarda

Urodził się 27 lipca 1862 w **Nysie**. Studiował budowę maszyn w Królewskiej Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w firmie *Allgemeine Elektricitats-Gesellschaft (AEG),* awansując na stanowisko kierownika wydziału przetwarzania energii elektrycznej i sieci przesyłowych. W roku 1895 powrócił na Śląsk jako przedstawicielem firmy AEG do spraw rozwoju napędów do maszyn stosowanych w górnictwie

i hutnictwie. Po kilku latach otworzył w Zabrzu swoje biuro projektów elektrycznych napędów walcarek hutniczych i elektrycznych maszyn wyciągowych dla kopalń głębinowych.

W 1900 roku unowocześnił układ napędowy, instalując na wale napędowym koło zamachowe. Zastosowanie w układzie Leonarda koła zamachowego złagodziło udary prądowe w silniku napędowym przy skokowych zmianach jego obciążenia. Nowy układ napędowy, nazwany układem Leonarda-Ilgnera, opatentowano w 1901 roku, a pierwszy raz zastosowano w 1902 roku w Donnersmarck Hütte w Zabrzu. Układ znalazł powszechne zastosowanie w kopalnianych maszynach wyciągowych i w napędach hutniczych. W roku 1912 Wyższa Szkoła Techniczna we Wrocławiu, nadała Ilgnerowi godność honorowego doktora. Zmarł 18 stycznia 1921 w Uniegoszczy w powiecie lubańskim.

Charles Proteus Steinmetz (1865–1923)
Odkrycie zjawiska histerezy magnetycznej, opracowanie metody symbolicznej obliczania obwodów elektrycznych, teorii stanów nieustalonych, silnika histerezowego

Urodził się 9 kwietnia 1865 we **Wrocławiu**. Od urodzenia był karłowaty i garbaty. Oprócz wyjątkowych zdolności matematycznych i fizycznych był rozmiłowany w literaturze klasycznej. W roku 1883 rozpoczął studia matematyczno-fizyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. W okresie studiów związał się z Socjalistycznym Związkiem Studentów i redagował gazetkę partii socjalistycznej. W 1888 roku, nie uzyskawszy dyplomu doktora matematyki, wyjechał do Szwajcarii, gdzie podjął studia na Politechnice w Zurychu. Po roku studiów wyemigrował do USA.

Po przypłynięciu do Nowy Jorku, bez pieniędzy i bez znajomości języka angielskiego biuro imigracyjne nie chciało go wpuścić na ląd. Na statku poznał współpasażera Rudolfa Eichenmeyera, niemieckiego emigranta, właściciela firmy elektrycznej, który wyłożył za Steinmetza kaucję oraz zatrudnił go w swojej firmie.

W firmie projektował transformatory oraz silniki komutatorowe prądu przemiennego, przeznaczone dla tramwajów. Po pewnym czasie firma została wykupiona przez Thomasa Edisona. W nowej firmie przejął obowiązki szefa biura konstrukcyjnego, a następnie został dyrektorem do spraw badań i rozwoju w General Electric Company.

Prowadząc badania nad elektromagnetyzmem, w 1892 roku odkrył zjawisko histerezy magnetycznej. W roku 1900 skonstruował silnik histerezowy. Prace nad układami elektrycznymi doprowadziły go do opracowania w 1893 roku tzw. „metody symbolicznej" obliczania obwodów elektrycznych za pomocą liczb zespolonych. Steinmetzowi zawdzięczamy wprowadzenie oznaczenia operatora jednostki urojonej przez literę „j" zamiast stosowanej przez matematyków litery „i". Ważnym osiągnięciem naukowym Steinmetza było opracowanie teorii stanów nieustalonych w obwodach elektrycznych.



Charles Proteus Steinmetz

W 1902 roku objął katedrę elektrotechniki na Union University w Schenectady i otrzymał tytuł profesora. Kolejne jego prace dotyczyły matematycznej analizy obwodów elektrycznych prądu przemiennego, zjawisk magnetycznych, stanów nieustalonych, przepięć oraz badań nad piorunami. Zajmował się również zagadnieniami teorii względności. Uniwersytet harwardzki nadał mu doktorat *honoris causa*.

Budował elektrownie wodne, pracował nad elektryfikacją kolei i nowymi typami świetlówek. Otrzymał ponad 200 patentów. Napisał i wydał 13 książek z elektrotechniki teoretycznej, maszyn elektrycznych. W latach 1901–1902 był prezydentem A.I.E.E. – amerykańskiego stowarzyszenia elektryków.

Steinmetz zawsze był socjalistą i nie przeszkadzało mu to w robieniu kariery w kapitalistycznej korporacji. Prowadził też korespondencję z Włodzimierzem Leninem. To on podsunął Leninowi hasło: „Komunizm to władza sowiecka i elektryfikacja". Zmarł 26 października 1923 w wieku 58 lat w New York. Amerykańskie Towarzystwo Inżynierów Elektryków przyznaje każdego roku nagrodę naukową imienia Steinmetza.

Emil Berthold Walter Reichel (1867–1937)
Konstrukcje silników i lokomotyw elektrycznych

Urodził się 27 stycznia 1867 w **Siemianowicach Śląskich**. Ukończył studia w Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie. Pracę rozpoczął w firmie Siemens & Halske. Awansując, został dyrektorem zakładu maszyn elektrycznych, oraz członkiem zarządu firmy Siemens & Halske. Wprowadził dużo unowocześnień w konstrukcjach maszyn elektrycznych dużej mocy i lokomotyw elektrycznych. Pracował nad zwiększeniem prędkości lokomotyw, osiągając w 1903 roku prędkość przejazdową 206,7 km/h. W 1911 roku do zasilania lokomotyw w połączeniu kolejowym z Dessau do Bitterfeldem zastosował po raz pierwszy trakcję jednofazową o napięciu 10 kV i częstotliwości 16⅔ Hz. Opracował elektryfikację tras pociągów dalekobieżnych w Niemczech, Szwecji i Holandii.

Przez wiele lat był wykładowcą w Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie. W roku 1904 otrzymał tytuł profesora, a w 1919 – Politechnika w Monachium nadała tytuł doktora h.c. Zmarł 23 maja 1937 w Berlinie.

Georg Wilhelm Alexander Arco (1869–1940)
Radio nadające na wysokiej częstotliwości. Technologia wytwarzania elektronowych lamp próżniowych.

Urodził się 30 sierpnia 1869 w **Gorzycach** (pow. wodzisławski). Uczęszczał do Gimnazjum Ewangelickiego w Raciborzu, a następnie studiował w Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie. Po ukończeniu studiów pracował na tej uczelni, zajmując się radiotechniką i bezprzewodowym przesyłaniem sygnałów. W roku 1897 przeprowadził eksperyment nawiązania bezprzewodowej łączność na odległość 60 km. W 1898 roku podjął pracę w laboratorium pomiarowym firmy *Allgemeine Elektricitäts-Gesellschaft (AEG).*



Georg Wilhelm Alexander Arco

Prowadzone przez Arco prace nad telegrafią bezprzewodową doprowadziły do powstania nowej firmy *Ge-*

sellschaft fur drahtlose Telegraphie m.b.H., której został dyrektorem. Spółka ta przekształciła się w znaną firmę Telefunken. Początkowe prace Arco skupione były na podnoszeniu mocy nadajników i zwiększeniu zasięgu stacji nadawczych.

Jako pierwszy opracował i skonstruował superheterodynę. Zasługą Grafa von Arco było wybudowanie w 1904 roku dużej stacji nadawczej w Berlinie. Była to wtedy największa nadawcza stacja radiotelegraficzna w Europie. W 1907 roku dokonał bezprzewodowego przesłania głosu ludzkiego. W doświadczeniu tym uczestniczył włoski tenor Enrico Caruso. Opatentował wiele rozwiązań w zakresie telegrafii bezprzewodowej.

Największym sukcesem Arco było opracowanie w 1912 roku nadajnika wielkiej częstotliwości do przesyłania wiadomości do Ameryki przez ocean. Opracował również technologię przemysłowego wytwarzania lamp próżniowych. Produkowane przez Telefunken nadajniki pracowały do I wojny światowej, utrzymując telegraficzną łączność transatlantycką. W czasie I wojny światowej pracował nad łącznością komunikowania się ze statkami na morzu i z krajami zamorskimi. Zmarł 5 maja 1940 w Berlinie.

Fritz Emde (1873–1951)
Teoria mocy w układach zasilanych prądami odkształconymi oraz w układach wielofazowych.

Urodził się 13 lipca 1873 w **Uszycach** w powiecie oleskim, woj. opolskie. Uczęszczał do szkoły technicznej w Białogardzie. W roku 1895 rozpoczął pracę w Allgemeine Elektricität-s-Gesellschaft (AEG), ale po dwóch latach przeszedł do firmy *Siemens & Halske* w Berlinie. W latach 1900–1911 pracował w Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie, gdzie prowadził badania nad teorią fal elektromagnetycznych Maxwella.

W 1911 roku został profesorem w Königlichen Bergakademie zu Clausthal w Dolnej Saksonii. Wykładał tam mechanikę i elektrotechnikę. Po roku pracy w Clausthal otrzymał awans na kierownika Instytutu Elektrotechniki Wyższej Szkoły Technicznej w Stuttgarcie.

Opracował wiele zagadnień dotyczących mocy układów wielofazowych, rozkładu pola elektrycznego w transformatorach, układów zasilanych prądami odkształconymi. Wprowadził do języka elektrotechnicznego nowe określenia: amperozwoje; siła elektromotoryczna SEM, przepływ magnetyczny. Zmarł 30 czerwca 1951 w Stuttgarcie.

Elektrycy śląscy po I wojnie światowej

Franciszek Szymik (1914–1979)
Zagadnienia ochrony przepięciowej, sieci przesyłowe WN

Urodził się 25 stycznia 1914 w **Cieszynie**. Studiował na Oddziale Elektrotechnicznym Politechniki Lwowskiej. Pracę rozpoczął w roku 1939 w Zakładzie Elektryfikacyjnym Okręgu Lwowskiego, jako projektant linii przesyłowej 150 kV Lwów-Rzeszów. Realizację tego projektu przerwała wojna. Po zajęciu Lwowa przez Rosjan zaprojektował linię przesyłową 110 kV Lwów-Borysław, a następnie został kierownikiem Lwowskiego Energokombinatu. W 1945 roku wrócił na Śląsk i podjął pracę Zakładzie Energetycznym Gliwice.

W 1949 roku został zatrudniony w Katedrze Sieci Elektrycznych na Politechnice Śląskiej, kierowanej przez Zbigniewa Jasickiego. W 1953 roku zorganizował na politechnice Laboratorium Elektroenergetyczne. W latach 1954–1962 pracował jednocześnie jako kierownik Pracowni Przesyłu Energii Elektrycznej Instytutu Energetyki w Warszawie. W roku 1961 powołany został na stanowisko kierownika Katedry Sieci i Układów Elektroenergetycznych. W 1975 roku otrzymał tytuł prof. zwyczajnego. Uczestnicząc w projekcie budowy sieci 400 kV w Byczynie opracował przewody wiązkowe. Jego prace naukowo-badawcze skupione były nad zagadnieniami ochrony przepięciowej, metodami obliczeń konstrukcji słupów linii wysokich napięć, niezawodnością pracy sieci elektrycznych, badaniu obciążeń wiatrowych i drgań mechanicznych przewodów linii napowietrznych, pracy sieci elektroenergetycznej na terenach eksploatacji górniczej, zagadnień radiozakłóceń i strat ulotu. Zmarł 11 marca 1979; został pochowany na Cmentarzu Ewangelickim w Cieszynie.

Zbigniew Jasicki (1915–2001)
Badania łańcuchów izolatorów za pomocą wielkiej częstotliwości, właściwości plazmy uzyskiwanej przez spalanie paliw konwencjonalnych, prace w zakresie generatorów MHD

Urodził się 16 sierpnia 1915 w Zawadzie na Zaolziu. W 1939 roku ukończył studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Pracę rozpoczął w Oddziale Sieci Elektrycznych w Cieszynie. Podczas okupacji pracował w fabryce porcelany elektrotechnicznej w Boguchwale (pow. rzeszowski), gdzie zorganizował Laboratorium Wysokich Napięć. Tam opracował metodę badań łańcuchów izolatorów za pomocą wielkiej częstotliwości. W 1943 roku podjął pracę w firmie BBC w Krakowie jako projektant sieci elektrycznych. Po wojnie zaangażował się w odbudowę energetyki, obejmując stanowisko kierownika Wydziału Budowy Sieci Najwyższych Napięć przy Zjednoczeniu Energetycznym Okręgu Krakowskiego. W 1946 roku został dyrektorem przedsiębiorstwa Państwowe Budownictwo Elektryczne (PBE) w Krakowie, w którym wybudował pierwszą w kraju linię przesyłową 220 kV ze Śląska do Łodzi.

Od roku 1945 prowadził wykłady z sieci elektrycznych na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. W 1949 roku został kierownikiem Katedry Sieci Elektrycznych. W latach 1952–54 pełnił funkcję dziekana Wydz. Elektrycznego, a w latach 1954–56 – rektora Politechniki Śląskiej. W 1961 roku przeniósł się na Politechnikę Poznańską, gdzie objął Katedrę Elektroenergetyki. Badania naukowe skupił nad generatorem magnetohydrodynamicznym MHD i właściwościami plazmy uzyskiwanej przez spalanie paliw konwencjonalnych. W latach 1968–70 pełnił funkcję dyrektora Instytutu Nowych Źródeł Energii i przyczynił się do utworzenia Ośrodka Maszyn Matematycznych Politechniki Poznańskiej. W latach 1962–69 sprawował funkcję rektora Politechniki Poznańskiej. W1964 roku otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego, a w 1987 roku tytuł doktora *honoris causa* Politechniki Poznańskiej. W 1973 roku przeniósł się do AGH w Krakowie, gdzie objął kierownictwo Instytutu Nowych Konwersji Energii prowadząc prace naukowo-badawcze nad podniesieniem sprawności przemiany energii chemicznej węgla w energię elektryczną. W 1982 roku został kierownikiem Zakładu Sieci i Systemów Energetycznych w Instytucie Elektroenergetyki AGH, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę w 1984 roku. Zmarł 9 stycznia 2001 w Krakowie.

Władysław Sztwiertnia (1914–1990)
Prace nad napędami dużej mocy i elektrycznymi maszynami wyciągowymi

Urodził się 20 kwietnia 1914 w **Goleszowie**, pow. Cieszyn. Studiował na Politechnice Lwowskiej, uzyskując w 1938 roku dyplom inż. elektryka. Podczas wojny pracował w przedstawicielstwie Siemensa w Katowicach, następnie w Ostrawie, projektując urządzenia elektrycznych dla górnictwa i hutnictwa. Po wojnie pracował w Instytucie Naukowo-Badawczym Przemysłu Węglowego jako kierownik napędów elektrycznych maszyn wyciągowych i wentylatorów. W 1953 roku delegowany był do Korei w ramach pomocy Polski dla odbudowy zniszczeń wojennych. W 1955 roku rozpoczął pracę w Biurze Projektów Górniczych w Gliwicach, awansując w 1966 roku na naczelnego dyrektora.

Zorganizował specjalną pracownię napędów maszyn elektrycznych dużej mocy. Pod jego kierownictwem zaprojektowano i wybudowano 187 elektrycznych maszyn wyciągowych. Opracował typoszereg silników elektrycznych prądu stałego dla

maszyn wyciągowych, których produkcję podjęto w DOLMEL-u we Wrocławiu.

Od 1950 roku rozpoczął pracę na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. W 1958 roku został kierownikiem katedry Elektryfikacji Zakładów Przemysłowych. Opublikował kilka książek z dziedziny napędów elektrycznych i maszyn wyciągowych. Zmarł 7 sierpnia 1990 w Gliwicach.

Andrzej Kamiński (1916–1995)
Prace nad niezawodnością systemu elektroenergetycznego w sieciach 110 kV

Urodził się 17 września 1916. W roku 1934 ukończył gimnazjum w Katowicach i rozpoczął studia na Oddziale Elektrycznym Politechniki Lwowskiej. Pracę zawodową podjął w 1940 roku w firmie Siemens w Warszawie. Studia ukończył 1946 roku na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej i tam rozpoczął pracę w Katedrze Elektroenergetyki. W roku 1948 obronił pracę doktorską, a w 1976 uzyskał tytuł profesora zwyczajnego.

W latach 1962–1969 pełnił funkcję kierownika Katedry Gospodarki Elektroenergetycznej, którą zorganizował od podstaw. Po reorganizacji Wydziału Elektrycznego w 1971 roku pracował w Instytucie Elektroenergetyki i Sterowania Układów w Zakładzie Gospodarki Elektroenergetycznej. Po objęciu kierownictwa katedry, prace naukowe skupił na metodach analiz techniczno-ekonomicznych w energetyce, badaniach związanych z niezawodnością pracy systemu elektroenergetycznego oraz zagadnieniami bezpośredniego uziemienia punktu zerowego transformatorów w sieci 110 kV. Zmarł 20 lutego 1995 i został pochowany na Cmentarzu Ewangelickim w Wiśle.

Zygmunt Nowomiejski (1922–1985)
Teoria mocy w układach o przebiegach odkształconych

Urodził się 18 listopada 1922 w **Rybniku**. Brał udział w wojnie obronnej 1939 roku. Wojnę zakończył w Anglii, gdzie w 1945 roku zdał maturę. Studia rozpoczyna w 1945 roku na Wydziale Elektrycznym Heriot-Watt College w Edynburgu. W 1948 roku wrócił do kraju i kontynuował studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. W 1951 roku został asystentem w Katedrze Elektrotechniki u prof. S. Fryzego. W roku 1960 objął stanowisko kierownika Zakładu Elektrotechniki Teoretycznej, a w roku 1963 – kierownika Katedry Podstaw Elektrotechniki, która po kolejnych zmianach organizacyjnych weszła w skład Instytutu Elektrotechniki Teoretycznej i Przemysłowej. Zajmował się uogólnioną teorią mocy w układach o przebiegach odkształconych. Pełnił funkcję Dziekana Wydziału Elektrycznego w latach 1968–1973 oraz 1982–1985. Zmarł 27 stycznia 1985, pochowany został na Cmentarzu Centralnym w Gliwicach.



Zygmunt Nowomiejski

Władysław Paszek (1925–2004)
Rozwój energoelektroniki w napędach elektrycznych

Urodził się 27 czerwca 1925 w **Bielsku**. Po wybuchu wojny w 1939 roku podjął pracę, jako czeladnik elektryk w Bielskich Warsztatach Elektrycznych. W roku 1943 został wcielony do Wehrmachtu i skierowany do prac w porcie Bordeaux we Francji. Przy nadarzającej się okazji zdezerterował i wstąpił do francuskiego Ruchu Oporu, a następnie do Wojska Polskiego na Zachodzie.



Władysław Paszek

Po wojnie w 1946 roku zdał maturę i rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Studiował jednocześnie dwie specjalności: maszyny elektryczne i elektronikę. Po ukończeniu studiów w 1951 rozpoczął prace naukową na Politechnice Śląskiej. W 1966 roku objął (po prof. Z. Gogolewskim) Katedrę Maszyn Elektrycznych, którą kierował nieprzerwanie do roku 1994. W roku 1987 otrzymał tytuł profesora zwyczajnego.

Początkowe badania naukowe obejmowały konstrukcje nowych amplidyn, stosowanych w układach Leonarda do napędu górniczych maszyn wyciągowych i hutniczych walcarek. Pracował nad zastosowaniem transduktorów w układach automatycznej regulacji wzbudzenia maszyn synchronicznych i regulacji prędkości obrotowej. W połowie lat sześćdziesiątych rozpoczął pierwsze prace nad zastosowaniem energoelektroniki w napędach elektrycznych. Opracował nowe układy tyrystorowe do wzbudzenia generatorów synchronicznych, przetwornice do lokomotyw kopalnianych, przetwornice do zasilania silników prądu stałego oraz falowniki do zasilania silników indukcyjnych. Opracował bezprzekładniowy napęd samotoków walcowniczych zasilany z cyklokonwertora. Wniósł duży wkład naukowy do teorii maszyn elektrycznych, układów regulacji maszyn elektrycznych oraz stanów nieustalonych w maszynach elektrycznych. Zmarł 2 października 2004. Został pochowany na cmentarzu w Bielsku-Białej.

Arkadiusz Puchała (1928–1974)
Prace nad teorią elektromechanicznych przetworników energii

Urodził się 25 kwietnia 1928 w **Piotrowicach Śląskich** (dziś dzielnica Katowic). Studia ukończył na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej w 1955 roku. Pracę naukową rozpoczął w Katedrze Maszyn Elektrycznych, zajmując się własnościami obwodu magnetycznego silnika ze zwojem zwartym. W 1961 roku przeniósł się do Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, gdzie w 1965 roku habilitował się. W 1965 roku rozpoczął wykłady z teorii elektromechanicznych przetworników



Arkadiusz Puchała

energii. Tematyka wykładów obejmowała nowe metody analizy stanów awaryjnych układów elektromechanicznych. W AGH zorganizował Zakład Dynamiki i Systemów Elektromechanicznych i był jego

kierownikiem. W latach 1970–1972 był prodziekanem Wydziału Elektrotechniki AGH. W roku 1972 uzyskał tytuł profesora. W tym też czasie rozpoczął pisanie swego dzieła „Dynamika Maszyn i Układów Elektromechanicznych", które zostało wydane już po jego śmierci.

Jego działalność naukowa skupiała się na metodach matematycznych i ich przydatnością w zakresie teorii maszyn elektrycznych, syntetyczna teoria dynamicznych modeli matematycznych maszyn elektrycznych dla stanów nieustalonych i niesymetrycznych, teoria systemów elektromechanicznych, teoria drgań elektromechanicznych. Zmarł 23 kwietnia 1974 w Katowicach w wieku 46 lat.

Szendzielorz Aleksander (1928–1986)
Prace nad ochroną odgromową linii SN oraz pierwszą linią przesyłową 750 kV

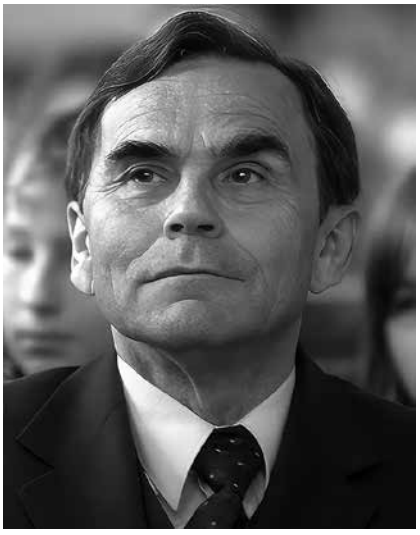
Urodził się 9 stycznia 1928 w **Tarnowskich Górach**. Studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. W roku 1953 rozpoczął pracę w Katedrze Sieci Elektrycznych na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. W 1970 roku został powołany na stanowisko docenta w Katedrze Sieci i Układów Elektroenergetycznych. Tytuł naukowy profesora otrzymał w 1984 roku.

Tematyką prowadzonych badań naukowych była: ochrona odgromowa linii SN, obciążalność linii kablowych SN na terenach górniczych, projektowanie linii kablowych 110 kV, zagadnienia konstrukcyjne wielkoprądowych torów kriogenicznych, modelowanie laboratoryjnego układu dla badań linii napowietrznych do 1300 kV.

Prace naukowe związane były z budową pierwszej linii 220 kV w roku 1952, bloku energetycznego 200 MW w Elektrowni Turów, pierwszej linii 400 kV w 1964 roku, pierwszej linii 750 kV w 1986 roku, pierwszym blokiem 500 MW w 1978 roku. Zmarł 31 maja 1986 i został pochowany w Oświęcimiu.

Wilibald Winkler (1933–2010)
Badania własności zabezpieczeń elektroenergetycznych w nietypowych stanach zakłóceniowych

Urodził się 25 grudnia 1933 w **Zabrzu-Makoszowach**. Pracę zawodową rozpoczął w roku 1952 w Laboratorium Elektrycznym Elektrowni Miechowice, zajmując się automatyką zabezpieczeniową i pomiarami elektrycznymi. W 1958 roku rozpoczął studia zaoczne na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. Po ukończeniu studiów w 1966 roku rozpoczął pracę w Katedrze Sieci i Układów Elektroenergetycznych Politechniki Śląskiej. W roku 1969 uzyskał stopień naukowy doktora i objął stanowisko adiunkta w Katedrze Sieci i Układów Elektroenergetycznych. W 1973 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego, a w roku 1981 tytuł profesora. W latach 1990–1996 był rektorem Politechniki Śląskiej.



Wilibald Winkler

Działalność naukowa początkowo skupiała się na własnościach dynamicznych pojemnościowych przekładników napięciowych oraz wpływem sygnałów odkształconych na działanie przekaźników z komparatorami amplitudy i fazy. Kolejnym zainteresowaniem naukowym było wdrożenie komputerów do sterowania i zabezpieczeń stacji elektroenergetycznych. Wiele prac poświęcił analizie zachowania zabezpieczeń elektroenergetycznych w nietypowych stanach zakłóceniowych. Pracował też nad cyfrowymi zabezpieczeniami bloków energetycznych, układów generator-transformator.

Od 1997 do 2000 roku był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej, a od 2000 do 2001 roku Wojewodą śląskim. Zmarł 31 października 2010 roku; został pochowany w Zabrzu.

Paweł Krzysztolik (1933–2018)
Elektryczne urządzenia budowy przeciwwybuchowej dla kopalń metanowych



Paweł Krzysztolik

Urodził się 25 maja 1933 w **Pszczynie**. Studia ukończył w 1956 roku na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach i rozpoczął pracę w Kopalni Doświadczalnej Barbara w Mikołowie, która była placówką badawczą Głównego Instytutu Górnictwa GIG w Katowicach. Doktorat obronił na Politechnice Śląskiej w 1970 roku, a w 1973 roku został docentem. Habilitował się w 2000 roku rozprawą o elektrycznych obwodach iskrobezpiecznych. W 2002 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Od 1970 roku był członkiem Polskiej Akademii Nauk.

Skonstruował iskrobezpieczne obwody elektryczne, tranzystorowe zapalarki do odpalania materiałów wybuchowych w kopalniach metanowych, metanomierze automatyczne raz opracował obudowę przeciwwybuchową dla urządzeń elektrycznych, użytkowanych w atmosferach wybuchowych. Miał ponad 100 patentów.

Biegle władał sześcioma językami obcymi i w imieniu Rzeczypospolitej koordynował międzynarodowe konferencje, kongresy i sympozja instytutów naukowych. Był członkiem Komisji Nauk Technicznych Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie oraz konsultantem w USA odnośnie elektryfikacji kopalń zagrożonych metanem i pyłem węglowym. Zmarł 16 lutego 2018; pochowany został w Pszczynie.

Franciszek (Franz) Fikus (1930–2005)
Twórca polskiej elektrotermii i magnetohydrodynamiki

Urodził się 15 kwietnia 1930 w **Tarnowie Opolskim**. Studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. Po studiach w 1955 roku rozpoczął pracę w Hucie Balidon w Katowicach. W 1961 roku objął stanowisko głównego energetyka w Hucie Batory w Chorzowie. Praca w przemyśle umożliwiła mu prowadzenie badań i eksperymentów, które zostały uwieńczone w 1967 obroną pracy doktorskiej na Politechnice Śląskiej. W 1970 roku otrzymał stanowisko docenta na Wydziale Metalurgicznym Politechniki Śląskiej w Katowicach. Kierował Katedrą Elektrotermii, która zajmowała się oddziaływaniem pól magnetycznych na ciekłe metale. W 1975 uzyskał stopień doktora habilitowanego, a w 1978, otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Był przewodniczącym centralnej sekcji elektrotermii hutniczej przy Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Przemysłu Hutniczego, członkiem Międzynarodowej Unii Elektrotermii (UIE) w Paryżu oraz Polskiego Komitetu Elektrotermii.

W roku 1981 przeprowadził się do Niemiec, gdzie wykładał na Uniwersytecie Technicznym w Düsseldorfie oraz w Fachhochschule Giessen-Friedberg. Po przejściu na emeryturę w roku 2000, zajmował się pisaniem książek historycznych o dziejach starożytnego Izraela (*David. König und Gejagter*, Münster 2003). Zmarł 5 września 2005 w Norymberdze. Został pochowany na cmentarzu w rodzinnym Tarnowie Opolskim. ■

Nieśmiertelny „Skrzypek na dachu”

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Któż z nas nie zna tego musicalu? Jako dziecko oglądałem z rodzicami wspaniały amerykański film w reżyserii Normana Jewisona z Chaimem Topolem w roli Tewjego. Na długie lata ten obraz ukształtował dla mnie wzór musicalu Jerry'ego Bocka i głównego bohatera.

19 maja 2023 roku zostałem zaproszony do Teatru Muzycznego w Łodzi na uroczyste wznowienie „Skrzypka na dachu” w reżyserii i choreografii Jana Szurmieja. Dyrekcja teatru postanowiła w ten sposób uczcić jubileusz 40-lecia polskiej prapremiery tego słynnego musicalu. 5 maja 1983 roku Maria Fołtyn wyreżyserowała po raz pierwszy ten spektakl w Łodzi, a w roli Tewjego Mleczarza obsadziła słynnego polskiego basa Bernarda Ładysza (urodzonego w Wilnie w 1922 roku, a zmarłego 3 lata temu). Jego zmiennikiem został wtedy niespełna 30-letni Zbigniew Macias.

Później nastąpił tryumfalny pochód „Skrzypka na dachu” na polskich scenach. Premiery odbyły się w Poznaniu (1984, Teatr Wielki, reż. Jan Maciejowski), Gdyni (1984, Teatr Muzyczny, reż. Jerzy Gruza), Wrocławiu (1991, Operetka Wrocławska, reż. Jan Szurmiej), Bydgoszczy (1992, Opera Nova, reż. Artur Hofman), Krakowie (1993, reż. Marek Weiss-Grzesiński) i Warszawie (1993, Teatr Wielki, reż. Jerzy Gruza).

28 listopada 1993 roku siedziałem oczarowany na widowni chorzowskiego Teatru Rozrywki podczas premiery „Skrzypka na dachu”. Spektakl wyreżyserował Marcel Kochańczyk (również scenograf), a współpracą reżyserską i choreografią zajął się mistrz Henryk Konwiński. Kierownictwo muzyczne wspólnie z Jerzym Jarosikiem objął legendarny twórca Leopold Kozłowski, urodzony w 1918 roku w Przemyślanach koło Lwowa. Wspaniały żydowski artysta był też konsultantem muzycznym „Skrzypka na dachu” w Gdyni, Wrocławiu, Krakowie, Warszawie. Kozłowski pracował jako kompozytor, dyrygent i pianista, kierownik muzyczny Teatru Żydowskiego w Warszawie i cygańskiego zespołu Roma. Nazywano go ostatnim polskim klezmerem. Zmarł w Krakowie w 2019 roku.

Kostiumy do chorzowskiego spektaklu zaprojektowała Barbara Ptak, współpracująca z Jerzym Kawalerowiczem, Romanem Polańskim, Andrzejem Wajdą, Kazimierzem Kutzem, Jerzym Antczakiem, Januszem Majewskim... Dobór realizatorów był więc wyjątkowy na skalę ogólnopolską. Nic więc dziwnego, że krytycy i publiczność przyjęli przedstawienie entuzjastycznie. Złotą Maskę przyznano bezapelacyjnie Stanisławowi Ptakowi, a Specjalną Złotą Maskę im. red. Barbary Sośnierz otrzymał Henryk Konwiński. W spektaklu wystąpiła plejada gwiazd, między innymi: Marta Kotowska (Gołda), Maria Meyer (Hudel), Izabela Malik (Szprynca), Elżbieta Okupska (swatka Jenta), Artur Święc (Motel), Robert Talarczyk (Perczyk), Jacenty Jędrusik (Lejzor), Adam Szymura (Modercheim), Edward Skarga (Rabin), Krzysztof Respondek (Naum)... Nawet najmniejsze role były doskonale obsadzone. Została idealnie zachowana bardzo ważna w tym musicalu równowaga między niełatwymi do zagrania scenami aktorskimi oraz popisowymi scenami zbiorowymi, wokalno-tanecznymi. Przedstawienie było porywające, z niesamowitym rytmem, doskonałą dramaturgią i temperaturą emocji. Stanisław Ptak stworzył prawdziwą kreację. Miałem wrażenie, że włożył w tę rolę całe swoje aktorskie i życiowe doświadczenie. Był prawdziwy w emocjach, śmiał się i cierpiał tak, że wyciskał łzy radości oraz wzruszenia.



fot. archiwum Teatru Muzycznego w Łodzi

Zbigniew Macias

Z takim bagażem wspomnień jechałem do Łodzi, by zobaczyć „Skrzypka na dachu” w reżyserii Jana Szurmieja. Wiele razy słyszałem o tym, jakim znakomitym Tewje jest Zbigniew Macias. Artysta bardzo dobry od strony aktorskiej, dysponujący głosem barytonowym o pięknej głębokiej barwie, był przez wiele lat gwiazdą Opery Narodowej w Warszawie, a z Teatrem Muzycznym w Łodzi miał związek od młodości (od 1981 roku). Jest bardzo cenionym śpiewakiem operowym i musicalowym.

Żałuję jednak, że nie było mi dane widzieć premiery w 1999 roku w Łodzi i zobaczyłem to przedstawienie dopiero po 24 latach. Nie sposób utrzymać takiego samego poziomu wykonania przez prawie ćwierć wieku, tym bardziej, że prawie cała obsada się zmieniła. Miałem wrażenie, że za mało czasu poświęcono na wznowienie, a najlepiej wypadli młodzi artyści. Starsi grali albo zbyt farsowo, albo bez odpowiedniego tempa i dramaturgii. Najbardziej zawiodła mnie Aleksandra Janiszewska w roli swatki Jenty, która razem z reżyserem potraktowała to zadanie w sposób zanadto farsowy, wręcz wulgarny. Agnieszka Gabrysiak w roli Gołdy miała lepsze sceny, ale zbyt często wpadała w sztuczny śpiewny ton wypowiedzi, jakby grała hrabinę w operetce, a przecież jest tu żoną mleczarza. Zbigniew Macias grał dobrze, ale niektóre sceny z jego udziałem nie miały odpowiedniego rytmu. Natomiast śpiewał wspaniale, a „Gdybym był bogaczem” zabrzmiało w jego wykonaniu brawurowo. Jego Tewje był prawdziwy i wzruszający podczas rozmów z córkami. Scena z rzeźnikiem, zabawne qui pro quo (Lejzor chce córkę Tewjego za żonę, a mleczarz myśli, że rozmawiają o jego krowie) była tu za bardzo celebrowana. Odniosłem wrażenie, że reżyser i choreograf w jednej osobie podczas prób wznowieniowych skupił się głównie na sytuacjach zbiorowych i tanecznych, a nie poświęcił wystarczająco dużo czasu na dopracowanie wszystkich scen aktorskich. Może zbyt zaufał starszym, doświadczonym artystom. Z kolei młodzi byli świetni. Zarówno Sylwia Struzińska (Cajtł), Emilia Klimczak (Hudł), Ewa Spankowska (Chawa), jak również mężczyźni Karol Lizak (krawiec Motł Kamzoil), Przemysław Pawłowski (student Perczyk) i Kamil Olczyk (Rosjanin Fiedka) zaprezentowali świeżość, precyzyjne aktorstwo i dobrą stronę wokalną.

Pamiętam, jak obejrzałem chorzowskiego „Skrzypka na dachu” po wielu latach od premiery. Nie było w nim już dawno Stanisława Ptaka i wielu fantastycznych aktorów, nie było też reżysera. Spektakl utracił swoją siłę i czar, więc dyrekcja powiedziała wreszcie po 25 latach: „Żegnaj”. To samo stanie się w Łodzi. ■

oddział oparzeń

to jest Damian chłopak z sąsiedztwa znany z urody
po prostu młodzieniec z renesansowego portretu
druga właściwość raz na rok prawie ginie
w bezsensownych katastrofach
właśnie znów zrobił coś głupiego
i przeżył wybuch benzyny
prosto w renesansową twarz

jego Anioł Stróż jest w zabiegowym
zdążył w samą porę zasłonić twarz Damiana
swoimi przezroczystymi rękami
udało mu się rozchylić purpurowe kwiaty ognia
nieco na boki właśnie opatrzono mu dłonie
dwa białe kikuty bezrobotne przez dłuższy czas

zbiegły się co ładniejsze pielęgniarki
pocieszają go poją oranżadą przez słomkę
czeszą włosy układają skrzydła
puszczają romantyczne przeboje
ale Anioł jest roztrzęsiony i obolały
w myślach pakuje swoje anielskie walizki
i zostawia Damiana samego

to jest kot który nie miał szczęścia
ktoś go torturował i chciał wrzucić do ognia
ma poparzoną prawą stronę i spalone oko
własnymi drogami znalazł ten szpital
kulejąc wszedł przez główne wejście
prosto na oddział oparzeń
nawet stanął w kolejce
lekarze opatrzyli go najlepiej jak umieli
ale jego prawa strona dalej nie lubi ludzi

Anioł Stróż Damiana siedzi w kącie korytarza
ponury zabandażowany i wściekły jak diabli
wtedy cichutko nadchodzi koci Anioł Stróż
wskakuje mu na kolana i zaczyna mruczeć
mruczenie rozchodzi się ciepłymi mlecznymi falami
po mapie skołatanych nerwów srebrne kłęby
drucików zamieniają się w Jedwabny Szlak
kocie sny otulają rozedrgane synapsy futrem spokoju

lodowate oczy anioła roztapiają się i spływa z nich woda
niezdarnie głaszcze kota obandażowanymi rękami
i zaczyna rozpakowywać anielskie walizki

może jeszcze zostanie

Siemianowice Śl.,14.06.2008

siódme pióro

tym piórem piszę o miłości
rzadko go używam
jest uparte drapie i rani papier
zbyt łatwowierne
potem obficie płacze kleksami
przerywa i całkiem wysycha
już nie mam nadziei
że ktoś je naprawi

drugim piórem piszę o nienawiści
to wieczne pióro smukłe jak pocisk
zawsze działa nawet kiedy nie chcę
napełnione czarnym jak krew atramentem
może wszystko napisać
ale nie może nic zmienić

trzecim piórem piszę tylko wiersze
w jego żyłach płynie błękitna krew poezji
jest nieśmiałe i chowa się po kątach
ale kiedy pracujemy razem
potrafi zaganiać słowa na właściwe miejsce
jak wierny pies pasterski

czwarte pióro zabawia się pisaniem o sztuce
jest trochę próżne
zmienia kolory i style jak rękawiczki
lubi przebierać się za malarza
i całymi dniami rysuje
prawdziwy z niego światowiec
bywa w galeriach i na wernisażach
zna języki obce pija szampana
ma perspektywy

piąte pióro jest całkiem niedzisiejsze
pisze dzienniki i wspomnienia
jego ulubionym towarzyszem
jest staroświecki rzeźbiony kałamarz
głęboki jak studnia
ma dobrą pamięć muzealnego kustosza
i nawyki śmieciarza
zbiera co zobaczy

szóste pióro pisze o starości
targuje się o każdy dzień
wypełnia faktury lichwiarza
liniami drżącymi i załzawionymi
jak oczy mojego starego ojca
ma wiele do powiedzenia
ale i nikt nie chce tego słuchać

siódme pióro pisze o śmierci
jest przeraźliwie zwięzłe
zna tylko dwa słowa tak i nie
wieczorem rzuca na ścianę
cień nożyc z nicią
pomiędzy ostrzami

Muza w dalekiej podróży

moja Muza z dalekiej nie wraca podróży
znamy się od zawsze ale nie łatwo się spotkać
jest w samolocie ponad moją głową
w łodzi która przepływa pod mostem na którym stoję
zostawia przezroczyste ślady w mej pamięci
czasami je odczytam a czasami nie

wypatruję jej w tłumie pasażerów na dworcach
pełna słodkiej melancholii siedzi gdzieś w poczekalni
ze śmiesznym plecakiem albo pcha się do autobusu
a parasolką z lampą obrazem z niebieską walizką
wsiada do innego pociągu na innym peronie
czasami ją rozpoznam a czasami nie

co krok się na nią natykam w wielkich miastach
siada obok na ławce otwieram jej oranżadę
w kawiarni prosi o mój cukier bo wiecznie jej mało
zza muru książek się wychyla chce pożyczyć ołówek
(nigdy nie oddaje) i zaraz znika z oczu i zaraz jej nie ma
czasami jej pożyczam a czasami nie

najczęściej przebywa na antypodach mojej wyobraźni
na nic narzekanie że wreszcie wypada mnie odwiedzić
choć mieszka naprzeciwko nie odzywa się wcale
zasłania okna wyłącza telefon odległość się zwiększa
z godziny na godzinę z południa na północ
czasami ją dogonię a czasami nie

najczęściej wpada do mnie kiedy już nie czekam
kiedy się nie spodziewam i kiedy jej nie chcę
marudzi ze tyle kurzu i wietrzy mi w głowie
robi kawę podaje czystą wyprasowaną kartkę
czasami cos napiszę a czasami nie

miasto

ono ciebie urodzi ono cię pochowa
ono kiedy wyjedziesz szybko cię zapomni
ty je będziesz pamiętał jak ostatni rozdział
ty je będziesz kochał skrycie i niewiernie

ty je będziesz uwodził (z każdej strony świata)
a ono tobie schowa pod poduszkę nocy
mapę na którą naniesiono twoje czułe miejsca
wszystkie trasy sanek i szkolne boisko

wszystkie cmentarze twoich umarłych zwierzątek
wszystkie dni letnie o smaku ciepłej oranżady
wszystkie zapisane zeszyty tajemnice szuflad
plany pustych pokoi plan pustego domu

a kiedy już czcicielu pocztówek powrócisz
z najdalszej podróży przyprowadzisz dziecko
do fontanny na rynku której pilnie strzegą
(z każdej strony świata) małe śmieszne żabki

oczekujące na kataklizm twojego powrotu
sprawdź czy źródło nie wyschło
i zrób sobie zdjęcie -

Kirke

o bogowie moi za jakie grzechy utknęłam
w tym zimnym życiu północnego kraju
na służbie u zarządcy folwarku zwanego Gnojówką
przez nielicznych sąsiadów co właśnie przybyli
by raczyć się oszukanym ponczem przy kominku
pan upozowany bajronicznie czytał z grubej książki
lecz nie po grecku niestety nie po grecku helas
tylko w przekładzie Chapmana o czarodziejce Kirke
która zamieniła towarzyszy Odyseusza w świnie
panowie krztusili się ze śmiechu ich czerwone policzki
pękały jak pieczone na ruszcie jabłka wycierali ślinę
brudnymi koronkami rękawów surduta a potem w nocy
słyszę jak jego kroki zatrzymują się pod moimi drzwiami
podniecony sprośnymi żartami w męskim towarzystwie
chrząka i stuka racicami lakierków jaśnie oświecony
przez jakiś czas mam na usługach tego wieprza lepiej jadam
lecz kiedy już po mnie widać było te świńskie zaloty
pani mnie zbiła i wyrzuciła ze służby: ty nieczysta dziewko
krzyczała jakie to czary rzuciłaś na mojego męża
ach gdybym znała czary nie wyszedłby z chlewa do końca świata
a tak musiałam wrócić do chaty pod lasem do mojej matki
córki jego ojca

grudzień 2022

Uniwersyteckie pączkowanie

Z prezydentem Bielska-Białej
JAROSŁAWEM KLIMASZEWSKIM
rozmawia ZBIGNIEW LUBOWSKI



Życie jest pełne zaskakujących niespodzianek. Przypadający teraz jubileusz 55-lecia Uniwersytetu Śląskiego zbiega się w czasie z zaawansowanymi przygotowaniami na rzecz rychłego utworzenia nowej uczelni w naszym województwie. Jest wielce prawdopodobne, że jesienią zostanie powołany do życia UNIWERSYTET BIELSKO-BIALSKI. Powstanie on – jak się powszechnie na Podbeskidziu przypuszcza – z początkiem roku akademickiego 2023/2024.

Kto wystąpił z taką inicjatywą?
To był wspólny pomysł uczelnianych władz Akademii Techniczno-Humanistycznej oraz bielskiego samorządu. Warto przypomnieć, że ATH istnieje od 22 lat u podnóża Beskidów. Powstała w wyniku przekształcenia dawnej bielskiej filii Politechniki Łódzkiej. Kształci ok. 7 tysięcy studentów na kierunkach technicznych i humanistycznych (budowa maszyn, automatyka, informatyka, budownictwo, ochrona środowiska, transport, a także pedagogika, filologia angielska i hiszpańska oraz nauki o zdrowiu). Uczelnia ma teraz ulec organizacyjnemu przeobrażeniu w Uniwersytet Bielsko-Bialski. Oficjalny wniosek w tej sprawie wystosowano do Ministerstwa Edukacji i Nauki. Z moich informacji wynika, że decyzja o narodzinach interdyscyplinarnego uniwersytetu jest już tylko formalnością. Chcę przy okazji podkreślić, że nie będzie to jedyna nowa placówka akademicka w naszym mieście.

A czego jeszcze można się spodziewać w sferze szkolnictwa wyższego w Bielsku-Białej?
W październiku otworzy swoje podwoje bielska filia Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Będzie kształcić przyszłych lekarzy. Miasto zyska zatem dwie uniwersyteckie placówki edukacyjne. To spełnienie marzeń wielu pokoleń bielszczan.

Jeszcze w czasach istnienia samodzielnego województwa bielskiego (1975–1998) mówiono o tym w wielu kręgach i środowiskach społecznych w mieście. Idea wkrótce się urzeczywistni. Dla mnie – absolwenta Uniwersytetu Śląskiego – to wyjątkowo radosna wiadomość. Bielszczanie oraz mieszkańcy okolicznych miejscowości nie będą już musieli studiować w odległych Katowicach i innych akademickich ośrodkach.

Kim Pan jest z wykształcenia?
Ukończyłem uniwersyteckie studia w dziedzinie psychologii, a potem w sferze ekonomii (zarządzanie) w Górnośląskiej Wyższej Szkole Handlowej im. Wojciecha Korfantego w Katowicach. Jestem od 17 lat samorządowcem (najpierw radnym, potem – przewodniczącym Rady Miejskiej, a obecnie – włodarzem Bielska-Białej, jak to się popularnie mówi). Uprzedzając pańskie następne pytanie wyjaśnię od razu, że nie zawsze zajmowałem się lokalną polityką. Przez 10 lat kierowałem m.in. firmą przemysłową „Bezalin" (produkcja lin i pasów).

To ciekawy przypadek – od lin i pasów do prezydentury. Czy uważa się Pan bardziej za humanistę czy też raczej za człowieka o proweniencji biznesowo-technicznej?
Bardziej czuję się humanistą. Mocno zaangażowałem się w działania, mające na celu przyznanie Bielsku-Białej prestiżowego tytułu Europejskiej Stolicy Kultury (2029). Bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że wysiłki w tej sprawie zakończą się najprawdopodobniej powodzeniem. Nasze miasto spełnia liczne wymogi stawiane w tym względzie przez wspólnotę europejską. Bielsko-Biała ma naprawdę twórczy potencjał. Nie obawiamy się stanąć w szranki z innymi miastami europejskimi. Istnieją np. u nas dwa ambitne teatry dla dorosłych (scena dramatyczna) oraz dla dzieci (BANIALUKA). Każdy z nich legitymuje się cennym dorobkiem artystycznym. Bielskie Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej jest prężną placówką organizującą interesujące imprezy muzyczne, taneczne, kabaretowe. Widownia nigdy nie świeci tam pustkami. To samo dotyczy obu teatrów. W całym mieście działa sporo dzielnicowych domów kultury. Powstała kreatywna grupa lokalnych animatorów kultury, którzy wspólnie dążą do uwieńczenia sukcesem starań o uznanie Bielska-Białej za Europejską Stolicę Kultury.

W lokalnej prasie beskidzkiej można było niedawno przeczytać o turystycznej inicjatywie beskidzkiej o nazwie „The Loop". Co się kryje za tym tajemniczym określeniem?
To po prostu skrótowa nazwa tzw. wielkiej pętli beskidzkiej – trasy turystycznej o długości 250 km i łącznym przewyższeniu 20 tysięcy metrów. Tyle do pokonania będą mieli turyści na nowym, długodystansowym szlaku „The Loop", który przebiegać będzie przez różne pasma Beskidów. Rozpocznie się on i zakończy na polanie pod Dębowcem w granicach administracyjnych Bielska-Białej.

Przejście trasy będzie honorowane odznaką. Połączy ona istniejące już odcinki szlaków PTTK oraz sieć beskidzkich schronisk (Szyndzielnia, Klimczok, Błatnia, Brenna, Równica, Czantoria Wielka, Stożek, Przełęcz Kubalonka, Barania Góra, Węgierska Górka, Rysianka, Hala Miziowa, Pilsko, Babia Góra, Zawoja, Jałowiec, Park Etnograficzny w Ślemieniu, Gibasówka, Beskid Mały, Międzybrodzie, Góra Żar, Rogacz, Magurka, Kozia Góra i powtórnie Szyndzielnia). Zgodnie z założeniami wędrowcy powinni przejść wielką pętlę beskidzką w czasie co najwyżej 2 tygodni. Inicjatywa ma na celu propagowanie kondycji fizycznej i zdrowego stylu życia turystów.

Co jest właściwie symbolem wizerunkowym Bielska-Białej?
Miasto ma kilka symboli – Bolek i Lolek oraz Reksio (sympatyczne postacie z kreskówek powstałych w bielskim Studiu Filmów Rysunkowych), majestatyczny szczyt Szyndzielni, na którą można wjechać z Bielska kolejką linową, zbudowaną 70 lat temu, zabytkowy gmach Ratusza, a także popularnego „malucha", który niegdyś zmotoryzował Polskę, a w tym roku obchodzi swoje 50. urodziny.

Jak to się stało, że psycholog z bagażem doświadczeń zawodowych w zarządzaniu podmiotami gospodarczymi został prezydentem miasta?
Sprawa jest prosta. Głosowało na mnie więcej bielszczan, niż na pozostałych kandydatów… A tak poważnie to zawsze lubiłem pracować na rzecz innych i dlatego przed laty postanowiłem zostać radnym. Uważałem, że to funkcja, dzięki której będę mógł być bardziej skuteczny w działaniach na rzecz lokalnej społeczności. Prezydentura to już niejako naturalna konsekwencja mojej wcześniejszej pracy w Radzie Miejskiej. ■



fot. Z. Lubowski

fot. Z. Lubowski



Wizerunkowe symbole Bielska-Białej: rzeźby Bolka i Lolka oraz Reksia – postaci z dziecięcych kreskówek, powstałych w bielskim Studiu Filmów Rysunkowych. Atrakcja turystyczna: linowa kolejka gondolowa na Szyndzielnię. Poniżej – siedziba Akademii Techniczno-Humanistycznej



fot. Z. Lubowski





fot. Przemysław Jendroska





Miłość na skraju szaleństwa

WOJCIECH LIPOWSKI

Jak sięgnąć do głębin ludzkiej duszy? Gdy powiedzie się to zamierzenie co zobaczymy w jej czeluści? Mrok, niepokój, rozpacz utkaną z warstw pozorów, okrucieństw, zaniedbań, bezradności, skrywanego oszukiwania samego siebie? A może brak sensu ludzkich działań, bezradność, trudne do wyrażenia zagrożenie, które czai się pod powierzchnią codzienności? Dużo pytań. Jak odpowiedzieć ma człowiek zanurzony w samotności, której nie może rozproszyć nawet obecność drugiej, zdawać by się mogło bliskiej, kochanej osoby. Pozostaje życie w potrzasku i próba ucieczki, może buntu, która choć też pewnie skazana na niepowodzenie, pomoże uśmierzyć ból istnienia i paradoksalnie przynieść metafizyczną ulgę, ucieczkę od rozpaczy. Lekarstwem mogłaby stać się miłość lub ostatecznie śmierć, ale przecież ani jednego, ani drugiego nie sposób nauczyć się, przygotować doświadczenia tych stanów. Trwanie w cierpieniu, choć trudne do zniesienia, może okazać się jedynym sposobem uwolnienia. Czy tak nie jest z bohaterami słynnego filmu Larsa von Triera *Przełamując fale*?

Mamy okazję, aby podjąć próbę weryfikacji powyższych założeń zanurzając się w tym poetyckim, niepokojącym, intrygującym, wieloznacznym utworze, który reżyserka Justyna Łagowska i dramaturg Miłosz Markiewicz przedstawili w formie autorskiej adaptacji na deskach Teatru Śląskiego. Miłośnicy znanego filmu z 1996 roku otrzymają sceniczną wersję scenariusza filmowego, opracowała ją Vivian Nielsen, którego współautorem był znany duński dramaturg Peter Asmussen.

Łagowska i Markiewicz postawili na prosty, oszczędny, emocjonalny język oraz pełną napięć grę usytuowaną pomiędzy dialogiem i milczeniem. Jakaś niepokojąca, dźwiękowa dominanta towarzyszy przy tym wszystkim widzowi, któremu lektura utworu może przypominać poznawanie muzycznej partytury. Jej autorką w spektaklu jest utalentowana polska pianistka i kompozytorka Hanna Maria Raniszewska, tworząca popularne kompozycje pod pseudonimem Hania Rani. Twórcom adaptacji i autorce muzyki udało się zbudować przestrzeń wypełnioną ruchem i dźwiękiem, gdzie repetycje, figury retoryczne, nieustanna dialogiczność tworzą harmonijną całość utkaną z ciętych ripost, pauz, wykrzyczanych emocji a wszystko w perspektywie przekształcania środków muzycznych w sceny plastyczne niemal malarskie wyznaczając granice rzeczywistości, w której żyje dwójka bohaterów: Bess i Jan.

Dzieje ich doświadczeń miłosnych, pojemną w znaczenia mapę eksplozywnego uczucia, życia utkanego z pozornie szczęśliwych chwil, ale i mrocznych, pełnych rozpaczy, udręki momentów egzystencji, zmieszczono w niezwykle intymnej przestrzeni sceny teatralnej. Wielofunkcyjny fortepian, jakieś stołki, drobiazgi, nic nie znaczące dodatki, bez których jednak niepodobna się obejść, bo zażyłość z nimi stanowi wsparcie w trudnych momentach a w tym wszystkim oni, między nimi ludzka ułomność, jakaś dziwna przerysowana, niedzisiejsza, neurasteniczna, w końcu przecież szczera miłość. Reżyserka bardzo udanie z tekstu Larsa von Triera wydobyła diagnozę człowieczego stanu ducha, pokazując zapis nieprzystosowania, może niespełnienia życiowego a na pewno niezwykłe, budzące wzruszenie odbiorców, przedstawienie etapów uczucia rozpisanego na sekwencje, fragmenty, wyczytanego z okruchów metafizycznego lustra, w którym odbił się anatomiczny obraz ich zranionych dusz. Wszystko bez łzawych, sentymentalnych chwytów o co łatwo w podobnych historiach. No i cierpienie. Można odnieść wrażenie, że w chwili, gdy się pojawia pokazuje prawdziwe twarze Bess i Jana, ratuje ich z opresji zaczyna utrzymywać przy życiu.

Jaką zatem historię opowiedzieli nam grając w niezwykłej bliskości względem świata i nas przejmujący, prawdziwi po prostu wyjątkowi: Aleksandra Przybył i Dariusz Chojnacki? Czy naprawdę chodziło, by jak w filmie pokazać dwójkę zakochanych bez pamięci osób, którzy choć dopiero po ślubie to już coraz dalej od siebie, bo on przyjezdny, oddalony od wszystkich obowiązków domowych za sprawą pracy na platformie wiertniczej, słabo akceptowany przez lokalną, niewielką społeczność, ona natomiast, oprawiająca wydumane tragiczne obsesje w religijne ramy, już podczas pierwszego rozstania wieszcząca jego rychłą śmierć, która zresztą zdaje się obecna od początku w ich relacjach, podobnie jak wszechobecna pustka. No i w końcu wypadek, paraliż Jana i pełna niedopowiedzeń, masek gra, gdy ona oddaje się niekontrolowanej rozwiązłości, bo on tak chce i widzi pozytywne skutki takiego stanu rzeczy, ale tylko dla siebie, własnego życia. W finale przedwcze-



fot. Przemysław Jendroska

sna śmierć, właściwie porażający taniec śmierci, który kończy wszystko, a może jest po prostu niezbędny, aby wszystko zrozumieć i wyjaśnić.

Trzeba zobaczyć jak ulotna, prawie nierzeczywista, chodząca delikatność Przybył odmieniała z Chojnackim przez przypadki poszczególne fazy toczącego ich ciała i dusze uczucia. Rzadko widuje się w teatrze sceny zbudowane tak prawdziwie i przekonująco na kruchym fundamencie subtelności, życia niby tu i teraz a jednocześnie w jakimś innym metafizycznym wymiarze. Trzeba zobaczyć, jak aktor lepi rolę Jana z kompilacji póz, udawania, czasem szczerości względem Bess, ale też ciepła, opiekuńczych gestów zmieszanych z szorstkim obyciem wynikającym z pochodzenia społecznego. Aktorzy grają niezwykle przejmująco, bo skupiają się na słowach, uczuciach, prostocie przekazu, czemu służą ciekawe układy choreograficzne Mileny Czarnik.

I ten rozstrojony, wypełniony częściowo wodą fortepian, zajmujący część sceny. Co rusz ktoś na niego wpada. Wydaje niepokojące, głębokie dźwięki, jego mocne akordy puentują poszczególne sceny. Raz jest łóżkiem, innym razem miejscem wypadku Jana, kiedy indziej odpoczynku obojga, w końcu katafalkiem. Scenografia Justyny Łagowskiej współgra z emocjami bohaterów, wypełnia przestrzeń, nadaje ważnych znaczeń i akcentów poszczególnym elementom tej emocjonalnej układanki podobnie jak muzyka – druga miłość Bess.

Zwróćmy uwagę, że to doznanie jest możliwe, bo pomaga w rozpamiętywaniu chwil przeszłych, ale również dotyczy niejako próby powtórzenia zapamiętanych przez nią obrazów, przeżyć niczym powracających fragmentów muzycznych. Czy tylko szczęśliwych, spędzonych z Janem, pozostaje kwestią drugorzędną.



fot. Przemysław Jendroska

Chodzi głównie o to, że poszczególne dźwięki wydobywane ze starego instrumentu towarzyszą Bess, gdy za wszelką cenę chce w swojej dojmującej samotności i oddaleniu od ukochanego spojrzeć w przyszłość, wychylając się w jej kierunku niczym przez okno pędzącego pociągu. Aleksandra Przybył dokonała rzeczy niezwykle interesującej, budując z drobin potret tej niespełnionej kobiety, ukazała, jak można żyć nie powietrzem, ale oczekiwaniem i nadzieją. Co prawda część doświadczeń, przeżyć, gdy jest przywoływana, należy do przeszłości, ale przywrócone do życia właściwie nie mają końca. A nadzieja jest zawsze usprawiedliwiona, bo może w niej objawia się szczęście.

Z kolei Dariusz Chojnacki w interpretacji Jana pokazał przekrój osobowości tego mężczyzny. Nie chodzi przy tym o psychologiczny wymiar tej postaci, a raczej niezwykle sugestywne i prawdziwe przedstawienie pod maską pozorów ludzkiego okrucieństwa. Bess szantażowana emocjonalnie, oddana innym mężczyznom, staczająca się w czeluść rozpaczy w imię miłości, całkowicie iluzorycznego szczęścia, poniosła porażkę, bo uwierzyła, że prawdziwe uczucie wymaga każdej możliwej ofiary, poświęcenia i tylko w ten sposób można dostarczyć mu niezbędnego do życia tlenu. Aktor przekonał nas przy tym jak próba opisu czyjegoś życia z własnej egoistycznej perspektywy zaciera granice, których przekraczać nie należy, jeśli chce się uniknąć upokorzenia, utraty wiarygodności, destrukcji bytu drugiego człowieka.

Przełamując fale w katowickiej adaptacji to spektakl zapraszający widza do lektury w różnych porządkach znaczeń. Dla jednych może będzie to historia obyczajowa, inni odczytają go jako traktat o ludzkiej pustce i samotności, może ktoś przyjmie tekst Larsa von Triera jako opowieść o dociekaniu istoty ludzkiego wędrowania tłumionego przeciwnościami losu lub zwyczajnie spojrzymy na to jak na obraz doświadczeń, które prowadzą życiowe ścieżki od dojmującego lęku poprzez przerażenie do głębokiej rozpaczy i szaleństwa. Nie jest wykluczone, że autorzy zaproponowali rzecz o czymś, co zwykle postrzegamy jako obecne i dostępne naszemu pojęciu, znajdujące się bardzo blisko jak aktorzy na scenie, ale przy próbie unieruchomienia, wyjaśnienia istoty, uchwycenia sensu, skutecznie się nam wymyka, cofa niczym tytułowe fale. Pozostaje nadzieja, że regiony życia niedostępne poznaniu przy odrobinie wytrwałości za którymś razem odsłonią prawdziwe oblicze. ■



fot. Przemysław Jendroska

Lars von Trier
Przełamując fale
reż. Justyna Łagowska
Premiera 21 kwietnia 2023
Teatr Śląski w Katowicach

Straszydło da się lubić

WERONIKA GÓRSKA

Z filmu *Toy Story* wiemy, że kiedy dzieci wychodzą z pokoju, to zabawki prowadzą sekretne życie, pełne przyjaźni, miłości, ale także zazdrości i rywalizacji. Serial *Dom dla zmyślonych przyjaciół pani Foster* pokazuje natomiast, że twory małoletniej wyobraźni – nawet najbardziej dziwaczne – nie tylko stają się żywe i świadome, ale też okazują się wymarzonymi towarzyszami zabaw. Bohaterowie spektaklu *Czwórka z papieru i ze sznurka* w reżyserii Roksany Miner, granego w Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum" w Katowicach, niejako łączą cechy postaci z obu animacji. Powstałe z fantazji przedszkolaków oraz przez nich narysowane, kiedy tylko zostają same – chodzą, tańczą, mówią, śpiewają, a przede wszystkim czują, myślą, jak również różnią się między sobą charakterem, zakresem wiedzy czy umiejętności. Dokładnie tak samo, jak maluchy, które je stworzyły.

Księżniczka Anna-Joanna-Marianna-Katrzyna-Jadwiga-Diana-Takasiaka, najstarsza z ekipy, jest tak udana, że oprawiono ją w ramki i powieszono na ścianie. Trudno się zatem dziwić, że nie tylko przewodzi Gryzmołkowi, Grr oraz Fanti, ale też bardzo przypomina Samochwałę z wiersza Jana Brzechwy – wciąż podkreśla posiadaną urodę, mądrość i bogactwo, a także talent do tworzenia rymowanych wypowiedzi. Ponieważ Erhard Schmied napisał *Czwórkę...* po niemiecku, owo podobieństwo, które mogą dostrzec i docenić dzieci znające twórczość Brzechwy, stanowi zapewne zasługę tłumaczki, Lili Mrowińskiej-Lissewskiej. Jak to jednak zwykle bywa z osobami sprawiającymi wrażenie zbyt pewnych siebie, Księżniczka okaże się pełna lęków i kompleksów, a na dodatek nie aż tak zołzowata, na jaką próbuje się kreować.

Pozostali bohaterowie są świeżo powstałymi, niezbyt udanymi, a czasami nawet niedokończonymi rysunkami, o których dzieci zapomniały, gdy poszły do domu. Drżą ze strachu – podsycanego przez Księżniczkę – że nazajutrz zostaną znalezieni przez panie sprzątaczki i wyrzuceni do śmieci. W przerażenie wprawiają ich też gumka i nożyczki – narzędzia unicestwienia kruchych postaci z papieru i ze sznurka. Mimo podobieństwa losu, Gryzmołek, Grr i Fanti reprezentują bardzo odmienne temperamenty i obyczaje. Gryzmołek jest małomówny, nieobyty, trochę przypomina nieoswojone zwierzątko czy bardzo małe dziecko. Dopiero w ostatnich minutach sztuki wykaże się zaskakującą inwencją i elokwencją. Grr to potwór, który zdaniem małoletniego autora mieszka pod jego łóżkiem, chociaż Grr tak naprawdę nie lubi nikogo straszyć... No, może trochę dorosłych albo Księżniczkę, gdy ta zanadto się szarogęsi. Grr próbuje nauczyć technik straszenia Gryzmołka – z kiepskim skutkiem, bo Gryzmołek okazuje się zbyt słodki, by ktokolwiek się go bał. Zmiennokształtna Fanti natomiast tryska optymizmem, życzliwością, a wręcz opiekuńczością wobec przyjaciół. To głównie dzięki jej taktowi i ustępliwości nie dochodzi do większych konfliktów, a mniejsze zostają szybko zażegnane.

To, że cała tytułowa czwórka wzbudza sympatię – nawet przemądrzała Księżniczka oraz momentami przerażający i złośliwy Grr – stanowi zarówno zasługę tekstu, podkreślającego nie tylko wady, ale też zalety bohaterów, jak i całego zespołu aktorskiego. Maciej Cempura skomponował dynamiczną muzykę, pełną rockowych akcentów, która podkreśla emocje mówiących i śpiewających bohaterów – radość, irytację, przerażenie. Barwna, lecz oszczędna scenografia oraz lalki – z których każdą, nawet Grr, aż chciałoby się przytulić – są dziełem debiutantki Klary Ebert. Aktorzy (Urszula Gołdowska, Krystyna Nowińska, Ewa Reymann, Aleksandra Zawalska, Beata Zawiślak, Bartosz Socha) dali zaś lalkom głos oraz pomogli energicznie się poruszać.



Roksana Miner połączyła w przedstawieniu różne metody gry aktorskiej i animacji lalek. Aktorzy mają na sobie białe spodnie oraz bluzy z kapturem, przez które staje się niemal niewidoczna pośród wyrazistych, kolorowych lalek i dekoracji. Bazgrołka, Grr i Fanti, będących sporych rozmiarów pluszakami, czasami wprawia w ruch jedna, a czasami kilka osób. Twarz Księżniczki ucharakteryzowana jest w sposób typowy dla dziecięcych rysunków, a jej ciało stanowi przyszyta do białego uniformu rozkloszowana sukienka, wraz z krótkimi, żywo gestykulującymi rączkami. Panie sprzątaczki zaś noszą na uniformach kolorowe fartuchy i chustki. Pojawiają się na scenie może na minutę i nie wypowiadają ani słowa, lecz za to brawurowo spryskują otoczenie środkami czyszczącymi, a następnie na nie dmuchają, niczym kowboje w westernach na rewolwery po strzale.

Niektórzy mali widzowie głośno komentowali zachowania bohaterów, inni natomiast – być może bardziej obyci z teatrem, a być może po prostu mniej impulsywni – przypatrywali i przysłuchiwali się w skupieniu temu, co działo się na scenie. Towarzyszący im dorośli natomiast często chichotali, co dowodzi, że bawili się tak przednio, jakby sami znowu mieli po kilka lat. *Czwórkę z papieru i ze sznurka* można zatem śmiało polecić przedszkolakom oraz ich odrobinę starszemu rodzeństwu. Zwłaszcza jeżeli same chętnie rysują księżniczki bądź stworki przypominające pozostałych bohaterów, a także jeżeli przynajmniej trochę wierzą w potwory mieszkające pod łóżkiem. Przedstawienie może też dostarczyć pozytywnych emocji rodzicom i dziadkom, będącym w stanie odnaleźć w sobie „wewnętrzne dziecko". Nie wydaje się natomiast, by sztuka wciągnęła dzieci powyżej ósmego roku życia, oczekujące bardziej złożonych fabuł i wartkiej akcji, a jeżeli postaci fantastycznych, to zwykle smoków, czarodziejów lub superbohaterów obdarzonych supermocami. ■

Erhard Schmied: *Czwórka z papieru i ze sznurka*. Tłumaczenie: Lila Mrowińska-Lissewska. Reżyseria: Roksana Miner, scenografia: Klara Ebert, muzyka: Maciej Cempura. Polska prapremiera: 13 maja 2023 roku. Teatr Lalki i Aktora „Ateneum" w Katowicach

****

Tam, gdzie jemiołuszki żyły,
Gdzie się jodły cicho chwiały,
Przeleciały, uleciały
Chmary czasogili małych.
Gdzie jodły cicho szumiały,
Gdzie świstuny krzyk wydały,
Przeleciały, uleciały
Chmary czasogili małych.
W bezporządku dzikim cieni,
Gdzie, jak mroczność dawnych dni,
Wirowały, zakląskały
Chmary czasogili małych,
Chmary czasogili małych!
Ty, wabiąca i pieśniana,
Duszę upajasz jak struny,
Wchodzisz w serce fali pianą!
Dalejże, dźwięczcie świstuny,
Sławę czasogili małych!

1908

****

Oczy Oki
Błyszczą w dali.

1912

****

Nasza głąb głęboko w głąb:
Nóż w głąb głęboko głąb!

1912

****

Bob***eo***bi śpiewały wargi,
We***eo***mi śpiewały oczy,
Pie***eo*** śpiewały brwi,
Lie***ee***j śpiewała postać,
Gzi–gzi–gz***eo*** śpiewał cep.
Tak na obrazie jakichś zgodności
Poza przestrzenią mieszkała Twarz.

1908–1909

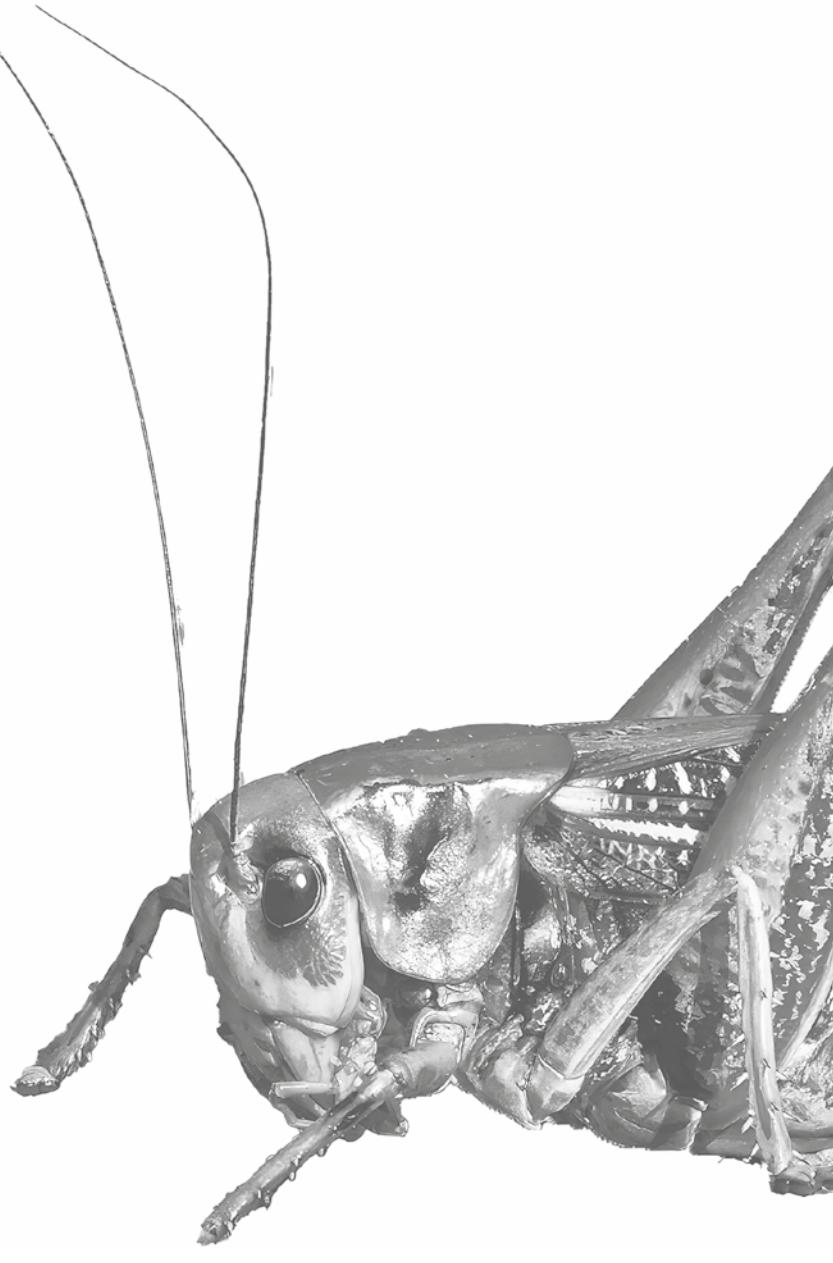
****

Dzisiaj znowu tam pójdę
Do życia, na targ, na rynek,
I armię pieśni powiodę
Z przypływem rynku w pojedynkę!

1914

****

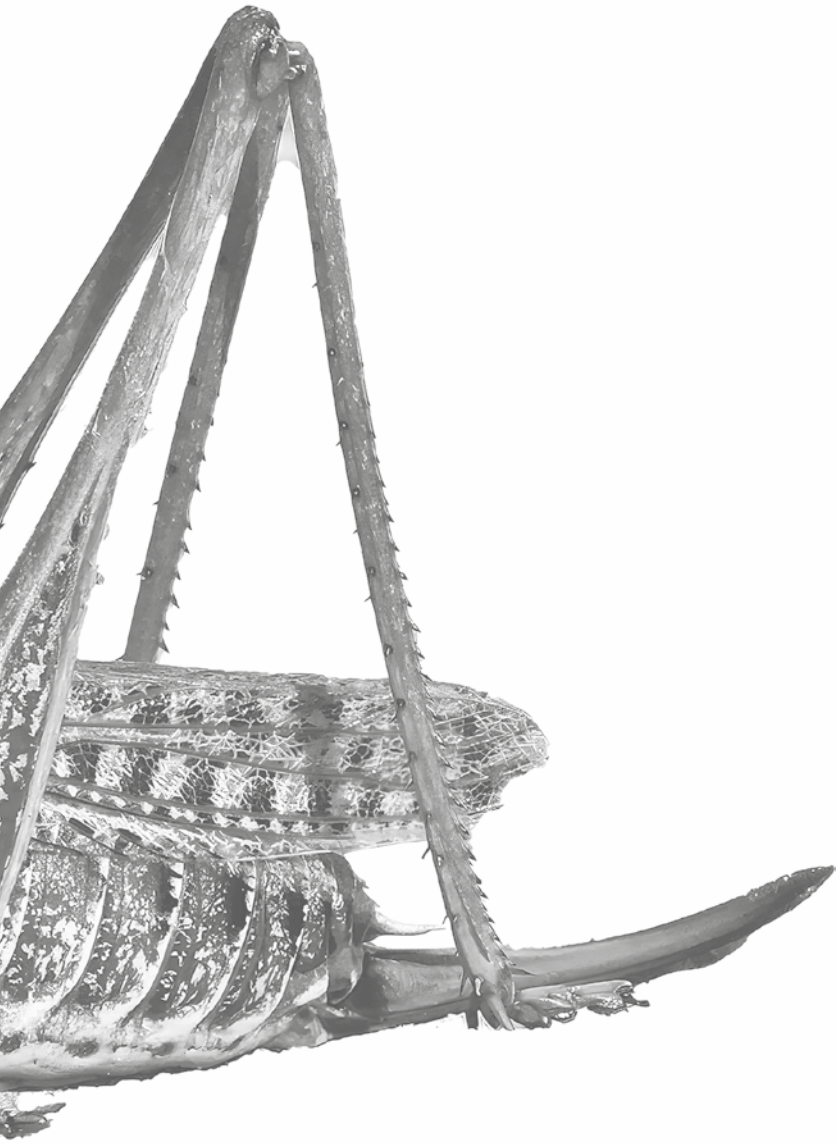
Czasorety–oczerety
Na jeziora brzegu,
Gdzie kamienie czasem,
Gdzie czas kamieniem.
Na jeziora brzegu
Czasorety, oczerety,
Na jeziora brzegu
Najświęciej szumiące.



***

Znojnie, siwek, nagle – trach!
Socha precz. Chłoszcze, siecze.
Strugi. Aż do rana urlop ten:
Stajnia, słoma, sen.

1909–1912



***

Słonie biły się kłami tak,
Że zdały się białym kamieniem
Pod ręką artysty.
Jelenie splątały się rogami tak,
Że zdały się starym małżeństwem
Z pasją i niewiernością wspólną.
Rzeki spływały do morza tak,
Że zdało się: ręka jednego dusi szyję drugiego.

1910–1911

* * *

Już hula wietrzny kiścień
Po złotej armii niwy.
Co było ranem, jest dniem.
Leniwy rano, więc szczęśliwy.

1908–1912

* * *

W czasie, gdy na swe wyra
Czasogili umknęły chmary,
Ja czasoretem–oczeretem zagrałem,
I czasoretem–oczeretem rzuciłem,
I czasoret–oczeret straciłem,
I wtenczas skrzydła rozwinął.

1908

***

Krzesiwem–przesieką wysiekłem świat,
Kolebkę–półuśmiech podniosłem do ust,
Kadzidłem–mamidłem rozświetliłem jar,
Dawnemu, zeszłemu wzniosłem słodki dym.

1*908*

Pasikonik

Skrzydełkując złotolistkiem
Cienkich i cieniutkich żył
Złożył w pasie pasikonik
Traw i źdźbeł przybrzeżnych stóg.
Aż zinziwer trząchnął: „Pin, pin, pin!”
No, lebiodko!
Oświetl się!

1908–1909

„Endymion" Asnyka

JERZY PASZEK

Adam Asnyk (1838–1897) był poetą epoki pozytywizmu, ale najchętniej wzorował się na poezji Słowackiego, pragnąc konkurować ze swoim poprzednikiem i nauczycielem nie tylko pod względem mistrzowskiej sztuki wersyfikacyjnej, lecz również w poruszaniu poważnej tematyki filozoficznej. Z zapatrzenia i zaczytania się w *Królu-Duchu* wywodzą się zapewne myśli zawarte w cyklu 30 sonetów *Nad głębiami*. Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski w 2 tomach *Skrzydlatych słów* (Warszawa 1990, s. 28–30; Warszawa 1998, s. 26) dowodzą jednak, iż poeta znany jako Ely [El…y] nie wszedł szeroko do skarbnicy, w której składamy celniejsze frazy (tu tylko: „Nad głębiami", „Karmelkowy wiersz") lub fragmenty wierszy (np. „Daremne żale, próżny trud, / Bezsilne złorzeczenia!", „Gdybym był młodszy, dziewczyno, / Gdybym był młodszy!", „Między nami nic nie było. / Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych; / Nic nas z sobą nie łączyło / Prócz wiosennych marzeń zdradnych.", „Ta łza, co z oczu twoich spływa, / Jak ogień pali moją duszę."). Dla porównania: poetka z tegoż okresu, Maria Konopnicka, też zafascynowana oktawami Słowackiego (*Pan Balcer w Brazylii* był naśladowaniem *Beniowskiego*) ma u cytowanych antologistów dwa razy więcej przytoczeń (t. I, s. 335–42, t. II – s. 316–317)! Co oczywiście wcale nie musi wpływać na ewaluację tych twórców z czasów poromantycznych!

Aczkolwiek niekiedy może się zdarzyć, że jakiś niepozorny wiersz Asnyka stanie się zaczynem i fundamentem psychologicznej i filozoficznej narracji autorów z późniejszej epoki literackiej. Tak jest z utworem pt. *Endymion*, datowanym na 4 II 1868, a drukowanym obok *Gdybym był młodszy…* oraz *Karmelkowego wiersza* (A. Asnyk: *Poezje.* Wstępem poprz. S. Lichański, oprac. T. Jodełka-Burzecki. Warszawa 1974, s. 149–150, 154–155, 156; wszystkie cytaty wierszy poety pochodzą z tej edycji, sygnowanej inicjałami A.A.). Oto w roku 1896 w piśmie „Prawda" ukazało się krótkie opowiadanie (a raczej szkic) pt. *„Tabu"*, w którym Stefan Żeromski zacytował siódmą zwrotkę *Endymiona*:

> I być strażnikiem grobów, które proszą
> O łzy i miłość… i być tylko cieniem,
> Którego skrzydła anielskie unoszą
> Między nicością i grobów milczeniem…

Słowa te wypowiada Henryk Dąbrowski, znajdujący się w szpitalu psychiatrycznym, do swojej małżonki, Ewy. Ta zaś, powracając do domu, „w łoskocie kół uderzających o szyny usłyszała znowu przeklęte słowa: I być strażnikiem grobów, które proszą / O łzy i miłość, i być tylko cieniem…" (S. Żeromski: *„Rozdzióbią nas kruki, wrony". Utwory powieściowe.* Oprac. Z.J. Adamczyk. Warszawa 1983, s. 267 i 275). Mogą powstawać dwie interpretacje, wyjaśniające kto lub co jest tu określane jako „tabu". Albo chodzi o ukrytą, polityczną, aluzję do przyczyny, generującej obłęd Dąbrowskiego, albo też w gruncie rzeczy „tabu" jest Ewa, której nie udaje się uwieść urodziwemu panu z bukietem przylaszczek. Myślę, że czytelnicy z końca XIX wieku raczej podejrzewali „przestępstwo" natury politycznej, gdyż *Tabu* – ukazując się w ocenzurowanym przez urzędników carskich tomie *Utwory powieściowe* (inaczej byłoby, gdyby tom wydrukowano we Lwowie, w zaborze austriackim, czyli tak, jak postąpiono z *„Rozdzióbią nas kruki, wrony"*) – nie mogło dookreślać całkiem jasno źródła choroby Dąbrowskiego (a może samo nazwisko ma tu być patriotyczną aluzją?). Można snuć różnorakie przypuszczenia, ale faktem jest, iż mamy do czynienia z zagadkowym zjawiskiem, bo i u Asnyka wszak akcent może padać na wieczną miłość Selene do śpiącego Endymiona lub na tajemnicę śmierci i próby jej ominięcia: „Wziąć nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą" (A.A., s. 150).

Podobnie cytuje ten sam wiersz i tę samą strofę Wacław Berent w powieści pt. *Próchno*:

> I być tylko cieniem,
> Którego skrzydła anielskie unoszą
> Między nicością i grobów marzeniem…

Tak samo jak w szkicu Żeromskiego pojawia się u Berenta jako refren fragment tej strofy: „I być tylko cieniem […] Między nicością a grobów marzeniem??..." (W. Berent: *Próchno.* Oprac. J. Paszek. Wrocław 1998, s. 57 i 58). W powieści z roku 1903 wypowiada dwukrotnie te słowa poeta niemiecki Müller, który jednak myśli, iż autorem utworu jest Leopardi („jemu przyniósł przekorny zwrot myśli te słowa Leopardiego", op. cit., s. 294). Gość muzyka Hertensteina zgodził się na połknięcie trucizny, więc należy przypuszczać, że w jego głowie tkwi jak drzazga jedna tylko idea, a mianowicie ta, dotycząca sensu życia liryka, szansy na sławę i chwałę u potomnych. Czy zdoła – tak jak sugeruje mu Hertenstein – dojść aż do buddyjskiej nirwany?

Aby zrozumieć utwór Asnyka, trzeba zorientować się, kto to jest Endymion i Selene w mitologii greckiej i rzymskiej. Najobszerniej o tych bohaterach pisze Robert Graves. Oto fragmenty z jego wywodów: „**Endymion**, przystojny syn Zeusa i nimfy Kalyke, był z pochodzenia Eolijczykiem, chociaż urodził się w Karii. […] Żona jego, znana pod różnymi imionami, między innymi Ifianassy, Hyperippe, Chromii i Neis, urodziła mu czterech synów. Był również ojcem pięćdziesięciu córek spłodzonych z Selene, która kochała się z nim bez pamięci.

Selene pierwszy raz zobaczyła go pewnej cichej nocy, gdy spał w jaskini na karyjskiej górze Latmos. Położyła się przy nim i czule całowała jego zamknięte oczy. Później […] powrócił do jaskini i zapadł w sen bez marzeń sennych. W tym śnie […] pogrążył się albo dlatego, że sam tego pragnął, nienawidząc myśli o zbliżającej się starości, albo dlatego, że Zeus podejrzewał go o miłostkę z Herą, a może też ponieważ Selene stwierdziła, że woli całować zamknięte powieki, niż być przedmiotem jego zbyt płodnej namiętności. W każdym razie nie postarzał się ani o jeden dzień i zachował na swych licach młodzieńczy rumieniec" (R. Graves: *Mity greckie.* Przeł. H. Krzeczkowski. Wstępem opatrzył A. Krawczuk. Warszawa 1967, s. 197–198; tom ten oznaczam inicjałami R.G.).

Przytoczenie to nie jest zgodne z popularnym ongi Słownikiem mitologicznym księdza pijara Alojzego Osińskiego (T. I-III. Warszawa 1808. Reprint: Warszawa 1983. Edycję oznaczam inicjałami A.O. + odp. tom). Początek hasła brzmi: „Endymion, syn Ethlego i Chaliki, i wnuk Jowisza, który do nieba go przyjął; ale za ubliżanie szacunku Junonie, skazany był na wieczne spanie, albo […] na trzydziestoletnie. […]

Jowisz zdał wybór na niego, co lepiej woli, żądał spać zawsze, aby nie podlegał ani starości, ani też śmierci. W tym śnie **Diana**, zdjęta jego miłością, odwiedzała go co noc, w jaskini na górze Latmie. […] Dla jego przyjaźni [komentatorzy] ogołocili ze wstydu boginią, która Akteonowi niedostępną okazywała wstydliwość. Z tej bajecznej powieści dowcipnie Cycero szydzi. Diana Endymiona uśpiła, aby we śnie całować go mogła, na cóż mu się to przyda, kiedy pozbawiony uczucia? […] Endymion był od Diany kochanym, i spłodził z niej pięćdziesiąt córek i syna Etola. Ale rzecz podobniejsza do prawdy, że poślubił **Afrodytę**, a według innych **Chromią** […] lub **Hiperynę**, córkę Arkasa, i z niej miał trzech synów: Peona, Epeja i Etola, i jednę córkę **Eurydykę**" (A.O., t. 2, s. 25–26).

Wedle Osińskiego **Selene** to „córka Hyperiona i Rei"; miała brata Heliona, którego „uprzejmie kochała", a gdy ten utonął w Erydanie, „skoczyła z pałacu i szyję złamała. Rozgłoszono, iż brat z siostrą obrócili się w słońce i księżyc" (A.O., t. 3, s. 398). Jako synonim Diany pojawia się też Artemida, a Selene jest w mitologii rzymskiej nazywana Luną.

Adam Asnyk, pisząc *Endymiona, Gdybym był młodszy…* oraz *Karmelkowy wiersz*, miał tylko 30 lat, więc trudno nam dziś uwierzyć, że tajemnicza osoba w poincie liryku – „ona", zamykająca pocałunkiem usta nowego Endymiona, czyli poety, jest młodopolskim Aniołem Śmierci Tetmajera. (Nawiasem mówiąc, Berent zaczął tworzyć i drukować Próchno jeszcze przed 30 rokiem życia!). Bo przecie Selene w pierwszych zwrotkach wiersza Asnyka przypomina namiętne kochanki z erotyków autora wersów „Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu, / kiedy w lubieżnym zwisa przez ramię przegięciu" (K. Przerwa-Tetmajer: *Poezje.* Oprac. T. Jodełka-Burzecki. Warszawa 1980, s. 212). Przeczytajmy zresztą sobie czwartą i piątą strofę, w których Asnyk jest prekursorem ekstatycznych liryków czołowego poety polskiego modernizmu (a rym „wygięciu – objęciu" czyż nie jest podobny do rymów autora ośmiu tomów *Poezji?):*

A przechylony w rozkosznym wygięciu,
Z wieczną pięknością, co mu z twarzy świeci,
Spoczywa cicho u lubej w objęciu
I z nią w zachwytów nieskończoność leci.
I tak przez wieki pojąc się zachwytem,
Spleciony smutnej ogniwem miłości,
Grobów legendą jest i rajskim mitem,
Co zaświatowe rozjaśnia ciemności. (A.A., s. 149)

Na tym tle najodważniejszy wydaje mi się młody Żeromski, który nb. w chwili pierwodruku szkicu *„Tabu"* miał tylko 32 lata! Bo nierozdzielnie splótł problematykę patriotyzmu z symbolem matki-Polki, kobiety dbającej o swoją godność (nb. chory Dąbrowski chce zgwałcić żonę w szpitalu) w każdych warunkach i okolicznościach: Kobiety-Tabu. Berent, proponując poecie niemieckiemu deklamowanie polskiego wiersza (podmienia go autor przebiegle na dzieło Giacomo Leopardiego) też wykazuje się dużą odwagą: Müller kocha tak samo piękną Polkę, Zosię Borowską, jak zagarniającą go i duszącą Panią Panoszę (by przypomnieć liryk Marian Kisiela o tej „żebraczce": zob. J. Paszek: *Wygas[z]anie i wygaśnięcie wyrazów. Na przykładzie poezji Mariana Kisiela w t. zb. Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela.* Red. E. Bartos, P. Majerski, K. Niesporek. Gdańsk 2019, s. 196). Myślę, że arcydziełko Asnyka również jest zagadkowe. Kim jest „ona"? Kim jest Selene uwodząca „nowego Endymiona"? Nie powinna zapewne – wedle kryteriów i przeświadczeń czytelników z wieku XXI – być Panią Panoszą, ale któż młodemu poecie zabroni spoufalać się z nieśmiertelnością?



Adam Asnyk

Graves dowodzi, iż „Imię Endymion, pochodzące od czasownika *endyein* (łacińskie *inducere*), odnosi się do uwiedzenia króla przez Księżyc, uważany za jedną z Empuz [znanych nb. dobrze Oldze Tokarczuk]" (R.G., s. 198). A Empuzy są wszakże bardzo niebezpieczne, bo są greckimi boginiami strachu! Czyżby nasi pisarze przełomu wieku XIX i XX pozwalali sobie na igraszki z postaciami w „ciężkiej i najcięższej zbroi"?

***

Młody Jarosław Iwaszkiewicz w roku 1912 również postanowił powiązać swoje *Sonety miłosne samotnika* z motywem Diany i Endymiona. W liryku o inc. „Chciałbym, by ożył blady, zielony gobelin" druga strofa brzmi następująco: „Chciałbym, by ożył blady, zielony gobelin, / By **Diana** przytuliła swego **Endymiona** / Do boskiego, bladego i drżącego łona, / I by światło miesiąca zabłysło przez szczelin // W zabitych oknach rzędy" (J. Iwaszkiewicz: *Z ineditów. Sonety miłosne samotnika.* „Twórczość" 1983, nr 2). Pragnienia samotnika nieco różnią się od marzeń mitologicznego Endymiona, bo to Diana śpi, a on chce dołączyć się do niej, by tworzyli gobelin, blady gobelin, ale zdolny do ożywienia: „Chciałbym, by sen błogi / Objął mnie jak tę **Dianę**; bym był gobelinem, / I zawieszon utkany na tle blado sinem, // I położon na bladozielone rozłogi, / Bym spał snem gobelinu wiecznie rozanielon… / Lub by ożył ten blady, zielony gobelin".

Wiersz rozbraja lektora archaizmami (zawieszon, położon, rozanielon) i wychyleniem w stronę seksualną, taką, jak w innym z tych sonetów, o inc. „Purpurowe grona wplotłem w złote liście". Tu druga strofa jest bardziej dosłowna w malowaniu obrazów erotycznych: „Bo wiem, że zaraz przyjdziesz i miłością szczodra / **Spadniesz na mnie całunkiem** jak deszczem rzęsiście / I że mych dłoni tęskne pożądliwe kiście / Opaszą w takiż wieniec twoje boskie biodra". Jeśli mamy tutaj do czynienia z aluzją literacką do *Endymiona* Asnyka, to jesteśmy daleko od pomysłów Żeromskiego i Berenta, którzy podkreślali nie tyle sensy seksualne, co eschatologiczne miłosnych snów. ■

Odpowiedzialność za świat i wobec świata

Sympozjum w 20. rocznicę śmierci Jana Józefa Szczepańskiego

MONIKA WISZNIOWSKA

W dniu 20 kwietnia 2023 roku na Uniwersytecie Śląskim odbyło się sympozjum naukowe „Odpowiedzialność za świat i wobec świata", poświęcone Janowi Józefowi Szczepańskiemu w 20. rocznicę śmieci autora. Sympozjum zostało zorganizowane przez Zespół Badawczy Kultury Literackiej Instytutu Nauk o Kulturze. Członkowie tego zespołu wywodzą się z nieistniejącego już Zakładu Kultury Literackiej, założonej przez wielkiego admiratora twórczości Jana Józefa Szczepańskiego, Profesora Stefana Zabierowskiego. To pod jego skrzydłami, na początku lat dziewięćdziesiątych, zrodziła się idea stworzenia pracowni nad twórczością autora *Butów*. Jej działalność zaowocowała między innymi dwiema sesjami naukowymi, dwoma opublikowanymi doktoratami, licznymi pracami dyplomowymi studentów i dwiema monografiami poświęconymi twórczości literackiej i filmowej Szczepańskiego. W ostatnim czasie natomiast Zespół Kultury Literackiej uruchomił stronę tematyczną dedykowaną twórcy: www.janjozefszczepanski.pl

Celem omawianego sympozjum było nie tylko uhonorowanie samej postaci Jana Józefa Szczepańskiego, ale także namysł nad jego twórczością, ze szczególnym wskazaniem na jej uniwersalność i ponadczasowość. Na spotkanie zostali zaproszeni znawcy twórczości Szczepańskiego kilku pokoleń, od nestorów takich jak Profesor Zabierowski czy pierwszy monografista Szczepańskiego – Andrzej Sulikowski po najmłodsze pokolenie badaczy. Spotkanie uświetniły swą obecnością córki pisarza: Anna Krasnowolska i Katarzyna Szczepańska-Kowalczuk. Ze względu na zły stan zdrowia, dwóch referentów: Stefan Zabierowski i Andrzej Sulikowski nie mogli uczestniczyć w spotkaniu, ale byli obecni poprzez teksty, które przekazali na ręce organizatorów.

Nie bez powodu w latach 80. Karl Dedecius umieścił Jana Józefa Szczepańskiego w gronie stu najważniejszych pisarzy polskich, o czym przypomniała, nawiązując do tez referatu Andrzeja Sulikowskiego o aktualności dzieła Jana Józefa Szczepańskiego, otwierająca spotkanie Małgorzata Krakowiak. Profesor w powitalnym wystąpieniu nawiązała do tytułu, jaki organizatorzy nadali temu sympozjum. Opowiedziała o Szczepańskim – pisarzu, dla którego literatura była narzędziem poznania siebie i świata, który miał odwagę dokonywania wyborów etycznych wobec tego świata i czuł odpowiedzialność za rolę artysty i jego dzieła w kulturze i świadomości społecznej. Nazwała prozę autora *Butów* „kontemplującą", tłumacząc, iż wymaga ona od czytelnika uważnej lektury, czytania nieśpiesznego, rozumienia głębszej semantyki języka, i dostrzegania sfery skojarzeń filozoficznych. Odbiór prozy skondensowanej w świecie „nadmiaru książek", „nadmiaru tekstów" jest dziś trudny, ale trud ten wart jest pojęcia.

Małgorzata Krakowiak, prezentując artykuł Stefana Zabierowskiego przypomniała, że znakomity Conradysta, odkrył prozę Szczepańskiego dzięki wnikliwym studiom nad twórczością autora *Smugi cienia*. O zainteresowaniu Conradem i jego dziedzictwie traktował więc tekst Zabierowskiego pod tytułem *Jan Józef Szczepański i Zdzisław Najder*. Badacz zestawiał biografię i dokonania dwu polskich intelektualistów, żyjących w XX wieku, którzy odegrali znaczącą rolę w kulturze. Łączyły ich przede wszystkim więzy przyjaźni, którą umacniały wieloletnie związki ze środowiskiem krakowskiego „Tygodnika Powszechnego", a także poważne zainteresowanie, a niekiedy wręcz fascynacja, biografią i twórczością Josepha Conrada-Korzeniowskiego. To dzięki niemu obaj autorzy, pomimo różnicy pokoleń i zupełnie różnych sposobów wypowiedzi, zostali zapamiętani jako rzecznicy afirmowanych w twórczości Conrada fundamentalnych wartości ludzkich, takich jak honor, wierność i solidarność międzyludzka.

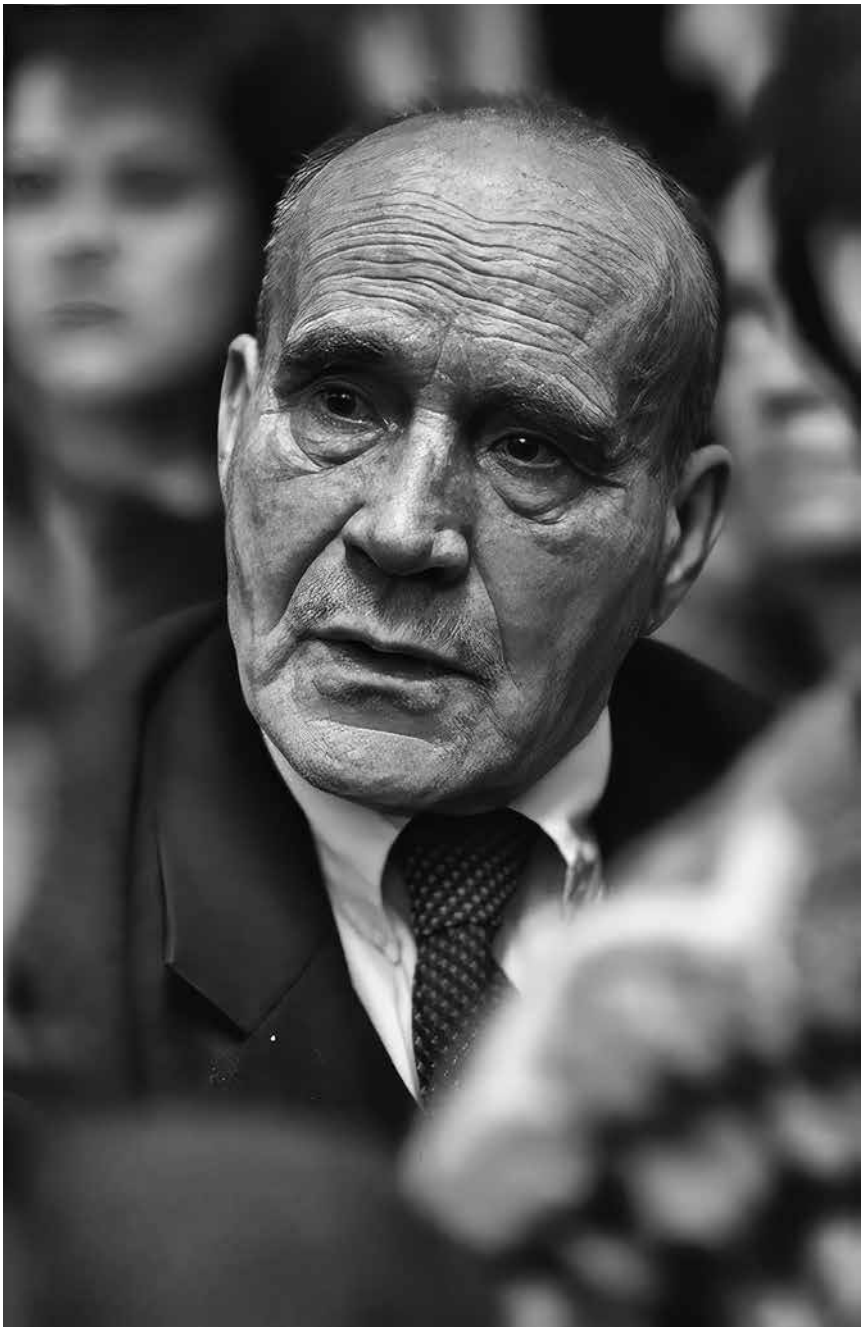
Anna Mateja podzieliła się ze słuchaczami wynikami przygotowanej przez siebie dość specyficznej ankiety. Wybrała ona bowiem kilkadziesiąt osób – ludzi pióra: pisarzy, badaczy i krytyków, by zapytać o współczesną recepcję dzieł autora *Butów*. Wyniki tej subiektywnej, ale rzetelnie przeprowadzonej ankiety okazały się być zdumiewające. Otóż, okazało się, że twórczość Jana Józefa Szczepańskiego trafiła do „literackiego czyśćca", bowiem jest ona przez szanowne grono w większości znana, ale dla niewielkiej ilości osób okazała się być żywa i inspirująca. Autor zajął więc zaszczytne miejsce na półce z napisem „literatura nie-obecna"; miejsce pomnika, czyli osoby, która może być moralnym autorytetem, ale której twórczość – trudna i wymagająca intelektualnego namysłu dziś pozostaje bez czytelnika.

Anna Nasiłowska przypomniała zebranym, że Jan Józef Szczepański był także orientalistą. Badaczka wskazała wpływ studiów, podróży ale i zainteresowań pisarza na wybrane utwory literackie autora *Butów*. Zwróciła uwagę, iż propozycje Szczepańskiego są, być może, jak na współczesne oczekiwania, mało radykalne, a przez to nieefektowne, ale i dzisiejszemu czytelnikowi mogą zaoferować interesującą opowieść o świecie. Badaczka podkreśliła, że Jan Józef Szczepański już w tekstach z lat siedemdziesiątych wychodził poza europejskie centrum świata, w bardzo interesujący sposób podejmując i redefiniując tematykę europocentryzmu, współistnienia różnych kultur i religii. Nie był ani propagatorem buddyzmu, ani nie poddawał chrześcijaństwa relatywizacji, natomiast potrafił uchwycić odmienność tradycji, analizować je, poddawać intelektualnym dociekaniom.

Beata Gontarz opowiedziała o podróżach Szczepańskiego do Stanów Zjednoczonych. Zrekonstruowała sposób myślenia autora *Przed nieznanym trybunałem* o rewolucji kulturalnej przełomu lat 60. i 70. w USA. Podkreślała intelektualną przenikliwość i trafne spostrzeżenia autora na temat zachowań młodzieży w od-

niesieniu do konfliktu w Wietnamie. Szczepański zestawiał ich deklaracje wolnościowe i wystąpienia przeciw ówczesnej władzy z sytuacją polskiej młodzieży podczas protestów w marcu 68 roku, wskazując oczywiste różnice wynikające z realiów politycznych. Badaczka wskazywała odniesienia do wspomnianych wydarzeń zarówno w beletrystyce jaki i tekstach reportażowych autora *Butów*. Dostrzegła, że stosunek do nich, prezentowany przez Szczepańskiego wyraźnie ewoluował od zachwytu do sceptycznego osądu. Ostatni esej *Piąty anioł*, poświęcony tej tematyce, autor kończy ważnym i symptomatycznym zdaniem: „A społeczeństwo odwracało oczy, niepewne, czy przysługuje mu jeszcze moralne prawo sądu".

Aleksandra Dębska-Kossakowska, uważna czytelniczka francuskiego miesięcznika „Preuves", przedstawiła interesującą wypowiedź Szczepańskiego, zamieszczoną na jego łamach. Była ona próbą odpowiedzi na pytanie zadane w ankiecie z roku 1958 przez redakcję piętnastu intelektualistom. Brzmiało ono: dlaczego jestem Europejczykiem? Autor *Rafy* – pisarz, orientalista, podróżnik, znawca wielu kultur, zaproszony do udzielenia odpowiedzi przygląda się ówczesnej Europie z jej politycznymi podziałami, ale też Francji w trudnych czasach dekolonizacji z perspektywy Polaka, autora zza żelaznej kurtyny ale przede wszystkim pisarza o głębokim poczuciu obowiązku i misji wobec świata. Dostrzegając więc ciemne strony europejskiej rzeczywistości podkreśla wspólnotę kulturową, intelektualną, etyczną i estetyczną. Zwraca także uwagę, że bycie Europejczykiem wówczas, ale zapewne i teraz, to przede wszystkim, kwestia języka, pojęć w jakich opisujmy świat i nasze doświadczenie.



Jan Józef Szczepański

Badaczka młodego pokolenia Anna Spiechowicz interesująco zestawiła dwa ważne miejsca związane z biografią Jana Józefa Szczepańskiego. Studiując jego dzienniki, badaczka zestawiła ze sobą znaczenie dwóch przestrzeni: domu w Kasince Małej i mieszkania autora w Krakowie, przy ulicy Helclów. Zestawienie to miało na celu skonstruowanie przestrzeni *sacrum* Szczepańskiego, którą stanowił drewniany, górski dom rodzinny. Anna Spiechowicz przywołując odpowiednie fragmenty zapisków autora, zwracając uwagę na styl jego wypowiedzi, wskazuje owo *sacrum* w krótkich wzmiankach, bądź dłuższych wypowiedziach o samym domu w Kasince, ale także o odbywanych tam spotkaniach rodzinno-przyjacielskich czy wycieczkach górskich. Jako kontrapunkt, czyli swoiste *profanum*, przywołuje badaczka fragmenty dotyczące krakowskiego mieszkania autora, często „zbytnio zaludnionego" bądź naznaczonego kłopotliwym sąsiedztwem.

Jako ostatnia wystąpiła Agnieszka Niewdana, która mówiła o swoich inspirujących badaniach prowadzonych obecnie w archiwum Polskiego Radia. Wielomiesięczna kwerenda zaowocowała ciekawym zestawieniem wypowiedzi radiowych Jana Józefa Szczepańskiego, których autor udzielił dziennikarzom Radia Kraków. Badaczka, która właśnie czeka na druk swojej książki *Puste miejsce dla Jana Józefa Szczepańskiego. Biografie pisarzy i polski rynek wydawniczy*, trafnie dostrzegła, że pomiędzy przesłaniem wynikającym z twórczości autora, a jego bezpośrednimi wypowiedziami zachodzi całkowita zbieżność, że Jan Józef Szczepański jest w swym oglądzie świata spójny i wierny wartościom, które towarzyszyły mu przez całe pisarskie życie.

Obrady zakończyła niezwykle inspirująca dyskusja z córkami pisarza, które komentując pokaz zdjęć ojca z różnych okresów jego życia, opowiadały o swoim wychowaniu i wartościach wyniesionych z domu. Zastanawiano się również nad tym, co zrobić, by twórczość literacka Szczepańskiego trafiała do rąk kolejnych pokoleń, debatowano nad potrzebą ponownego wydania wybranych utworów autora w aktualizujących je kontekstach. ■

Zegadłowicz na nowo

JOANNA KULCZYŃSKA-KRUK



W dniach 12–14 kwietnia 2023 roku w Wadowicach odbyła się konferencja naukowa „Emil Zegadłowicz w świecie sztuki, literatury i teatru" zorganizowana przez Muzeum Miejskie w Wadowicach, Wadowickie Centrum Kultury im. Marcina Wadowity, Wadowicką Bibliotekę Publiczną, Pracownię Historii Dramatu 1864–1939 Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Pracownię Badań nad Procesem Twórczym Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W sesji uczestniczyli badacze reprezentujący: Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Wrocławski, Uniwersytet Ostrawski, Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk, Muzeum Narodowe we Wrocławiu oraz Muzeum Etnograficzne w Krakowie.

Najobszerniejsza część obrad została poświęcona twórczości dramatycznej Emila Zegadłowicza. Problematykę zainicjował Mirosław Wójcik omówieniem komedii pt. *Gra w zielone, czyli Świadome ojcostwo* napisanej pod pseudonimem Tadeusza Ervinnea przez Zegadłowicza i Stefana Essmanowskiego w 1933 r. Dwa wystąpienia dotyczyły ostatniego dramatu Zegadłowicza *Natan, syn Dawida (Sind Sie Jude?)*. Włodzimierz Próchnicki odniósł elementy zrekonstruowanego przez M. Wójcika utworu do realiów historycznych, przypominając nie tylko o dwuznacznej roli Mojżesza Merina, ale również włączając w kontekst dramatu Zegadłowicza relacje świadków Zagłady. Katarzyna Małgowska skoncentrowała uwagę badawczą na funkcji didaskaliów w konstrukcji *Natana*, zwłaszcza tych, które odnoszą się do kategorii czasu i przestrzeni, oddziałujących na uformowanie i usytuowanie bohatera w dramacie. Poetyka utworów Zegadłowicza zainteresowała również Mariana Kisiela, który analizując kompozycję ballad zawartych w cyklu *Dziewanny* dostrzegł ich oryginalną formę, wykraczającą poza wzorce romantyczne i współczesne. Eksperymentalny stosunek Zegadłowicza do gatunku, swoista z nim gra, czerpanie z tradycji, ale też twórcze modyfikacje nie były przypadkowe. Celowość tych zabiegów, np. zmierzającą do utożsamienia przeżycia estetycznego z doświadczeniem mistycznym, wykazała Maria J. Olszewska na przykładzie misterium ludowego *Gdy się Chrystus rodzi...: widowisko jasełkowe w 4 obrazach z interludiami kukłowymi*. Utwory Zegadłowicza wystawiane były na wielu scenach teatralnych w Polsce. O kulisach niezbyt częstych pobytów dramaturga w Wilnie, spektaklach odbywających się w Reducie oraz parodiowaniu języka poetyckiego Zegadłowicza przez tamtejszych satyryków mówił Tadeusz Bujnicki. Temat premier odbywających się w Warszawie, m.in. *Głazu granicznego*, oraz licznych, nie zawsze przychylnych autorowi recenzji teatralnych, podjęła Elżbieta Wróbel. Joanna Warońska-Gęsiarz opowiedziała o sposobach teatralizacji i karnawalizacji tematu rewolucji w dramacie *Łyżki i księżyc*. Elżbieta Zarych objęła natomiast wnikliwą analizą opublikowane w latach 1926 i 1927 dwie części *Fausta* J.W. Goethego oraz ich adaptacje teatralne, zwracając uwagę na osobliwości przekładu Zegadłowicza. Ewę Bartos zainteresował napisany na marginesie *Zmór* dramat *W pokoju dziecinnym. Dialogi natrętne za kulisami teatru marionetek*. Sceniczne zalety utworów Zegadłowicza, również prozy, docenili współcześni. O adaptacji *Motorów*, na podstawie których powstała sztuka *Ulice sytych* wystawiona w reżyserii Andrzeja Kopera w Teatrze na Woli w 1978 roku, mówiła Krystyna Latawiec.

Podczas konferencji poświęcono wiele miejsca sztuce edytorskiej, inspiracjom i przyjaźniom literackim. Katarzyna Krzak-Weiss przypomniała o przyjaźni i współpracy wydawniczej Zegadłowicza z poznańskim typografem Janem Kuglinem. Jakub M. Łubocki przedstawił natomiast unikatową kolekcję dzieł Zegadłowicza znajdującą się w zbiorach Działu Sztuki Wydawniczej Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Olga Płaszczewska poszerzyła kontekst bibliofilski o recepcję twórczości autora *Powsinogów beskidzkich* przez poznańskiego krytyka Alfreda Jesionowskiego. Temat pięknej książki – edycje wydanych w Krakowie (1927) i Poznaniu (1928) *Siedmiu pieśni zgrzebnych o Janie Kasprowiczu* autorstwa Zegadłowicza – stał się przyczynkiem do rozważań o nieoczywistym spotkaniu obu poetów, podjętych przez Annę Podstawkę. Karol Samsel zabrał głos na temat roli i znaczenia w twórczości Zegadłowicza dzieła Norwida, natomiast Maciej Urbanowski, odwołując się do dokumentów, korespondencji oraz archiwum prasowego, przybliżył historię znajomości pisarza z Janem Emilem Skiwskim. Paulina Medoń-Jagieła podjęła się próby odpowiedzi na pytanie o charakter relacji łączącej pisarza – mistrza i przyjaciela – z najmłodszą członkinią grupy „Czartak", Janiną Brzostowską.

Splatające się ze sobą wątki – natury, rodziny i uczuć charakteryzują obszerną część dorobku literackiego Zegadłowicza. Elżbieta Hurnik poświęciła uwagę obrazowaniu przyrody, impresjonistycznym inspiracjom oraz charakterystycznej dla pisarza kreatywności językowej świadczącej nie tylko o sprawności literackiej, ale też erudycji przyrodniczej poety. Agnieszkę Czajkowską zainteresował temat matki, w życiu Zegadłowicza niemal nieobecnej, a na kartach jego utworów pojawiającej się w figurach inspirowanych tradycją romantyczną i religijną. Związek literatury z przyrodą, idea i mit ziemi były przedmiotem zainteresowań badawczych Jana Zięby.

Ważny temat dziedzictwa pisarza podjął Bolesław Wegenke, który obszernie omówił wieloletnią działalność Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym, podkreślając kulturotwórczą rolę tej placówki w Polsce i regionie. Na temat pochodzących z archiwum domowego pisarza publikacji, dokumentów, rękopisów oraz ikonografii, znajdujących się w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Kielcach, głos zabrały Jolanta Drążyk i Magdalena Antoniak. O losach znajomości Zegadłowicza z ludowym rzeźbiarzem Jędrzejem Wowrą mówiła Beata Skoczeń-Marchewka, która swój referat dopełniła prezentacją wirtualnej wystawy poświęconej autorowi świątków i „beskidzkich piecątek".

Pisarz znany był nie tylko ze swego zamiłowania do sztuk pięknych, czego dowodem były m.in. notatki pisarza na temat historii sztuki, znakomita kolekcja obrazów, grafik, rzeźb oraz rzemiosła artystycznego. Śladem tej pasji jest również ekfrastyczność jego poezji. Na ten aspekt zwróciła uwagę Justyna Bajda, która na podstawie analizy wczesnych utworów zawartych w tomie *Imagines*, wskazała na obecne w nich secesyjno-prerafaelickie inspiracje. Joanna Kulczyńska-Kruk przedstawiła natomiast wybór prac plastycznych Zegadłowicza, charakteryzujący się różnorodnością technik i tematów, począwszy od szkiców wykonanych ołówkiem, piórkiem, prac malarskich, wycinanek, projektów kilimów oraz książek po drolerie znajdujące się na marginesach rękopisów. W dorobku literackim pisarza dostrzegalne jest również zamiłowanie do kultury Dalekiego Wschodu. Temat podjął Henryk Czubała, który poświęcił swoją wypowiedź mistycznym źródłom twórczości Zegadłowicza, podkreślając znaczenie filozofii Azji, religijnego doświadczenia Absolutu i transcendencji w formowaniu etycznego wymiaru jego dzieł. Obrady zakończyła prezentacja pierwszej części filmu animowanego *Godzina przed jutrznią*, której autorzy – Barbara Iwańska i Daniel Mączka – zechcieli podzielić się ze słuchaczami swoim doświadczeniem, opowiadając o motywacjach i warsztacie artystycznym.

Konferencji towarzyszyły wystawa kolażu artystycznego autorstwa Małgorzaty Gil „Kobieta i natura w twórczości Emila Zegadłowicza" oraz spektakl „Kilim" w reżyserii Janiny Błońskiej i wykonaniu aktorów Teatru Entr'Acte. ■

Konferencja naukowa: Emil Zegadłowicz w świecie sztuki, literatury i teatru. Wadowice 12-14 kwietnia 2023.

polon i rad

we wczesnej młodości (jak wielu chłopców
z tego rocznika)
przeszedł mutację
(wirus czarnobylski)

mimo połknięcia płynu o smaku
średniowiecznej trucizny
(mikstura miała go chronić)

ciężko zachorował

natychmiastowa reakcja lekarzy
prawie uratowała mu życie
(nie udało się ocalić tylko jego dawnej
natury)

„taka karma" – zauważył ze swadą rumiany proboszcz
parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Szopienicach
„jego ojciec w zaciszu organizmu
też walczył ze smogiem"
„święty Jerzy z Uthemanna"
„ołowiany żołnierzyk doktor Wadowskiej-Król"

żabie doły

zespół przyrodniczo-krajobrazowy
to jednostka chorobowa
trawiąca ciało
ropuchy

bez wątpienia granice ekosystemów
nie chronią przed epidemią
sezonowej depresji
ludzkiej

żołtarz postny pisany przy użyciu smartfona

tłustym drukiem rzeźbić
chude myśli
słów

medytacja indygenna

grzbiet niewielkiego strumienia
wyprężony i gotowy do skoku

leniwa joga Beskidu
w dniu zwykłym
miesiącu powszednim
roku pańskim

widok na dolinę
gdzie zbiegają się
dumne państwa
unijne

gościny na
trójstyku
udziela im

skromny kraj
śląsko-morawski



Trzeba iść stale do przodu



KSIĄŻKI

JAN COFAŁKA

Miłośnicy opery i pięknego śpiewu, których na Śląsku nie brakuje, otrzymują niezwykłą wielowątkową biografię jednego z najznakomitszych tenorów na świecie, Piotra Beczały, urokliwie opowiedzianą przez niego samego. Trudno uwierzyć, iż ten wysoki, postawny i przystojny chłopiec z przedmieścia Czechowic–Dziedzic, gdzie żyło się jak na wsi, w którego rodzinie nie było nikogo muzykującego, przy sprzeciwie ojca, widzącego w nim inżyniera, a koleżanki jego matki krawcowej uważały, że „nigdy nie będzie Kiepurą", zdołał zostać jednym z najbardziej rozchwytywanych przez najznakomitsze sceny operowe świata solistą, z zapisanym kalendarzem występów na kolejnych kilka lat do przodu. Z Anną Netrebko stanowi na tych scenach „duet marzeń". Że jest od 2019 roku posiadaczem *Kammersänger* – najwyższego honorowego odznaczenia zawodowego w niemieckojęzycznym świecie operowym, przyznawanym wybitnym i zasłużonym śpiewakom operowym. A przecież kilkadziesiąt metrów od gmachu Opery Wiedeńskiej, która mu przyznała to najbardziej prestiżowe wyróżnienie, trzydzieści lat wcześniej, jako student dorabiał sobie śpiewaniem na ulicy dla podreperowania skromnego stypendialnego budżetu.

Piotr Beczała uczęszczając do szkoły podstawowej, jak wielu jego rówieśników na Śląsku, kochał grać w piłkę nożną i uwielbiał Beatlesów. Gdyby go było stać na gitarę elektryczną, zostałby z pewnością muzykiem rockowym. Jego oryginalny głos zauważono w harcerstwie, więc w szkole podstawowej trafia do chóru. W technikum mechanicznym, do jakiego następnie uczęszcza, zobaczył kiedyś ogłoszenie o przesłuchaniu do chóru im. Stanisława Moniuszki w Czechowicach, o godz. 12.00, więc wtedy, gdy miała być w szkole klasówka z matematyki. Poszedł z kolegą na to przesłuchanie, nie zdając sobie sprawy, że to ono zadecyduje o jego przyszłym losie. Chórem dyrygowała Anna Szostak-Myrczek, która szybko doceniła jego możliwości głosowe. Zaprosiła go również do szesnastoosobowego, półprofesjonalnego Zespołu Muzyki Dawnej Madrygaliści, jaki także prowadziła. Na samym wejściu skompromitował się nieznajomością czytania nut, co musiał błyskawicznie nadrobić. W zespole imponowała nie tylko jemu, górująca nad wszystkimi wyszkoleniem muzycznym, urodą i pięknym długim warkoczem, wydawało się, nieosiągalna dla nikogo – Kasia Bąk.

Muzyka wciągała go coraz bardziej, zapragnął więc coraz lepiej śpiewać. Kiedyś dyrygentka spytała go: *Piotrze, czy mógłbyś sobie wyobrazić studia wokalne?* Mógł. I odpowiednie dokumenty wysłał jednocześnie na Politechnikę Śląską w Gliwicach i Akademię Muzyczną w Katowicach. W przygotowaniu do egzaminu do Akademii pomagali mu wszyscy w zespole, gdyż był „zielony" z teorii i historii muzyki. Dyrygentka zorganizowała mu lekcje śpiewu u profesor z uczelni, do której miał zdawać. Nie oceniał zbyt wysoko swych szans, ale bardzo nie chciał zawieść tych, którzy zaangażowali się w jego przygotowanie do egzaminów. Udało się, znalazł się w siódemce przyjętych. Kasia Bąk dostała się z kolei na studia wokalne w Warszawie.

Dla jego rozwoju w czasie studiów największe znaczenie miały trzy wyjazdy na stypendia wakacyjne za granicę. W 1987 roku trafił do Weimaru na zajęcia z wielkim śpiewakiem rosyjskim Pavlem Lisitianem, który wskazał mu, jak należy podchodzić do dźwięku i umiał korygować jego wykonania pieśni. Najwięcej, dla ukształtowania się jego osobowości wokalnej, ze wskazaniem właściwego wyboru repertuarowego, dały mu stypendia z austriacką śpiewaczką pochodzenia chorwackiego Sereną Jurinac do której trafił w Szwajcarii. Nakazała mu na początek skupienie się na śpiewaniu Mozarta: *bo ten który potrafi śpiewać jego muzykę, może zaśpiewać wszystko inne – to było jej credo*, w którego słuszność uwierzył. Serena Jurinac zaprosiła go na następne wakacje na stypendium, jakie prowadziła na południu Francji, pozwalając mu nieco poszerzyć repertuar, chociaż jeszcze – jak wyznaje Beczała – *Nie wyciągałem gór.* Ona nie posługiwała się, co zwykle czynią nauczyciele, zestawem standardowych zaleceń, jej rady płynęły z serca, dlatego okazały się mu bardzo przydatne. Z nimi poczuł się pewniej, utwierdzając się w tym, iż zmierza we właściwym kierunku. Podczas studiów zdołał również pobrać nauki od jednego z największych tenorów XX wieku, Luciana Pavarottiego, w czasie konkursu śpiewaczego, jaki w 1988 roku ogłosił ten wielki tenor. Piotr Beczała konkursów nie wygrywał, w przeciwieństwie do Kasi Bąk, uczestniczył jednak w niektórych, traktując je jako okazję do nauki i zbierania doświadczeń. Na wspomnianym konkursie we włoskiej Modenie spodobał się Pavarottiemu w arii z opery Verdiego, lecz przy innej, którą polecił mu zaśpiewać, wykrył słabość w jego wysokich dźwiękach i dał mu krótką, trafną radę: *do wysokich dźwięków powinien podchodzić w taki sposób, jakby przeciągał nitkę przez oczko igły.*

Po studiach, szukając dla siebie miejsca na operowej scenie, skorzystał z wcześniejszych nauk Sereny Jurinac, która mu wpajała: *Najpierw musisz znaleźć agencję i brać udział w przesłuchaniach w teatrach operowych. Nieważne, jeśli raz się nie uda; istotne jest to, że będziesz działał mądrze*. Szybko zniechęcił się do propozycji otrzymywanych w Polsce, bo musiałby od razu śpiewać role nie odpowiadające głosowi młodego dwudziestoczterolatka.

Ostatecznie wyjechał z kilku kolegami samochodem fiatem ritmo, „z prawie pustą kieszenią" do Wiednia, Monachium. Potem na przesłuchania w Linzu, Lucernie, Salzburgu. Spodobał się w Linzu, gdzie otrzymał kontrakt na 20 tysięcy szylingów (dziś byłoby to niespełna 1500 euro) na trzy lata. Był w siódmym niebie. Jego agent sygnalizował mu korzystniejszy kontrakt w Zurichu, lecz na dotarcie tam nie miał pieniędzy. W Linzu przed pierwsze dwa lata był stale obsadzany w odpowiadającym mu mozartowskim repertuarze, musiał jednak nauczyć się dobrze posługiwać językiem niemieckim, gdyż większość repertuaru opery była w tym języku. (Dziś posługuje się, oprócz rodzimego i niemieckiego, także angielskim, włoskim i francuskim).

W Linzu, śpiewając interesujący go repertuar, co sobie cenił, zawsze musiał być, jako Polak i obcokrajowiec, podwójnie pracowity i pięć razy milszy, za to najsłabiej opłacany. Dla podreperowania skromnego budżetu, na skromne mieszkanie z używanymi meblami, które sam odnowił, musiał poprosić o zgodę na dodatkowe koncerty, dzięki którym wypracował sobie pokaźny repertuar. W Linzu mówiono na niego *Skoczek*, bo gdy na przykład w Salzburgu, a potem w Zurichu, wyłaniała się nagła potrzeba zastępstwa, można było na niego liczyć. Tym sposobem też uzyskał kontrakt w Zurichu. Trudny okres w Linzu bardzo zbliżył go z Kasią Bąk. Ślub wzięli 24 października 1992 roku w Czechowicach, w jedynym terminie, który nie kolidował z jego występem. Tak się złożyło, że w tym czasie Kasia miała wystąpić w La Scali, lecz dla swej miłości zrezygnowała z niego. Po latach wyzna, że nie chciała żadnej kariery, która musiała by oznaczać prawie stałą rozłąkę z ukochanym. Gdy o tej decyzji dowiedział się jej ojciec, nie rozmawiał z nią przez dwa lata. Piotr za to zyskał wymarzoną partnerkę życiową oraz idealną doradczynię, bo Kasia z miłości do niego potrafiła swoje ambicje przenieść na niego. Wyzna więc, że *jest moją siłą napędową; dopinguje mnie, żebym był coraz lepszy*. On dla swej Kasi, należny jej prezent mógł kupić dopiero w piątą rocznicę ślubu. Jest nim w domek w Żabnicy w Beskidzie Żywieckim, w którym lubią spędzać wolne chwile, odpoczywając od światowego stresu i zgiełku, gotując się do nowych wyzwań. Z tej Żabnicy został wyrwany na zastępstwo na Festiwal w Salzburgu, tam mu zaproponowano kontrakt gościnny w Amsterdamie, innym razem zastępstwo w Brukseli. Dzięki tym zastępstwom i potem kontraktowi w Zurichu, okazało się, że jest już wystarczająco dobry. Nazywano go „tenorową bronią uniwersalną". Mógł przygotować się do występów na największych scenach operowych świata, które niebawem stanęły przed nim otworem: Covent Garden, La Scala, Opera Wiedeńska, Metropolitan Opera. Już w październiku 1997 roku odezwały się z propozycjami opery Włoch i Hiszpani.

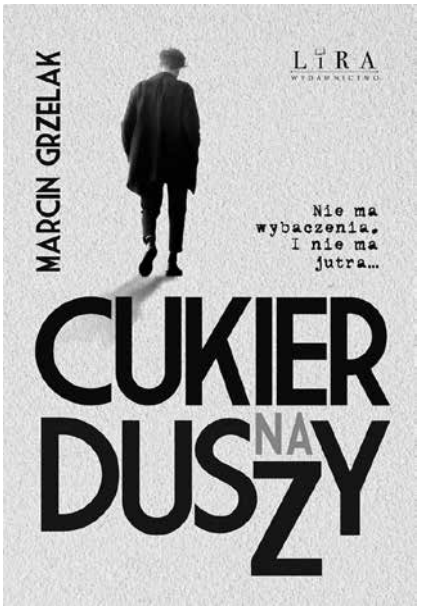
Był już na tyle dobry, że mógł stawiać warunki związane z wyborem ról. Doszło też do podpisania „kontraktu rezydenckiego", który go zobowiązywał do śpiewania w Zurichu przez dwadzieścia pięć wieczorów, co umożliwiało mu przez większość sezonu korzystać z zaproszeń do Amsterdamu, Brukseli, Paryża, Londynu. W Londynie, gdzie odnosił coraz większe sukcesy, poczuł że – jak to nazywa – Wielki Szlem gmachów operowych z La Scalą i Metropolitan Opera nie jest dla niego nierealną mrzonką. Co więcej, pierwsze dwie propozycje Metropolitan Opera, ku zdumieniu wielu przyjaciół, odrzucił. Dopiero w 2006 roku przyjął rolę Księcia, którą nazywa swym przeznaczeniem, w *Rigoletto* Verdiego, którą w tym samym roku zaśpiewał również w mediolańskiej La Scali. Okazało się, że jego perfekcja, w doskonale funkcjonującej i życzliwej artystom Metropolitan Opera, pozwoliła mu się tam zadomowić. Stała się ona jego ulubionym teatrem operowym.

W swej opowieści Piotr Beczała nie ukrywa dramatycznych momentów w swej karierze, kiedy to wszystko mogło zależeć od niewinnego z pozoru przeziębienia, tak jak mu się zdarzyło zimą 2007/2008 w Berlinie, gdy poczuł drapanie w gardle. Specjalista w Wiedniu, do którego się udał, orzekł iż musi uważać, bo na jednej ze strun głosowych ma naczyńko krwionośnie, tzw. krwiaka, który może w każdej chwili pęknąć. Nie mógł zgodzić się na operację, bo nie było pewności, że po niej wszystko będzie jak przedtem. Musiał nauczyć się żyć i funkcjonować z tą wiedzą, przede wszystkim wyciszać w sobie poczucie zagrożenia, bo każde nadmierne natężenie głosu mogło grozić katastrofą. Żył więc z takim ustawicznym poczuciem zagrożenia w sumie aż dziesięć lat. Tyle lat – jak wyznaje – wisiał „miecz Damoklesa nad jego głową". W 2019 roku w Berlinie podczas wyczerpującej podwójnej próby wyskoczył mu tzw. kiks i nie potrafił dalej śpiewać. Kiedy nie pomogła regeneracja, jaką zwykle stosował, udał się ponownie do specjalisty w Wiedniu, który stwierdził, że krwiak pękł. Wyjechał do domu w Żabnicy, gdzie przez dziesięć dni nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, i doszedł do siebie. Lecz kiedy uważał się za zupełnie zdrowego, jego głos ponownie zamilkł. Okazało się, że miał kolejnego krwiaka na strunach tak umiejscowionego, że nie można go było zobaczyć. Kolejna kilkudniowa kuracja, a potem krok po kroku powrót do śpiewania, wykazała, że zdołał się uwolnić od wspomnianego wiszącego nad jego głową przez dziesięć lat „miecza Damoklesa". Miał wielkie szczęście, bo gdyby krwiak pękł w czasie premiery w Metropolitan Opera, La Scali, bądź w czasie nagrywania transmisji kinowej którejś z oper, byłby wówczas skończony.

Piotr Beczała informuje nas o swoich pozaoperowych zainteresowaniach, związanych głównie z koniecznością odprężenia się po ogromnym stresie, z jakim przychodzi mu żyć i utrzymywać należytą kondycję, nie tylko głosową. Wspomina o pozascenicznych przyjaźniach i fascynacjach, o jaguarze, który uznaje za idealny samochód dla tenora, o wyprawach na pola golfowe jako okazji do ruchu na łonie natury, o ich z Kasią ulubionym psie, o psikusach urządzanych na scenie. Także o kuchni, która jest jego oazą w domu. W swej opowieści ledwie wspomina o otrzymanych licznych odznaczeniach, nagrodach i wyróżnieniach, bo już we wstępie stwierdza, że *w życiu trzeba iść stale do przodu, krok po kroku. Jeśli pomyślisz: „Teraz byłem znakomity" i zaczniesz się na tym skupiać, prąd cię porwie i zawróci daleko w tył.* To stało się jego życiową dewizą, Potwierdza to prof. Jan Miodek, wspominając jak w Wielką Sobotę, 19 kwietnia 2014 roku, otwierano cykl koncertów „gwiazdy Metropolitan Opera na scenie Opery Wrocławskiej" i miał on przyjemność wygłosić laudację na cześć Beczały oraz wręczyć mu rzeźbę *Ślązaczki* nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, przyznawaną osobom szczególnie zasłużonym dla Śląska. Profesor napisał mi potem: *W nim nie ma ani promila gwiazdorstwa. Ostatni wyszliśmy z opery, ja mogłem udać się do domu, a on musiał jechać do Pragi. Co za życie.* ■

Piotr Beczała. W daleki świat. Moje życie z operą w trzech aktach. **Spisała Susanne Zobi, przełożyła Maria Wagińska-Marzec. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022, s. 284.**

Płynąć szeroko



KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Na północy, w Lubiewie, jezioro wyrzuca ciało chłopaka dobrze znanego okolicznym mieszkańcom. W ich pamięci zapisał się jako outsider i stały element krajobrazu. Choć Janek nie wyglądał jak wszyscy, był akceptowany, a jego śmierć miała być pamiętnym wydarzeniem. Jego stałym miejscem obserwacji był Słodki Róg. Pojawienie się na nim Dżonego, bo tak okoliczni nazywali chłopca, było gwarantem spokoju i zwyczajności. Motywy samobójstwa pozostają nieznane, jednak gdy lokalna policjantka przeczyta osobiste zapiski chłopaka, okaże się, że zniknięcie najbardziej charakterystycznego członka małej społeczności wiąże się z zemstą, której skala mrozi krew w żyłach i wywołuje wstrząs wśród znających i chłopca, i jego rodzinę.

Kim był samobójca? Dlaczego odebrał sobie życie? Co takiego stało się w Lubiewie w 1987 roku? Czy wszystko można wybaczyć? Czy można odciąć się od przeszłości? Jak naprawić wyrządzone krzywdy? I czy wszystko można zrekompensować?

Biorąc pod uwagę rozpiętość pytań, jakie wywołuje *Cukier na duszy*, a także zwroty akcji i dylematy moralne, można założyć, że najnowsza powieść Marcina Grzelaka ma szansę zadowolić zarówno zwolenników prozy wysokoartystycznej, jak i prozy gatunkowej ze względu na koronkową robotę autora i świetne wyczucie języka. Trudno zarzucić pisarzowi jakiekolwiek uchybienia i błędy, portrety psychologiczne bohaterów są wiarygodne, układy międzyludzkie gwarantujące symbiozę, której naruszenie skutkuje nadużyciami, okazują się typowe dla małych społeczności, wybory ścieżek zawodowych poszczególnych bohaterów również nie pozostawiają wątpliwości, że pisarzowi udało się przekonująco oddać atmosferę niewielkiego miasteczka.

Pojawienie się *Cukru na duszy* nastąpiło w momencie odwrotu od konwencji małoojczyźnianych idylli i jest wyraźnym sygnałem zmiany, jaka dokonuje się w prozie sondującej losy mieszkańców mniejszych miejscowości. Upadek komunizmu wiązał się w nich z osunięciem w biedę, brakiem perspektyw i degradacją. Poszczególni bohaterowie prozy Grzelaka są bezbronni, pokiereszowani, złamani i poturbowani przez decyzje, które zapadły ponad ich głowami. Są również ofiarami nieudanych relacji, przemocy. Ich życie sprowadza się do rozpamiętywania przeszłości, która pozostawiła trwałe blizny (nie tylko na ciele); są również jej zakładnikami. „Nie ma pokuty, nie ma wybaczenia, nie da się zdrapać przeszłości paznokciem" – to być może najważniejszy *bon mot*, który uzasadnia wybory podejmowane przez Stefańskiego (samobójstwo), księdza Radka (opieka nad niepełnosprawnym przyjacielem) i Stefana (powrót do zagrożonego Mrówy). To, co wydarzyło się w przeszłości, wpływa na przyszłość, zatruwa ją. Ma również wpływ na kondycję całych rodzin. Grzelak nie tworzy żadnej instancji osądzającej bohaterów, oni sami muszą zdać sobie sprawę z faktu popełnienia zdrady lub pozostawania w toksycznej relacji. Nawet Stefan, stając się powiernikiem sekretów obcych ludzi, unika wszelkich osądów. Towarzyszy im, będąc blisko (czasem zbyt blisko) cudzych rozterek i dylematów.

Cukier na duszy to udany mariaż kryminału i powieści obyczajowej. Poza kryminalnym śledztwem czytelnik otrzymuje zbiorowy portret zamkniętej społeczności, która na różne sposoby radzi sobie z konsekwencjami transformacji ustrojowej i własnych decyzji. Choć Grzelak nie dąży do pogłębionej analizy skutków przemian polityczno-gospodarczych, to jednak udało mu się oddać nastroje lat dziewięćdziesiątych (Dżony dziesięć lat po pożarze popełnia samobójstwo) i skomplikowane skutki często ryzykownych decyzji.

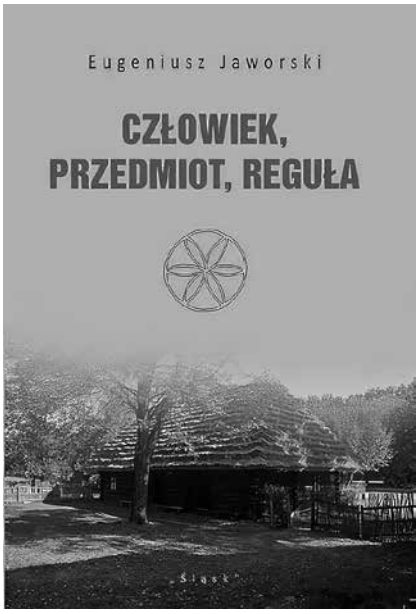
Grzelak nie jest pierwszym autorem eksperymentującym z kryminałem jako gatunkiem umożliwiającym włączanie w jego obręb różnych estetyk. W 2012 roku Wydawnictwo W.A.B. opublikowało *Ciemno, prawie noc* Joanny Bator, które łączy w sobie kryminał i powieść gotycką. Wprowadzenie wątku kryminalnego pozwoliło na zaprezentowanie kwestii odpowiedzialności za los dzieci, które ginęły w Wałbrzychu. Bator udało się napisać powieść, która sonduje społeczne nastroje i polityczne podziały, a także podkreśla konieczność zmiany *status quo*. Pisarka postawiła również na eksperyment językowy. Literacki raport ze studiowania różnych form komunikacji (język forów internetowych, nagłówki tabloidów, haiku) będzie pojawiał się w niemal każdej kolejnej jej powieści. Laureatka Nagrody Literackiej „Nike" w *Ciemno, prawie noc* sfalsyfikowała język forów internetowych, obnażając jego niekomunikatywność i hejterski potencjał.

Autora *Cukru na duszy* również nie interesują schematy i papierowe monologi przygotowywane naprędce i bez psychologicznej podbudowy. Jeśli pokusić się o wskazanie książek, które pod pewnymi względami zbliżają się do najnowszej publikacji autora pochodzącego ze Złocieńca, to bez wątpienia należałoby wskazać trylogię wałbrzyską Bator, *Od jednego Lucypera* Anny Dziewit-Meller i *Kundle* Katarzyny Groniec. Dość wspomnieć, że we wszystkich publikacjach następuje powrót do rodzinnych stron autorek; Bator lokuje akcje swoich powieści na Dolnym Śląsku, natomiast Dziewit-Meller i Groniec wracają do Chorzowa i Gliwic. Wymienione autorki można uznać za reprezentantki literatury korzennej, jednak kwalifikacja ta okazuje się niewystarczająca i szufladkująca. Należy pamiętać, że ich powroty mają charakter rozliczeniowy lub spowodowane są chęcią upomnienia się o ofiary z przeszłości.

Znakiem rozpoznawczym powieści Grzelaka jest język, który zachwyca ze względu na nieszablonowość, oryginalność, precyzję i dezynwolturę. Grzelak udowadnia, że poza opowieścią konieczne jest również wypracowanie własnego idiomu. Być może to właśnie język umożliwia bycie zauważonym i docenionym, bo nic tak nie przyciąga uwagi, jak świetnie opracowany sposób opisu postaci i rzeczywistości. Pisarz nie popada w przesadę, bywa dosadny, lecz nigdy nie przekracza granicy wulgarności. Panuje i nad formą, i nad specyficznym językiem. Próba pisania w sposób wyróżniający mogła się nie powieść, a sam styl mógł okazać się karykaturalny. Od porażki uchroniły Grzelaka umiejętność balansowania pomiędzy tonem serio a tonem ironicznym oraz zdolność modyfikowania scen pod kątem ich ładunku emocjonalnego. Można wskazać dość obszerną listę poprzedników, którzy wykorzystują język zbliżony do tego, który preferuje autor *Cukru na duszy*, jednak znalazł on sposób na opowiedzenie swojej opowieści świadczący o samoświadomości i nieustannym ćwiczeniu warsztatu. Mimo skali nieszczęść i przemocy, powieść okazuje się słodko-gorzka, ponieważ poza sondowaniem fenomenu samotności, zdaje raport z trudnej sztuki pielęgnowania relacji opierających się na całkiem innych fundamentach niż relacje pokrewieństwa. ■

Marcin Grzelak: *Cukier na duszy*, Wydawnictwo Lira, Warszawa 2023, s. 304.

Miara kultury



KSIĄŻKI

MAREK PACUKIEWICZ

U zarania antropologii jeden z jej twórców, Edward Burnett Tylor, wyraził przekonanie, że kultura podlega „prawom równie ściśle określonym, jak ruchy bałwanów morskich, łączenie się zasad i kwasów oraz wzrost roślin i zwierząt". Być może współczesna refleksja poznawcza wysubtelniła tę prostolinijną, pozytywistyczną wiarę w obiektywizm. Wydaje się jednak, że w dalszym ciągu rozpowszechnione jest, zarówno w dyskursie potocznym, jak i humanistycznym, przekonanie, że kultura to raczej żywioł wzburzany jednostkowymi uczuciami, myślami i działaniami, a tylko gdzieniegdzie pojawiają się wybitne oazy porządku. Zwłaszcza niektórym sferom i typom kultury przypisuje się swoistą nieokreśloność formalną – stąd tzw. „kultura ludowa" niejednokrotnie postrzegana bywa jako spontaniczna, emocjonalna, prawdziwa w swojej „naturalności".

W swojej książce, poświęconej górnośląskiemu budownictwu drewnianemu, Eugeniusz Jaworski nie tylko charakteryzuje tajniki ciesielstwa, nakreśla szeroki kontekst tradycyjnej myśli architektonicznej, ale też poszukuje miary, za pomocą której można by uchwycić formę kulturową z pozoru tylko nieokreśloną i niepoliczalną. Jak stwierdza autor we wstępie, „…w odniesieniu do drewnianych chałup (…) przez długi czas dominowała koncepcja interpretowania tego budownictwa w kategoriach »samorodności« i daleko posuniętej indyferencji wobec ludowej kultury budowania. W trakcie swoich studiów spotykałem sugestie, że chałupy budowano »na oko«, »z przybliżeniem«, że drewniane konstrukcje wymagały większej tolerancji pomiarowej itd." (s. 17). W rzeczywistości, co autor popiera nie tylko precyzyjnym opisem i analizą danych etnograficznych, ale również szczegółowymi wyliczeniami, „…zapomniane dzisiaj dawne systemy miar i sposoby mierzenia, w połączeniu z elementarnymi kompetencjami geometrycznymi stanowią o specyfice lokalnych odmian budownictwa drewnianego i tworzą podwaliny o europejskiej powszechnej kulturze tektonicznej" (s. 17–18).

Eugeniuszowi Jaworskiemu udało się odnaleźć właściwą miarę kultury tam, gdzie nikt wcześniej jej nie dostrzegał; u podstaw „kultury materialnej" wskazuje precyzyjne racjonalne wzorce pozwalające kształtować jej formę. Badacz uwzględnił w swojej pracy złożoność i zróżnicowanie lokalnych kontekstów, wskazując m.in. na istnienie przeszło dwudziestu, różniących się długością, odmian łokcia. Równocześnie, prowadząc długotrwałe badania terenowe, na podstawie rozmów z mistrzami ciesielskimi precyzyjnie odtworzył sposób wymierzania i budowy drewnianego domu. Pozwoliło mu to wykazać, że u podstaw projektowania budowli architektonicznych w tej tradycji stoi system proporcji geometrycznych znany od czasów Witruwiusza i rozpowszechniony w Europie przez architektów renesansowych. Autor przyjmuje zatem w swojej pracy podwójną perspektywę poznawczą: dookreśla kontekstualny fenomen górnośląskiej architektury drewnianej, a równocześnie wpisuje go w szerszy, nieomal uniwersalny plan. Płyną stąd niebagatelne konsekwencje poznawcze dotyczące statusu tzw. „kultury ludowej".

Przede wszystkim, kładąc nacisk na analizę formy budownictwa drewnianego, autor zauważa, że „Kwestia praktycznego przekładania abstrakcyjnych reguł architektonicznych na zespół działań możliwych do wykonania przez lokalnych rzemieślników okazała się jednym z potencjalnych pomostów między tzw. »kulturą elitarną« a tzw. »kulturą ludową«" (s. 208). Wiejska kultura Górnego Śląska nie może być zatem traktowana jako izolat, oaza „prostszego", „naturalnego" dziedzictwa. U podstaw „wysokiej" architektury i budownictwa drewnianego widzimy ten sam sposób myślenia wg zasad proporcji geometrycznych i stosunków liczbowych tworzących wspólny fundament kultury europejskiej. Równocześnie dzięki książce tej lepiej rozumiemy zakres zmiany kulturowej dokonującej się na terenie Górnego Śląska, w efekcie której cieśli zaczęli zastępować architekci, a postępująca industrializacja i częściowa uniformizacja doprowadziły do deprecjacji budownictwa drewnianego. Świat, który opisuje Jaworski odszedł już częściowo w zapomnienie: analizowany przez autora dom z Frydka pozostaje w Górnośląskim Parku Etnograficznym w Chorzowie, ale jest jednym z ostatnich. Świat ten nie jest jednak aż tak odległy od świata „naszej" współczesności, tym bardziej sieć owych złożonych zależności należy ujmować całościowo.

Można powiedzieć, że książka ta poświęcona jest zarówno problemowi „miary w kulturze", ale również szerszemu zagadnieniu „miary kultury". W czasach, gdy ogólnie przyjmuje się za oczywistość, że prawie każdy badacz mierzy kulturę własnym „łokciem", co powoduje trudności w uzgodnieniu poszczególnych perspektyw poznawczych, poszukiwanie stosunku geometrycznego jako obiektywnej podstawy kształtowania formy kulturowej można uznać za niezwykle inspirujące.

Książka *Człowiek, przedmiot, reguła* to dzieło życia Eugeniusza Jaworskiego, etnografa i kulturoznawcy zawodowo związanego z Muzeum Górnośląskim w Bytomiu oraz Instytutem Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego. Jest efektem długoletnich badań terenowych, żmudnej dokumentacji budownictwa drewnianego na Śląsku oraz cierpliwego poszukiwania „właściwej miary". Autor niestety nie doczekał publikacji książki, którą uważał za projekt niedokończony. Dzięki prof. Ewie Kosowskiej, która przygotowała tekst do druku, czytelnik może zapoznać się z tym świadectwem dawnego etosu akademickiego, będącym również wzorcem monografii kulturowej. ■

Eugeniusz Jaworski, *Człowiek, przedmiot, reguła. Studium kultury budowania na Górnym Śląsku*, podała do druku Ewa Kosowska, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2022, s. 256.

Twórca w pętli czasu



KSIĄŻKI

WIESŁAWA KONOPELSKA

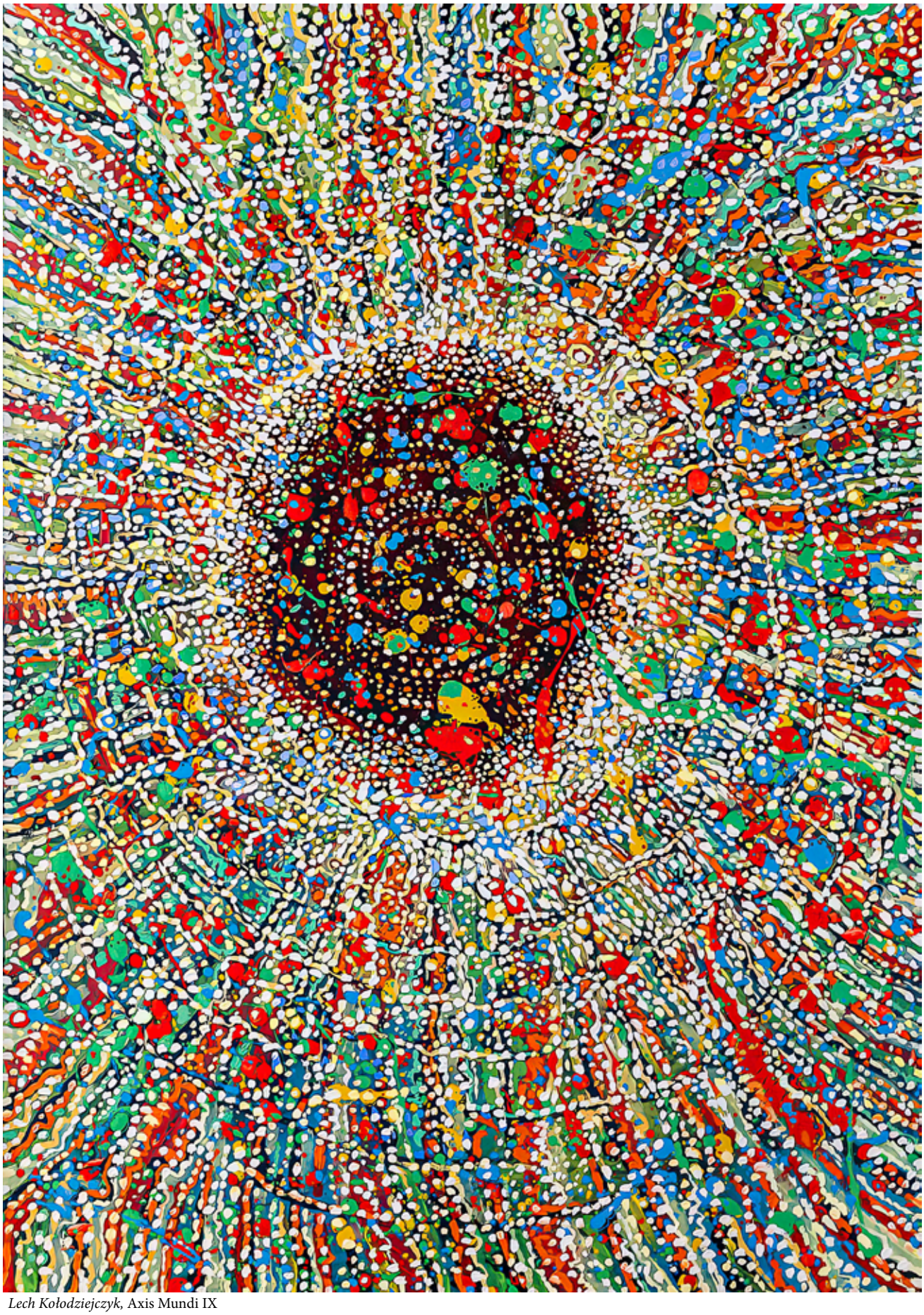
Lech Kołodziejczyk – malarz, teoretyk sztuki, dydaktyk, profesor w Instytucie Sztuk Plastycznych Uniwersytetu Śląskiego, na 40-lecie swojej pracy twórczej wydał kolejny, czwarty z kolei zbiór esejów poświęconych w głównej mierze poszukiwaniu tożsamości artysty, postawy twórczej będącej wynikiem osobistego doświadczenia życiowego. Swoje rozważania lokuje w szerokim kontekście kulturowym, dziedzictwie filozoficznym, sięga po utwory poetyckie, traktaty literackie. Efektem jego wieloletnich poszukiwań odpowiedzi na nurtujące go zagadnienia są dotychczasowe prace: *Wielość przestrzeni*, *Rytmy pamięci*, *Pamięć czasu – malarstwo w czasach bankructwa duchowego* i najnowsza zatytułowana *Malarstwo jako egzystencja – tożsamość osobista a postawa twórcza*. Wszystkie wymienione pozycje mają jedną cechę wspólną: są dyskursem toczonym z własną twórczością, z sobą samym – artystą ogarniętym emocjami, uwikłanym w codzienność – tę zależną od niego samego i tę obiektywną, na którą nie ma żadnego wpływu, a która nadaje, bądź narzuca sposób istnienia. Ma ugruntowane pojęcie o roli artysty i sensie jego działania – lecz zawsze, kiedy staje przed kolejnym pustym płótnem, zadaje sobie te same pytania, szukając w zamierzonym cyklu obrazów odpowiedzi na otaczającą rzeczywistość.

Cykl – to podstawowa jednostka twórczości Lecha Kołodziejczyka. Poszczególne obrazy są jak kolejne rozdziały jego prac teoretycznych – są wariacjami na zadany temat, próbą zbliżenia do sedna problemu. Namalował setki obrazów – bodaj żaden nie jest dziełem pojedynczym, a każdy następny cykl koresponduje z poprzednim. Kiedy tworzy kolejną ekspozycję, a przygotował ich już ponad setkę, wprowadza na nią całe spektrum swojej twórczości – zarówno prace powstałe u progu swojego doświadczenia malarskiego po najnowsze. Maluje na wielkich formatach, tworząc iluzoryczne, niezwykle energetyczne, gigantyczne przestrzenie, urzekające rozdygotanym, bądź precyzyjnie nakładanym kolorem. Powstaje w ten sposób osobisty świat artysty, którym się otacza, który prowokuje go do zadawania – tak za pomocą pędzla, jak i słowa – dalszych pytań o egzystencję człowieka w świecie, o wartości, rozwój duchowy i transcendencję. Nie bez powodu na motto *Malarstwa jako egzystencji...* wybrał pytanie postawione przez Czesława Miłosza: „Kto ty jesteś człowieku?". I podobnie jak w obrazach, stawia pytania o istotę człowieczeństwa – zarówno w czasach dawnych, jak i współczesnych – zmiennych, płynnych, niestabilnych.

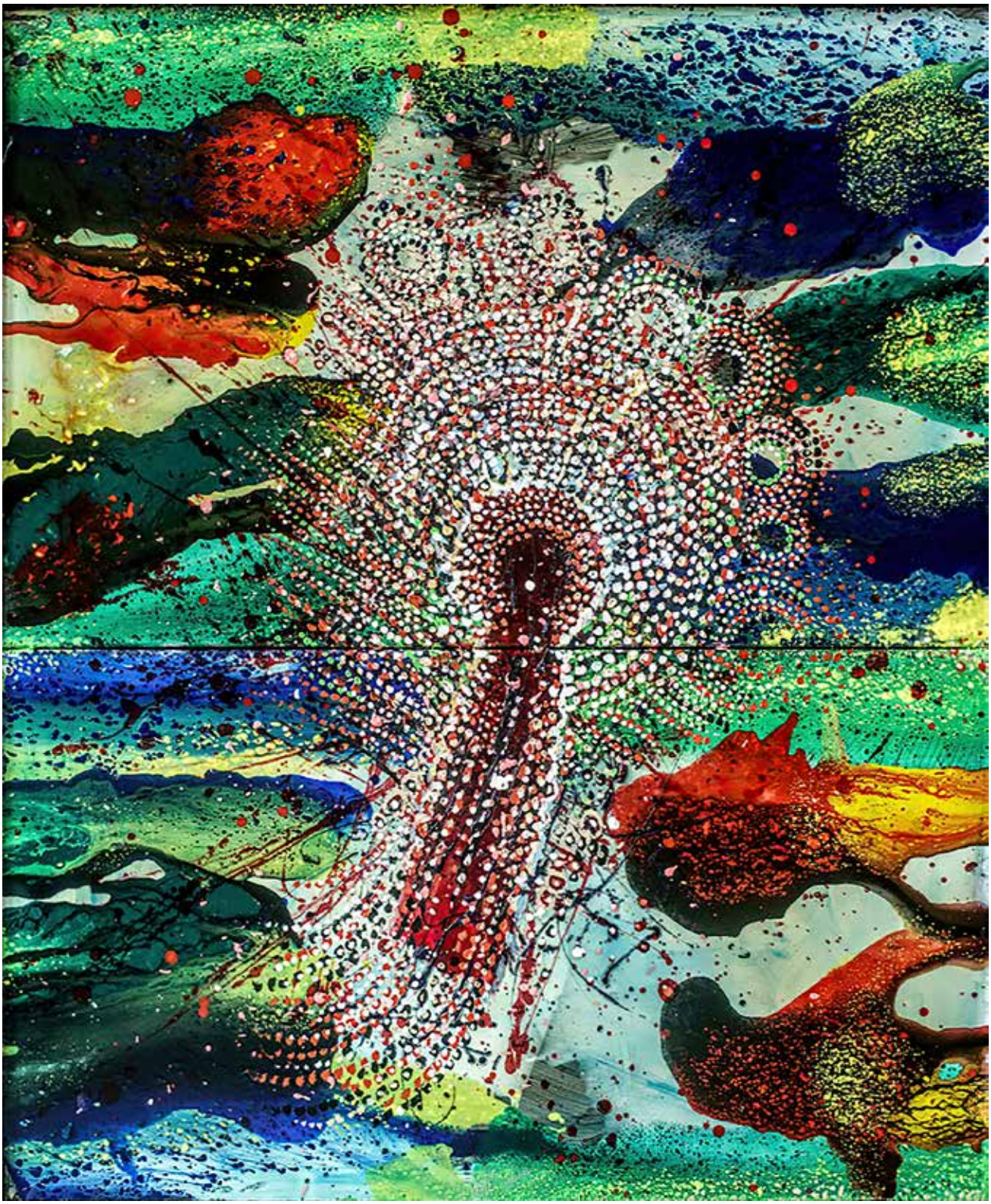
Kolejnym problemem, jakim Lech Kołodziejczyk się zajmuje to zagadnienie istoty sztuki. Pisze więc: „Istotą sztuki jest bowiem możliwość uzupełnienia świata o to, co możliwe, prawdopodobne, mogące się zmaterializować, zaistnieć w niedalekiej przyszłości". I dodaje: „Oto czas obecny staje się okresem, w którym w sposób niezwykle wyrazisty unaoczniają się całkowite sformalizowanie, sformatowanie i nieautentyczność relacji międzyludzkich". Właśnie relacje międzyludzkie, jako konsekwencja spotkania z drugim człowiekiem znajdują się również w centrum uwagi Kołodziejczyka. Żyjąc w czasie niepewnym, przesiąkniętym przemocą, gwałtem, zachłannością i ignorancją pytania o sens egzystencji stają się kluczowe. I o tym opowiadają między innymi cykle malarskie „Głowy", „Axis mundi" czy najwcześniejszy z nich „Księga Słońca". Jak powiada Kołodziejczyk, powstające na przestrzeni 40 lat obrazy stały się dokumentacją spotkania z sobą samym, są wypowiedziami na temat sytuacji, której on sam jest uczestnikiem, jego stanu emocjonalnego. Kreacja artystyczna jest wynikiem stanów rzeczywistych – uświadomionych i nieuświadomionych, mechanizmów w jakich funkcjonuje człowiek, a więc i on sam. Osobiste doświadczenie przełożone na język sztuki stało się jedną z istotnych osi, wokół których skupia się wysiłek twórczy artysty.

Potwierdzenia swojego stanowiska Lech Kołodziejczyk szuka w bliskich mu lekturach poetów i filozofów, a wśród nich: Herberta, Miłosza, Kafki, Zagajewskiego, Borgesa, ulubionego Hessego, Derridy, Kierkegaarda, Lévinasa, Tatarkiewicza, ale też Tomasza z Akwinu czy na kartach Biblii. W ten sposób jego obrazy stają się swoistymi partyturami rozpisanymi na gest malarski i słowo, które czasem współbrzmią, czasem zaskakują dysonansem, prowokują ciszą, ładem, bądź pozornym chaosem, uspokajają lub wyzwalają emocje – na pewno przełamują rutynę, schemat, banał. Kołodziejczyk nazywa to zapętleniem czasu obecnego z czasem minionym, poszukiwaniem związków i relacji różnorodnych odniesień z wielką tradycją literacką i artystyczną. Niczym nieograniczona wyobraźnia artysty jest w stanie oddać wszelkie niuanse przeżycia wewnętrznego. Ostatnim akordem w twórczości Lecha Kołodziejczyka są obrazy powstałe w czasie pandemii – czasie zamknięcia, izolacji, odcięcia od świata zewnętrznego, a chwilę później w atmosferze dramatu i zagrożenia życia ludzkiego – wojny w Ukrainie. Te obrazy, ujęte w cykl „Wojenne ikony", zdecydowanie różnią się od powstałych w latach poprzednich – są przytłumione, a charakterystyczny sposób malowania dotąd stosowany przez artystę ustąpił miejsca zdecydowanym płaszczyznom, otoczonym ponurymi, napierającymi zewnątrz siłami, skupionymi wokół nieledwie istniejącego centrum. Codzienność odcisnęła na nich swoje wyraźne piętno. „Wojenne ikony" zaprezentował podczas niedawnej wystawy zatytułowanej „Malarstwo jako głos". Tak skomentował swój zamysł artystyczny: „Malowany przeze mnie ostatnio cykl malarski „Wojenne ikony" jest moim osobistym głosem sprzeciwu i niezgody na to, co dzieje się za naszą wschodnią granicą. Oto za pomocą określonej artykulacji malarskiej staram się wyrazić i nazwać ten przerażający dramat czasu obecnego". Jeśli dodać, że Lech Kołodziejczyk swoją artystyczną drogę rozpoczął w mrokach stanu wojennego początku lat 80. minionego wieku, a 40-lecie twórczości przypada na czas wojny za wschodnią granicą naszego kraju, to wszystko co zrodziło się pomiędzy, jest odbiciem własnego doświadczenia życiowego, a powstające obrazy komunikatem wysyłanym w przestrzeń społeczną. ■

Lech Kołodziejczyk, *Malarstwo jako egzystencja – tożsamość osobista a postawa twórcza*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021, s. 216.



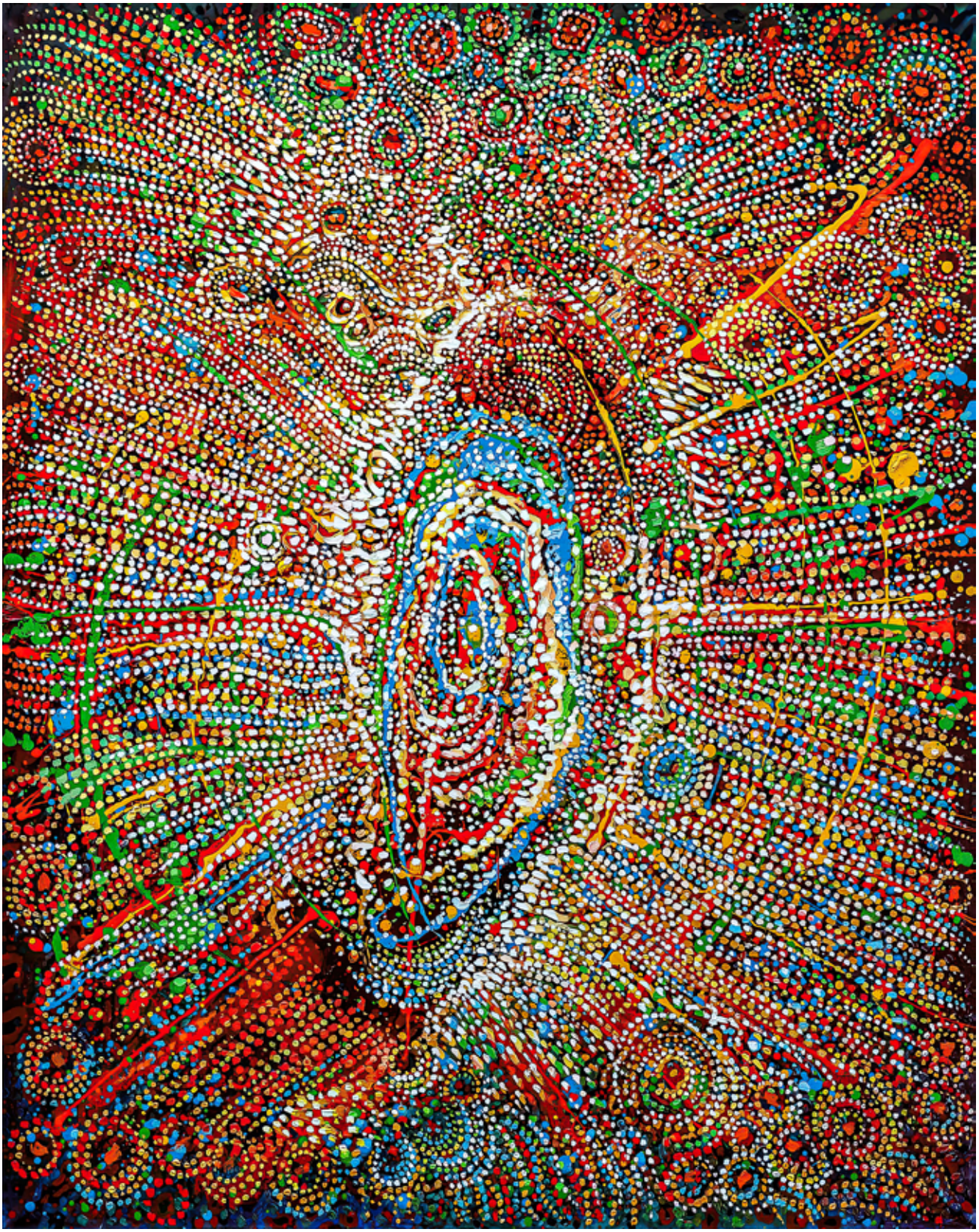
Lech Kołodziejczyk, Axis Mundi IX



Lech Kołodziejczyk, *Wojenna ikona, 140 x 170 cm, olej, płótno, 2022 rok*



Lech Kołodziejczyk, *Wojenna ikona II, 140 x 170 cm, olej, płótno, 2022 rok*



Lech Kołodziejczyk *Kosmiczny ogród IV*

Kornelia Dygacz (1946–2023)

JACEK OKOŃ



25 lutego 2023 umarła Kornelia Dygacz, emerytowana organizatorka i kierowniczka (w latach 1980–2004) Działu Kultury Górniczej Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu (MGW). Jeszcze zanim placówka uzyskała osobowość prawną (1981), ona już tam działała, budując pierwsze wystawy i zrąb wielu kolekcji. Należała do pionierów, którzy to Muzeum stworzyli.



Do muzealnictwa trafiła drogami charakterystycznymi dla tamtej epoki: zatrudniła ją kopalnia „Pstrowski", od razu „z przeznaczeniem do pracy w Muzeum Górnictwa Węglowego"; podobnie zatrudniano wtedy innych pracowników. Wcześniej błąkała się, można rzec, to tu, to tam – najpierw Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe „Polmo-Behamot" i stanowisko inspektora techniczno-handlowego, potem Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych w Katowicach, gdzie kierowała sekretariatem, jeszcze później wojewódzkie Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego w Katowicach.

Ale już wówczas dała się poznać jako stała recenzentka nowych pozycji książkowych w „Zwrocie" i „Katowickim Informatorze Kulturalnym". Jej kolorowy fotograficzny wizerunek ozdobił okładkę tygodnika „Panorama".

Była Ślązaczką, córką Ślązaka, prof. Adolfa Dygacza (zm. 2004), który za działalność patriotyczną przeszedł w czasie wojny przez cztery więzienia hitlerowskie. Po wojnie znany był jako wybitny folklorysta i muzykolog. Już w dzieciństwie uczestniczyła w jego wyjazdach plenerowych w poszukiwaniu ciekawych okazów śląskich pieśni ludowych. W liceum chodziła do tej samej klasy co poeta, późniejszy profesor i rektor Uniwersytetu Śląskiego, Tadeusz Sławek. Fascynowały ją wybitne osobowości, historie życia pełnego zasług i poświęcenia, zwłaszcza w służbie Polski i polskości Śląska. W rozmowach prywatnych napomykała czasem o swych przejściach z okresu wystąpień studenckich roku 1968: „Dostałam wtedy pałą po tyłku".

W Muzeum odnalazła swe naturalne środowisko duchowe, sprzyjające gromadzeniu i udostępnianiu owoców działalności. W równym stopniu interesowała ją kultura materialna, co duchowa. Mimo że z wykształcenia była polonistką, z czasem w rubryce „zawód wykonywany" wpisywała „etnograf", mając już na ten zaszczytny tytuł aż nadto zasług i dowodów.

Po ojcu odziedziczyła pasję zbieracką. Działała w obrębie onomastyki górniczo-hutniczej (nazwy narzędzi), prozy i poezji ludowej, zagadek (1200 zagadek w zbiorze), przysłów (3000 w zbiorze), anegdot (2000 w zbiorze), przepisów mundurowych górniczych. Była aktywną członkinią Katowickiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (KTSK), pełniąc w nim funkcje członka komisji rewizyjnej i sekretarza, potem także członkiem zarządu Śląskiego Towarzystwa Folklorystycznego.

Jest autorką popularnych książek wydanych przez KTSK, m.in. *Nie masz ci to jak górnikom… Katowicki folklor górniczy* i *Ludowe przepowiednie pogody i urodzaju na Śląsku*. Jednocześnie przedsiębrała prace badawcze z tego samego zakresu, publikując ich efekty w prestiżowych pismach: „Zaranie Śląskie", „Kwartalnik Opolski", „Literatura Ludowa", „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego", „Wiadomości Górnicze", „Górnik Polski". Brała udział w licznych konferencjach naukowych. W tym czasie była także znana pod nazwiskiem Dygacz-Nagy (czyt. Nodź). W albumie „Święta Barbara patronka górników" jej tekst sąsiaduje z tekstami współautorów: ks. arcybiskupa Damiana Zimonia i księdza Henryka Pyki.



Wystawy muzealne (stałe), które skompletowała i zaaranżowała już z początkiem lat osiemdziesiątych, niemal doskonałe w swej kompletności, dobrze ilustrujące temat, gdy trzeba było opowiedzieć zwiedzającym o jakimś aspekcie kultury górniczej, przetrwały w pierwotnym kształcie aż do czasu pożaru dachu muzealnego w roku 2011 i zalania ekspozycji wodami gaśniczymi.

Na emeryturę przeszła w roku 2004. Nadal pracowała twórczo, publikując w Zeszytach Naukowych MGW „Górnik Polski", gdzie dokumentowała historię śląskiego ruchu muzycznego (chóry i orkiestry) i inne zjawiska kulturowe. Wraz z wdową po Profesorze, Janiną Dygacz, popularyzowała jego działalność zbieracką. W roku 2014 wspólnie przekazały pozostały po nim zbiór pieśni do Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie", co okazało się zaczątkiem projektu etnomuzykologicznego Agaty Krajewskiej pod nazwą „Etnograficzna podróż Adolfa Dygacza". Śmierć Kornelii przyszła w momencie, gdy w „Górniku Polskim" czekał na druk jej kolejny artykuł, poświęcony – jak zawsze – wybitnemu człowiekowi, wzorowi osobowemu, ciekawemu żywotowi, pt. *Po drugiej stronie kordonu. Józef Kachel (1913–1983) – inżynier górniczy, harcmistrz, działacz śpiewaczy i społeczny*.

Po przejściu na emeryturę bywała w Muzeum jeszcze wielokrotnie, głównie w dniach promocji kolejnych numerów „Górnika Polskiego", zachęcając od mównicy i do mikrofonu do przeczytania swego artykułu, a także by odebrać paczkę świąteczną, którą jako członkowi-emerytowi przygotowywała jej muzealna Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność".

Po mszy św. w kościele Mariackim – na cmentarz odprowadziło Nelę, idąc za krzyżem i kapłanem, grono znajomych i rodzina. Spoczęła u boku swego Ojca. To teraz podwójnie ważny grób dla wielu katowiczan i nie tylko katowiczan. ■

Jazz jest pretekstem

WERONIKA GÓRSKA



fot. Tomasz Makula

Mingo Rajandi EE.

Dwunasta edycja Katowice JazzArt Festiwalu była pierwszą, której przysłuchiwałam się i przyglądałam. Doświadczając bogactwa oraz różnorodności współczesnego, europejskiego jazzu, pożałowałam nieobecności na poprzednich edycjach.

Brawurowy koncert fortepianowy Brytyjczyka Alexandra Hawkinsa zabrał publiczność w nostalgiczną podróż, nawiązującą do klasyki gatunku. Natomiast estoński Mingo Rajandi Quintet zaprezentował pełen emocji repertuar, oparty na improwizacjach oraz wielowarstwowych kompozycjach liderki i kontrabasistki. Wokalistka, Liisi Koikson, śpiewała po angielsku oraz w rodzimym języku, zwłaszcza w tym drugim prezentując szeroki wachlarz możliwości głosowych.

Nie zabrakło energetycznych brzmień, zachęcających do pląsów. Skandynawski Ingebrigt Haker Flaten [NO] Exit KNAAR zachwycił frre-jazzowym, harmonijnym połączeniem wielu instrumentów, a także solówkami na saksofonie, kontrabasie czy trąbce. Macedoński Kanton 6 żywiołowo połączył jazz, elektronikę oraz muzykę ludową, a jego występ wzbogaciła projekcja nietuzinkowego filmu. Najbardziej urzekł mnie finałowy występ jazzowo-rockowego, skandynawskiego THE END, podczas którego po prostu nie dało się nie zapaść w muzyczny trans, i to zapaść całym ciałem, z duszą na dokładkę!

Szczególnie intrygującą częścią JazzArtu okazały się eksperymentalne kompozycje i improwizacje Oli Rzepki, tegorocznej rezydentki festiwalu. Duet Perforto preparował struny fortepianu (Ola Rzepka) oraz gitary (Łukasz Marciniak) drewnem, papierem, metalem – między innymi ubijaczką do jajek! Tego, w jaki sposób artyści wydobywali dźwięki z instrumentów, należało nie tylko wysłuchać, ale też zobaczyć. Natomiast w trio z Zosią Ilnicką (flet) oraz Mingo Rajandi (kontrabas) Ola Rzepka zagrała na perkusji i klawiszach utwory nawiązujące do twórczości Hildegardy z Bingen – jednej z pierwszych znanych z nazwiska żeńskich kompozytorek.

– Kryteria, którymi kierowałam się przy doborze repertuaru, stanowiły osobowość artystyczna i oryginalność projektów – mówi Martyna von Nieuwland, dyrektorka artystyczna festiwalu w latach 2016–2023. – Zapraszałam gwiazdy, zdolne zgromadzić liczną publiczność, ale przede wszystkim twórców alternatywnych, eksperymentujących z dźwiękiem. Skupiłam się na muzykach europejskich, zwłaszcza na kobietach, dyskryminowanych na jazzowej scenie.

– JazzArt spośród festiwali gatunkowych wyróżnia to, że jazz jest tylko pretekstem, by pokazać, jak wspaniale może się on łączyć z innymi gatunkami, na przykład z elektroniką, rockiem, psychodelią czy muzyką klasyczną – dodaje Wojciech Brzoska, uczestniczący w festiwalu jako słuchacz, artysta oraz współorganizator. – To manifestacja absolutnej wolności twórczej, sztuki bez granic. Dzięki znawstwu jazzowej sceny oraz autorskiemu podejściu Martyny van Nieuwland, która jeździ na podobne imprezy w całej Europie, każdego roku repertuar JazzArtu pozytywnie mnie zaskakiwał.

Kolejną cechą czyniącą katowicki festiwal wyjątkowym okazuje się interdyscyplinarność, organizacja wystaw czy projekcji filmowych, a także współpraca z innymi europejskimi festiwalami oraz z katowickimi instytucjami kultury, jak NOSPR czy Muzeum Śląskie. Pod skrzydłami JazzArtu odbywa się również JazzCamp for Girls, czyli kilkudniowe warsztaty dla uczennic szkół muzycznych, prowadzone przez muzyków jazzowych i zakończone występem. Szczególnie istotnym wydarzeniem towarzyszącym są koncerty dla grup wykluczonych, jak niepełnosprawne dzieci ze szkoły w Katowicach-Giszowcu, osadzeni w areszcie śledczym w Katowicach, a w zeszłym roku ukraińscy uchodźcy. W 2022 roku festiwal otrzymał Nagrodę Europejskiej Sieci Jazzowej Music & Comunity za działania społeczne.

– Koncerty w areszcie śledczym były wzruszające zarówno dla muzyków, jak i publiczności – relacjonuje Wojciech Brzoska, ich organizator. – W przypadku wielu osadzonych był to pierwszy kontakt z jazzem, lecz mimo że często była to niełatwa muzyka, odbierano ją niezwykle emocjonalnie. Reakcje niewyrobionego ucha bywają bardziej autentyczne i intensywne od reakcji osłuchanych czy wręcz zblazowanych melomanów.

Przygotowanie kilkudniowego festiwalu, na który przyjeżdżają zagraniczni twórcy, wymaga całorocznego zaangażowania dyrektorki artystycznej, producenta oraz osób odpowiedzialnych za promocję. Podczas imprezy niezbędna okazuje się ponadto praca licznego zespołu, czuwającego nad akustyką, oświetleniem, biletami, szatnią, sprzątaniem, logistyką, opieką nad artystami, odebraniem ich z lotniska, zapewnieniem noclegu i wyżywienia.

– Występowałem trzy razy na JazzArcie, w różnych składach – mówi gitarzysta Łukasz Marciniak. – Za każdym razem nie tylko bardzo podobał mi się repertuar, różnorodny i na światowym poziomie, ale też dbałość o potrzeby muzyków oraz doskonała organizacja.

Martyna van Nieuwland dodaje, że podczas festiwalu zdarzają się sytuacje losowe, wymuszające natychmiastowe reakcje. Raz należało zawieźć do szpitala artystkę, która uległa wypadkowi, innym razem na lotnisku zgubiono bagaż zespołu. Najbardziej stresujące są przeszkody, które nie pozwalają dotrzeć na koncert muzykom, jak na przykład huragan, przez który wstrzymuje się ruch samolotowy. Wówczas trzeba błyskawicznie zorganizować zastępstwo. Podobna sytuacja zdarzyła się podczas tegorocznej edycji – Sofia Jerneberg, której wokal miał wzbogacić występy Alexandra Hawkinsa oraz grupy THE END rozchorowała się, w związku z czym muzycy zmodyfikowali repertuar.

– Osiem lat organizacji JazzArtu nauczyło mnie cierpliwości, elastyczności oraz zachowywania zimnej krwi – wyznaje Martyna van Nieuwland. – Szczególnie trudny okazał się czas pandemii, kiedy organizowaliśmy festiwal przede wszystkim online. Udało się zagrać również kilka koncertów na żywo, podczas tymczasowego luzowania obostrzeń, jednak wiązało się to z rozciągnięciem na cały rok wydarzenia, które dotąd trwało kilka dni. Wielkim wyzwaniem są również biurokracja oraz ograniczone środki finansowe.

JazzArt, mimo wszelkich przeciwności, przez lata zgromadził wierną publikę, nie umiejącą się doczekać kolejnych edycji. Wśród dziennikarzy zyskał zaś opinię „festiwalu dla odkrywców". ■

12. Katowice JazzArt Festiwal, 25–30 kwietnia 2023 roku, organizator: Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów.

Uwagi o głupocie

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Kiedyś byłem uczulony na jaśmin. Dziś jestem uczulony na głupotę. I to głupota zainspirowała mnie do napisania poniższego tekstu.

W mieście D. mieszka sympatyczna artystka. Ciężko pracuje, mało zarabia, zamawia nowe utwory, które następnie wykonuje a także, jeśli pojawia się taka możliwość, nagrywa. Skromna, spokojna, skoncentrowana na swojej sztuce. W dwu słowach – postać modelowa. Pisałem o niej w *Śląsku*. Pewnego dnia nasza artystka i jej partner zaprosili na kolację krewnych tego ostatniego, którzy sami się przedstawiają jako właściciele najdroższej lodziarni w mieście D. Przy kolacji jak to przy kolacji, gadka szmatka, wszystko ładnie pięknie, aż do chwili, kiedy nasza artystka zapytana o źródła dochodów powiedziała, iż właśnie udało się jej dostać niewielkie stypendium przyznane przez władze województwa. Tu właściciel najdroższej lodziarni w mieście D. wpadł w szał i w chamski sposób zarzucił artystce – będąc jej gościem! – iż kradnie ona pieniądze, które on płaci w formie podatków. A prawdziwym artystą jest Zenek M., który „się sprzedaje". No właśnie, „się sprzedaje". Słoń w składzie porcelany zachowałby się z większą elegancją. Bezmyślność do kwadratu.

Ciągle słyszę takie historie. W modzie są agresywne, negatywne komentarze tych, którzy mają za złe polskim artystkom i artystom (a także artystycznym instytucjom, publikacjom itp.), iż umożliwia się im starania o wsparcie finansowe za strony instytucji rządowych i samorządowych. Liczba ujemnych reakcji na to wskazuje na niebezpieczną tendencję postrzegania prac sektora kultury i zaangażowanych w jego działania osób jako pozbawionych społecznego sensu oraz nieusprawiedliwionej postawy roszczeniowej.

Tak nie jest.

Zwyczajowo już sięgamy po przykład USA, gdzie jakoby wszystko się jakoś tak samo utrzymuje (a jak nie to bankrutuje). Lecz jeżeli o USA mówimy, dlaczego nie wspomnieć o trylionach dolarów, które rząd federalny przekazuje na wsparcie ekonomii? I jakoś nie słyszałem o amerykańskich ludziach kultury i sztuki gwałtownie krytykujących tę decyzję. Medal ma zawsze dwie strony. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że w USA, Kanadzie, Meksyku czy państwach Zachodniej Europy, rządy federalne, prowincjonalne, stanowe i municypalne regularnie wspomagają instytucje kultury stałymi, corocznymi dotacjami. Do tego, szczególnie w USA, dochodzą darowizny z fundacji prywatnych (są wielkie ulgi podatkowe, kiedy się inwestuje w działalność kulturotwórczą). Mówienie, że instytucje kultury i artyści utrzymują się tam wyłącznie z własnych zysków – więc dlaczego nasi artyści narzekają? niech pokażą, co potrafią! – jest nieprawdziwe. (W krajach Skandynawii i Finlandii twórcy o ustalonej pozycji otrzymują od swoich rządów pensje jak pracownicy administracyjni.)

Nas jednak powinno obchodzić, co dzieje się tu. Jeśli zaś chodzi o sytuację w Polsce, zbyt łatwo arbitralnie się orzeka, że ludzie kultury (w tym artyści) żerują na podatkach, które płacą inni. Warto wszak zdać sobie sprawę z tego, co następuje:

Bardzo małą część wpływów podatkowych inwestuje się w kulturę (np. porównajmy wysokość stypendiów artystycznych z pensjami polityków i niektórych sektorów administracji państwowej, tzw. biurokracji). Są to kwoty odwrotnie proporcjonalne do tych, które państwo uzyskuje dzięki sprzedaży dóbr kultury. Nietrudno rzucać oskarżenia wobec artystów o pasożytnictwo, trudniej zaś uświadomić sobie, ile setek milionów złotych generuje rok w rok, i tym samym przyczynia się do lepszego życia nas wszystkich, sektor sztuki: wpływy z produkcji festiwalowych, filmów, koncertów, przedstawień teatralnych, sprzedaży książek, czasopism itp. stanowią wielki procent dochodów państwa; a jeśli osoby zaangażowane w tę działalność otrzymują wsparcie finansowe, co złego w tym, że rząd chce im w taki sposób pomóc? – to jest sprytna rządowa inwestycja; sprytna, bo dając mało, rząd zarabia nieproporcjonalnie więcej! A nie mówię tu nawet o aspekcie korzyści niematerialnych, duchowych, no i międzynarodowego prestiżu.

Ludzie wybierają swoje zawody w zależności od manifestowanych już w dzieciństwie upodobań i predyspozycji – trzeba bowiem lubić i rozumieć to, co chce się robić, np. trzeba być uzdolnionym, aby dobrze wykonywać zawód elektryka – no i trzeba mieć odpowiednie zainteresowania i umiejętności, żeby oddać się profesji artystycznej; w skrócie: naprawdę lepiej być solidnym listonoszem niż marnym puzonistą – i *vice versa*; dlatego pryncypialne wskazywanie innym ludziom, czym się powinni zajmować ma w sobie posmak nawoływań do ponownego wprowadzenia prawa pańszczyźnianego, które wymagało przywiązania do ziemi oraz dziedziczenia pozycji społecznej.

Krytycy artystów i (zawsze niedostatecznego) rządowego wsparcia dla nich nie potrafią wyobrazić sobie jak wyglądałoby nasze życie bez sztuki, tu pojmowanej jako wszelka *twórcza* aktywność na tym polu – owe koncerty, filmy, spektakle teatralne, audycje radiowe, płyty, wydawnictwa nie zrobiły się same, stoją za nimi ciężko pracujący kobiety i mężczyźni, którzy najczęściej wykonują swoją robotę bez nadziei na godziwe wynagrodzenie, a i tak częstokroć wymaga się od nich świadczenia usług za darmo – bo to przecież darmozjady.

Populiści zarzucają artystom uprawiającym tzw. sztukę wysoką (a więc sztukę, której uprawianie wymaga niebagatelnych umiejętności zawodowych – i niebagatelnych inwestycji we własną edukację artystyczną, o czym mało który „krytyk" pomyśli) jakieś wyimaginowane poczucie wyższości, lekceważenie gustów; prawda jest taka, że istnieje liczna grupa odbiorców, którym budzący litość Zenek nie wystarczy. Są to odbiorcy świadomi znaczenia tej wysokiej sztuki w utrzymywaniu tożsamości narodowej oraz pielęgnowaniu ducha narodu (oni tej sztuki potrzebują i wyczekują) – dla nich nie Zenek się liczy, tylko Karol Szymanowski, Kazimierz Kutz czy Wisława Szymborska. Tu nie ma dyskusji, taki jest werdykt historii.

Przy tym jak często zapomina się, że bez światłego mecenatu (w pewnym momencie poważną rolę zaczął odgrywać Kościół) nie byłoby Partenonu, fresków w Kaplicy Sykstyńskiej, Kwartetów Razumowskiego lub dzieł Henryka Mikołaja Góreckiego, które po latach przyniosły mu światową sławę.

Ale tego nie wie dedykat tego tekstu – lodziarz z miasta D. ■

W lipcu 2023 r. minie pięć lat od przyjęcia przez Sejm RP nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, wprowadzającej radykalne zmiany w funkcjonowaniu uczelni wyższych. Przez środowisko akademickie ustawa została nazywana „ustawą 2.0", „reformą Gowina", a także „deformą" i jest oceniana ambiwalentnie. Zwolennicy „reformy" podzielają opinię, że we współczesnym państwie uczelnie wyższe i nauka powinny być zarządzane centralnie, planowo, w systemie grantowym i powinny z sobą rywalizować na poziomie europejskim. Przeciwnicy „deformy" twierdzą, że zniszczyła ona tradycję polskich uczelni, ograniczyła demokrację zarządzania instytucjonalnego, przenosząc władzę w ręce nominatów, a pod pozorem samodzielności badawczej rozerwała więzi ludzkie. Dyskusja na ten temat wciąż trwa. Postanowiliśmy więc i my zadać wybitnym postaciom polskiej nauki (i regionu) pytanie, jak po pięciu latach oceniają Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na ile ustawa określiła dobre, a na ile złe warunki badań i nauczania. Prosimy o podzielenie się opinią na temat stanu aktualnego Akademii (rozumianej całościowo jako szkolnictwo, nauka i środowisko), troski o jej przyszłość, a także o stan demokracji pionowej, rozumianej w kategoriach wspólnotowej obecności, którą ustawa radykalnie zawęziła.

Kolonizacja uniwersytetu

TOMASZ SAPOTA

Reforma szkolnictwa wyższego przygotowana przez zespół pod kierownictwem ówczesnego ministra resortu, Jarosława Gowina, została wdrożona 1 października 2018 roku ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Ten akt prawny bywa również bombastycznie nazywany Konstytucją dla Nauki, ponieważ określił na nowo ustrojowe podstawy działania uniwersytetów. Reforma miała, prawdopodobnie, w założeniu być odpowiedzią na kryzys, jaki przeżywają uczelnie akademickie w Polsce, przy czym dodać należy, że kryzys nękający polskie uniwersytety jest lokalnym objawem zjawiska szerszego, obserwowanego i opisywanego w krajach kapitalistycznych od dekad (warto tu napomknąć choćby o pracach Gigiego Roggera, Brendana Cantwella czy Ellen Schrecker, a spośród polskich badaczy o studiach Krystiana Szadkowskiego). Regulacja Gowina miała na celu, wedle projektodawców i zwolenników, usprawnić zarządzanie polskimi uniwersytetami, tak aby były bardziej konkurencyjne, zwłaszcza w relacjach międzynarodowych. Wydaje mi się, że niektóre rozwiązania wprowadzone ustawą były krokiem w dobrą stronę: z pewnością bardziej zobiektywizowana stała się procedura awansów naukowych, a także ograniczono wpływy akademickiej oligarchii. Jednak całościowa ocena skutków Ustawy Gowina jest, w moim przekonaniu, negatywna. Oto uzasadnienie.

Reforma wynika z fetyszystycznego myślenia o konkurencji pomiędzy uczestnikami życia akademickiego, której efektem mają być innowacyjne rozwiązania stosowane, by posłużyć się totemiczną etykietą zwolenników tej teorii – „w gospodarce opartej na wiedzy". Akademicy powinni stawać ze sobą w szranki do walki o finansowanie projektów, czyli o granty, tworząc zespoły badawcze, najlepiej w międzynarodowym składzie, a owoce pracy takich grup powinny być sprzedawane gospodarce. Uczelnie wyższe wedle tej teorii są przedsiębiorstwami, których istnienie uzasadniają komercyjne zyski.

Reformatorzy nie zauważyli, że nastawienie na „umiędzynarodowienie" ugruntowuje naszą peryferyjność, jeśli owo „umiędzynarodowienie" staje się celem samym w sobie, a nie narzędziem do poprawy lokalnej, polskiej rzeczywistości. Uznanie komercjalizacji za misję instytucji naukowych niweczy niematerialne, ale dotychczas uznawane za fundament ich działalności, zadanie akademii: kształcenie elit. Nie żyjemy po to, żeby służyć interesom ekonomicznym, to gospodarka ma służyć ludziom. Co więcej, wyzbywanie się ewentualnych odkrywczych myśli poprzez oddawanie do nich praw zagranicznym podmiotom w zamian za udział w grancie nie wydaje się być zyskiem. Odnoszę wrażenie, że wielu decydentów, czy to z władz politycznych, czy akademickich, nie widzi nic niestosownego w postrzeganiu zasobów krajowych jako źródła eksploatacji, której owoce mają być spożywane zagranicą. Zwłaszcza że wiele z tych osób wysyła swoje dzieci do „bogatszych" krajów na studia, które mają być krokiem do lepszego życia na emigracji – dofinansowywanego jednak środkami pochodzącymi z Polski.

W Ustawie 2.0 wymienia się wśród celów instytucji akademickich kształcenie młodych pokoleń i kształtowanie postaw obywatelskich, ale to tylko hipokrytyczny kamuflaż przekonania, że akademia rozumiana jako jedno ze źródeł dobra wspólnego jest bezwartościowym przeżytkiem „czasów słusznie minionych". Jak rozumieć dobro wspólne, które wytwarzają instytucje akademickie? Właściwie mogę uznać za wystarczający przykład dobra wspólnego, które daje akademia, moją motywację do udziału w niniejszej ankiecie: nie otrzymam za ten tekst punktów, którymi pracodawca mierzy moją pracę i może mnie zwolnić, jeśli nie uzyskam odpowiedniej ich liczby, nie uzyskam też honorarium, dlaczego go zatem piszę? Otóż dlatego, że wierzę w społeczeństwo i we współpracę ludzi dobrej woli oraz w to, że myśli krytyczne mogą poprawić nasze wspólne życie, chociaż psują dobry humor zadowolonych z siebie zarządców i członków aparatu nadzoru. Dobro wspólne to krytyczny i twórczy udział ludzi akademii w życiu publicznym, to pomysły, komercyjne i niekomer-

cyjne, to troska o język i kulturę, to kształtowanie postaw lepszego życia ze sobą.

Tymi wartościami sztab ludzi tworzących ustawę Gowina wzgardził, ustanawiając celem działań uczelni wyższych sukces komercyjny badań. Powstaje jednak wątpliwość, w jaki sposób polskie instytucje naukowe mają ów rezultat osiągnąć w kraju, w którym zdemontowano przemysł, a gospodarka opiera się nie na innowacyjnych technologiach, ale na ofercie taniej siły roboczej. W jaki sposób w ten schemat ma się zwłaszcza wpisać humanistyka? Zdaniem zwolenników reformy najlepiej można zwiększyć wydajność badawczą polskich uczelni poprzez wprowadzenie w nich korporacyjnej struktury i uczynienie z rektora menadżera odpowiedzialnego za wyniki finansowe swojego przedsiębiorstwa. Ceną tej zmiany jest zniesienie znaczenia wydziałów. Dziekani stali się urzędnikami wskazywanymi przez rektora, odpowiedzialnymi za realizację jego polityki, a nie, jak przed reformą, wybieranymi przez społeczność gospodarzami wydziału, dbającymi o jego harmonijny rozwój. Bardzo osłabiono znaczenie rad wydziału, które na pewnych uniwersytetach wręcz zostały zlikwidowane. Tak stało się na mojej uczelni, gdzie nieobecność rad wydziału odczuwana jest przez wielu pracowników jako poważna, żywo odczuwana strata – pozbawiono nas forum, odebrano głos, ubezwłasnowolniono. Wspomnianą wcześniej i krytykowaną oligarchię – wpływowych profesorów kierujących katedrami – zastąpił często w szkołach wyższych sztab nominatów rektorskich, którzy podejmują decyzję po konsultacjach gabinetowych z niejawnie powołanymi zespołami doradców. Korporatyzacja uczelni zauważalna jest w zmianach języka, który sztywnieje od angielskich, a właściwie amerykańskich terminów i wykoślawionych zapożyczeń z tego języka celebrowanych z całym oddaniem bezmyślnego kultu. Od mówienia po polsku zarządom uczelni jak księciu Bogusławowi „wargi pierzchną". Lista przykładów jest smutna i długa, ograniczmy ją do dwóch przypadków. Oto *slot*, czyli „długi, wąski otwór, zwłaszcza taki, do którego wkłada się pieniądze". Amerykański wyraz metaforycznie użyty przez urzędnika ministerialnego dla określenia publikacyjnych zobowiązań pracowników naukowych jest odmieniany tysiące razy w akademickiej komunikacji ustnej i pisemnej, a naukowcy pasowani zostali na wypełniaczy otworów. W strukturze pewnych uczelni pojawił się dział HR, czyli *human resources*, który to organ troszczy się, jak to ujmują oficjalne dokumenty, o „zarządzanie zasobami ludzkimi". Ten termin to dobitny symbol zmian będących pokłosiem Ustawy. Skorporatyzowana uczelnia posiada zarząd zawiadujący zasobami materialnymi, z których wyodrębnia się ludzkie w zgodzie ze światłą myślą Marka Terencjusza Warrona z XVII rozdziału pierwszej księgi *O rolnictwie*: *instrumenti genus vocale et semivocale et mutum, vocale, in quo sunt servi, semivocale, in quo sunt boves, mutum, in quo sunt plaustra – są takie rodzaje narzędzi: mówiące, wpółmówiące i nieme. Do mówiących należą niewolnicy, do wpółmówiących woły, do niemych radła.*

Odrzucono zatem postulat społecznej misji akademii, a uczelnie zostały skolonizowane przez konkwistadorów „wolnego" rynku, dychawicznego, niedorozwiniętego i eksploatowanego przez „inwestorów". Co więcej, pozbyto się przekonania, że do zadań uczelni wyższych należy krytyczny namysł nad rodzimą i europejską kulturą, dbałość o kulturową edukację, troska o polszczyznę. W kraju będącym *de facto* kolonią oraz poligonem Stanów Zjednoczonych, gdzie system zbiorowej wyobraźni organizują prymitywizujące umysły odbiorców amerykańskie seriale i powieści o psychopatycznych katach, uniwersytety stosują Polglish przetykany wyrażeniami angielskimi jako „nowoczesny" kod komunikacyjny. Nakaz urynkowienia realizowany jest przez pogoń za grantami, z których środki w znacznej mierze transferowane są za granicę na opłacenie publikacji w „prestiżowych" wydawnictwach oraz innego rodzaju działania promocyjne. Uczelnie coraz częściej interpretują swoją rolę podmiotu rynkowego jako sprzedawcy produktu edukacyjnego: dbają o wizerunek marketingowy, reklamują się w mediach społecznościowych, na afiszach i banerach. Działania ostatniego typu są epitomą zagubienia akademii w świecie korporacji: zdarza się, że uniwersytet swoimi reklamowymi płachtami pokrywa ściany historycznych budynków w centrum miasta, a jednocześnie organizuje konferencje czy seminaria na temat dobrych praktyk codzienności. Sam skolonizowany przez misjonarzy rynku kolonizuje przestrzeń wokół siebie. A jednocześnie niszczy miejsca, które ułatwiały tworzenie więzi społecznych jak subwencjonowane stołówki. W imię efektywności finansowej zamyka się czytelnie i wypożyczalnie wydziałowe, przenosząc ich księgozbiory do biblioteki centralnej, przez co dostęp do książek jest radykalnie ograniczony. Zasoby ludzkie mają bowiem teksty pisać, aby wypełniać nimi otwory i dostawać za to punkty, ale nie muszą ich czytać, chyba że w zagranicznych bibliotekach podczas wyjazdów finansowanych z krajowych grantów.

Piszę te słowa, aby wyrazić sprzeciw wobec takiej akademii. I wierzę, że zmiany w dobrym kierunku są możliwe, bo decyzją polityków nie można zmienić ludzi. Bardzo wielu, a wręcz zdecydowana większość z nas, akademików, troszczy się o dobro wspólne i uważa, że rzeczą intelektualistów jest dobry namysł nad światem, troska o zachowanie nauki, która płynie z przeszłości, uczenie się i uczenie innych, jak ze sobą współpracować. Pomimo różnic potrafimy ze sobą rozmawiać. Rządy i polityka się zmieniają, a uniwersytet trwa. Naszym celem jest odbudowa akademii jako *sedes sapientiae* – siedziby mądrości, która gromadzi nauczycieli wszystkich ludzkim umysłem obejmowalnych dyscyplin nauki, aby kształcili elity umysłowe i etyczne, aby wyposażali te przyszłe elity w wiedzę do tworzenia coraz lepszego społeczeństwa i państwa ■.

Prof. dr hab. Tomasz Sapota – polski filolog klasyczny, latynista i literaturoznawca z Uniwersytetu Śląskiego. W polu jego zainteresowań badawczych znajduje się literatura rzymska, zwłaszcza okresu cesarskiego od czasów Oktawiana Augusta po przełom III/IV w. Jest autorem książek: *Magia i religia w twórczości Lucjusza Apulejusza z Madaury. Wpływy orientalne w literaturze rzymskiej II wieku n.e.* (2002), *Juwenalis* (2009). Wraz z prof. Iwoną Słomak opracował komentowane przekłady Seneki (*Trojanki. Troades*, 2016; *Edyp. Oedipus*, 2017), a także monografię *„Kobiety fenickie" Lucjusza Anneusza Seneki* (2019). Jest tłumaczem *Saturnaliów. Uczt i rozmów* (ks. 1–7) Makrobiusza (2019).

Upadek demokracji uniwersyteckiej

ALEKSANDRA NIEWIARA

De-demokratyzacja uczelni, osłabienie kolegialności zarządzania, centralizacja władzy – to określenia, które jako pierwsze przychodzą mi na myśl, gdy zastanawiam się nad pytaniem redakcji „Śląska" o ocenę skutków tzw. reformy 2.0, czyli konsekwencji wprowadzenia w życie ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce* z 2018 r., przez jej twórców pompatycznie nazywanej też „konstytucją dla nauki".

W XX i XXI w. mieliśmy w Polsce kilka ustaw o szkolnictwie wyższym (teksty są dostępne na stronie Sejmu RP https://isap.sejm.gov.pl/isap.nsf/). Już same daty ich opublikowania i wprowadzenia w życie uświadamiają, że nowelizacje powstawały w momentach dziejowych, co świadczy o randze, jaką w kształtowaniu społeczeństwa kolejne władze przypisywały szkołom wyższym. Pierwsza, *Ustawa o szkołach akademickich* licząca 14 stron, została opublikowana w 1920, a więc tuż po odzyskaniu niepodległości. Następne były wydawane odpowiednio: w 1951 po powstaniu PRL (7 s.), w 1958 w okresie poststalinowskiej „odwilży" (14 s.), w 1968 po rewolcie studenckiej i czystkach partyjnych (dziewięciostronicowa nowelizacja), w 1982 w stanie wojennym (opracowana jeszcze w czasach „Solidarności", licząca 22 strony), w okresie transformacji ustrojowej w 1990 (69 s.), po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2005 (130 s.) i wreszcie w 2018 (258 s.).

Ustawy noszą znamiona swoich czasów. Te z okresu PRL zawierają obowiązki „walki o pokój socjalizm" (1951), „kształcenia i wychowania młodzieży w duchu socjalistycznym" (1958), „budowania socjalizmu" (1968), „socjalistycznego wychowania studentów" (1982). W ustawie z 1951 r. w duchu wasalnej przyjaźni z ZSRR dostosowano nawet terminologię akademicką do radzieckiej, jako że „niższy stopień naukowy" został w niej określony rosyjskim terminem „kandydata nauk". Z kolei, coraz bardziej rozbudowana liczba paragrafów i stron następujących po sobie ustaw odzwierciedla stopniowy wzrost biurokratyzacji; szczególnie po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, realizującej model biurokratycznego państwa pruskiego.

W kontekście oceny ustawy z 2018 r. najważniejsze są jednak rozwiązania dotyczące ustroju uczelni, ich organów i sposobu ich powoływania. Widać, że w burzliwej historii ostatnich stu lat ścierały się pod tym względem dwie wizje szkół wyższych: demokratyczna, szanująca wewnętrzną i zewnętrzną autonomię uczelni, z autorytarną i uzależniającą funkcjonowanie szkół wyższych od władzy politycznej. Tę pierwszą realizują ustawy z lat 1920, 1958, 1982, 1990 i 2005. Przewidują one istnienie mających określone prawa ciał kolegialnych: senatu i rad wydziału (we wszystkich z wymienionych ustaw). Jednoznacznie regulują zasady wyboru i odwoływania rektora (we wszystkich) przez senat bądź kolegium elektorów; dziekana (we wszystkich) przez rady wydziału, a także prorektorów oraz i prodziekanów (w ustawach z 1982, 1990, 2005). Istotę zarządzania uczelnią w takim modelu dobrze oddaje artykuł ustawy z 1990 r.: „Społeczność akademicka uczestniczy w zarządzaniu uczelnią przez wybieralne organy kolegialne i jednoosobowe". W świetle wymienionych ustaw kolegialność, samorządność, obieralność władz na wszystkich szczeblach, system elekcyjny tworzyły demokratyczną wewnętrzną autonomię szkół wyższych.

Z przeciwstawnym modelem mamy do czynienia w ustawie z 1951 r. i w przepisach opublikowanych w grudniu 1968, stanowiących nowelizację ustawy z 1958. W obu dokumentach kolegialność zarządzania, zewnętrzna i wewnętrzna autonomia uczelni, w tym prawo społeczności akademickiej do wybierania (i odwoływania) władz zostały zniwelowane. Według prawa z 1951 i 1968 r. rektora i prorektorów mianował minister szkolnictwa, dziekanów mianował rektor. Nowela z 1968 r. w odniesieniu do składu senatu zniosła wcześniejsze przepisy (z 1958r.) dotyczące uczestnictwa w nim przedstawicieli pracowników samodzielnych, wykładowców, pomocniczych pracowników nauki, wybieranych przez rady wydziału lub „ogólne zgromadzenia" pracowników. W skład senatu wchodzili wówczas mianowani przez ministra: rektor, prorektorzy, mianowani przez rektora dziekani, po jednym przedstawicielu każdego wydziału (jednak brak przepisów mówiących o zasadach ich doboru), a dodatkowo także sekretarz komitetu uczelnianego PZPR czy kierownik studium wojskowego. Faktycznie, ostateczną instancją w sprawach działalności uczelni był mianowany przez ministra rektor. Rolę rad wydziału określało się jedynie jako doradczą i opiniodawczą. Namiastkę kolegialności stanowiły powoływane przez rektora „stałe komisje do spraw badań naukowych, rozwoju kadry naukowo-dydaktycznej oraz inne stałe i doraźne komisje. Zadaniem komisji jest [było – A.N.] przygotowanie spraw do decyzji rektora" (1968, art. 31.).

Jak na tym tle przedstawia się ustawa z 2018? Niestety, niecieka-wie. Nie przewiduje się w niej zbyt daleko posuniętych ekscesów demokracji. Społeczność akademicka wybiera dziś rektora, ale już nie prorektorów, nie dziekanów i prodziekanów, których dobiera i mianuje rektor. Prawo w uczelni stanowi rektor i wybieralny senat, ale według litery prawa nie przewiduje się już w strukturze uczelni dawniej bardzo ważnego ciała kolegialnego: rady wydziału. Władza została tym samym skumulowana na górze.

W pewnym sensie mamy tu więc do czynienia z wariantem elitarystycznie pojmowanej demokracji pionowej. Politolog Radosław Markowski w książce „Demokracja i demokratyczne innowa-

cje" obrazowo charakteryzuje ten model w odniesieniu do rządów w państwie, pisząc: *„na dole" niezbyt wyrafinowany suweren, głównie ze względu na swe intelektualne ograniczenia, musi cedować swe decyzyjne uprawnienia „do góry", elitom, które w jego imieniu podejmują decyzje polityczne.* Problem w tym, że w przypadku uczelni wyższych „na dole" znajdują się uczeni, nauczyciele akademiccy, a więc – elita społeczeństwa, kształtująca wciąż nowe pokolenia nowych elit. „Dół" w tym wypadku nie tylko nie chce, ale i nawet nie powinien godzić się na to, by sprawy dotyczące funkcjonowania uczelni w jej wszelakich wymiarach pozostawały nie w rękach badaczy i wykładowców ukonstytuowanych w kompetentne i wyposażone w prawne prerogatywy ciała kolegialne, ale w rękach „góry", czyli stosukowo niewielkiego grona osób, pośród których najważniejszą rolę odgrywają nie wybierani, lecz arbitralnie mianowani przez rektora urzędnicy.

Oczywiście zarzut odejścia od demokratycznych standardów jest przez zwolenników i beneficjentów ustawy 2.0 przyjmowany z oburzeniem. Podnosi się nienowoczesność starych profesorów i wierzy się, że młodzi pracownicy nie pragną kolegialności i dobrze postrzegają swój los w rękach sprawiedliwie zarządzających korporacją uniwersytecką nominatów. Czy tak rzeczywiście jest? Chyba nie. Ponad połowa polskich uczelni publicznych, postępując wbrew literze nowego prawa z 2018 r., wpisała jednak do swoich statutów rady wydziału. Mają one wprawdzie bardzo ograniczone kompetencje, ale przy poszanowaniu tradycji i wartości akademickich przez rektorów zachowują co najmniej status ciał opiniodawczych. W innych uczelniach pracownicy w różnoraki sposób wyrażają sprzeciw wobec nowego prawa. Znany jest list otwarty profesorów UMCS z 2019 r. protestujących przeciwko niedemokratycznym zapisom w statucie ich uczelni. Na Uniwersytecie Śląskim zawiązała się w grudniu 2022 r. Otwarta Trybuna Wydziału Humanistycznego, zrzeszająca nauczycieli akademickich, badaczy, przedstawicieli administracji, której najważniejszym postulatem skierowanym do władz jest przywrócenie rad wydziału gwarantujących demokratyczne współtworzenie uniwersytetu przez pracowników. Rodzą się nowe związki zawodowe: Inicjatywa Pracownicza, Międzyuczelniany Związek Pracowników Nauki. Pojawiają się publikacje w czasopismach w „Forum Akademickim", w krakowskich „Arcanach", teraz w „Śląsku", podnoszące zagadnienie wielorakich negatywnych skutków „reformy Gowina" dla nauki i nauczania. Wszystkie te działania wyrastają z poczucia braku demokracji, wspólnotowości, podmiotowości.

Trzeba podkreślić, że nie dotyczy to tylko polskich środowisk akademickich czy polskiego szkolnictwa. Proces określany jako zmiana od demokratycznego do menadżerskiego zarządzania uczelniami zachodzi bez mała na całym świecie i wszędzie jest też krytykowany. Fińska ustawa T*he Universities Act* z 2009 r. jest przedstawiana jako „antydemokratyczna transformacja", przekształcająca wspólnotę nauczycieli i studentów w „instytucję gospodarczą i zarządczą", „strategicznie realizującą wskaźniki wydajności", nie nastawioną ani na wspólnotowość, ani nawet na komunikację między pracownikami i władzą, czyli właściwy przepływ informacji od góry w dół i odwrotnie (https://www.tandfonline.com/doi/full/10.1080/02680939.2020.1846080).

W ujęciu globalnym patrzy na „menadżeryzm" profesor holenderskiego uniwersytetu w Nijmegen Henk van Houtum, określając go jako chorobę autoimmunologiczną, „samookalaczającą to, co ma rzekomo chronić", przytacza przykłady strajków pracowników uczelni w Wielkiej Brytanii, manifestacji w Holandii oraz w innych krajach, krytycznych dyskusji we Francji (https://journals.sagepub.com/doi/10.1177/1350508420975347). Nawet bardziej przyzwyczajeni do menadżerskiego stylu zarządzania wyższymi uczelniami akademicy amerykańscy także konstatują z niechęcią wzrost „wszechobecnej administracji", która swą liczebnością paradoksalnie przewyższa liczbę wykładowców, rekrutuje się z osób częstokroć niemających nawet wystarczająco wysokich kwalifikacji we własnej dziedzinie, ale delegowanych do rozwiązywania kwestii związanych z nauką i nauczaniem na całym uniwersytecie. Negatywnie ocenia się upadek roli mniejszych jednostek: wydziałów i ich wpływu na tworzenie właściwych warunków pracy w uczelni (Benjamin Ginsberg, *The Fall of the Faculty: The Rise of the All-Administrative University*).

Mówi się coraz częściej o kryzysie uniwersytetu, diagnozuje, iż wynika on z faktu, że szkoły wyższe przestały być głównymi twórcami i dostarczycielami wiedzy, poszukuje się przyczyn w skokowej rewolucji świata cyfrowego. A może warto spojrzeć na to inaczej? Może kryzys wynika z tego, że uczonym, nauczycielom akademickim, studentom odebrano Akademię, oddano ją w ręce zliczających punkty urzędników, handlarzy skoncentrowanych na sprzedaży marki i opuszczono, uznając, że w tak sprawnych i skutecznych rękach jakoś przetrwa. Nie mam wątpliwości, że przetrwa: w każdej naszej z oddaniem i pasją prowadzonej pracy naukowej, w każdym naszym spotkaniu z łaknącymi wiedzy studentami. Ale musi przetrwać także jako wyjątkowa, wzorcowa dla innych instytucja. I to od nas zależy, czy znajdziemy w sobie dość determinacji, by ustanowić w niej takie prawa, jakich chcemy – oparte na szacunku dla wiedzy, prawdy, wolności, równości, prawa do samostanowienia ■.

Prof. dr hab. Aleksandra Niewiara – językoznawczyni w Uniwersytecie Śląskim. W polu jej zainteresowań badawczych znajdują się lingwistyka kulturowa, semantyka i pragmatyka, szczególnie w ujęciu historycznym oraz na tle porównawczym języków słowiańskich i indoeuropejskich, językoznawstwo kognitywne, zagadnienia pamięci zbiorowej. Trzon jej badań stanowi opis przekształceń polskich stereotypów narodowych, w tym: autostereotypu i jego związków z tożsamością wspólnoty, które są rekonstruowane na podstawie prywatnych dokumentów polskiej szlachty od XVI do XX w. Jest autorką książek *Wyobrażenia o narodach w pamiętnikach i dziennikach z XVI-XIX wieku* (2000); *Moskwicin – Moskal – Rosjanin w dokumentach prywatnych. Portret* (2006); K*ształty polskiej tożsamości. Potoczny dyskurs narodowy w perspektywie etnolingwistycznej (XVI-XX wiek)* (2009, 2010) *Imagologia – pamięć zbiorowa – umysł i kultura* (2019). Jest współautorką (z prof. Aleksandrą Janowską) *Szkolnego słownika terminów gramatycznych* (2001).

Eksplozja scenicznej energii

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Polska prapremiera musicalu „TOOTSIE" okazała się ekscytującym wydarzeniem artystycznym. Rozmach inscenizacyjny komedii, inspirowanej pamiętnym filmem Sydneya Pollacka z Dustinem Hoffmanem w roli głównej (1982), wywarł spore wrażenie na publiczności zgromadzonej w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Spektakl w reżyserii Magdaleny PIEKORZ jest – bez cienia przesady – prawdziwą perełką sceniczną w dorobku istniejącej od blisko 40 lat śląskiej placówki spod znaku Melpomeny.

Źródłem inspiracji dla twórców chorzowskiego widowiska była amerykańska opowieść filmowa o bezrobotnym aktorze, który w odruchu desperacji postanowił przebrać się za kobietę, aby dzięki temu otrzymać wreszcie upragnioną rolę w tzw. „operze mydlanej". W kobiecym wcieleniu stał się sławny, ale artystyczna mistyfikacja przysporzyła mu poważnych kłopotów w życiu osobistym.

Film sprzed kilkudziesięciu lat zrobił furorę na całym świecie. Został nominowany w aż 10 różnych kategoriach w zaciętym wyścigu do prestiżowych Oscarów. Statuetkę otrzymała ostatecznie tylko Jessica Lange za drugoplanową rolę kobiecą (Julie Nichols), ale tak naprawdę Dustin Hoffman był bezsporną gwiazdą kasowego dzieła amerykańskiej kinematografii.

Warto przy okazji odnotować, że filmowe przebieranki mężczyzn wcielających się w postacie kobiece nie pojawiły się bynajmniej dopiero w kinie lat osiemdziesiątych XX wieku. Wystarczy przypomnieć choćby klasyczne dzieło komediowe „Pół żartem, pół serio" w reżyserii Billy'ego Wildera z 1959 roku. Czarno-biały film z udziałem Marylin Monroe, Tony'ego Curtisa i Jacka Lemmona z pogranicza kryminału i zwariowanej farsy przeszedł do historii światowego kina.

Rozpędzona „ciuchcia"

Dustin Hoffman był pomysłodawcą charakterystycznego tytułu „Tootsie". Takie imię nosił pies ukochanej matki aktora. Słowo to w języku angielskim oznacza „ciuchcię" – zabawkę dla chłopców zafascynowanych miniaturowymi kolejkami. Bohater filmu przypominał w istocie rozpędzoną lokomotywę, której nic nie zatrzyma – ani wymogi zdrowego rozsądku, ani dobre rady przyjaciół.

Szaleńcza jazda gnającej niebezpiecznie „ciuchci" nabiera coraz większego tempa, grożąc wypadnięciem z torów na kolejnym wirażu.

Musicalowa wersja „Tootsie" na deskach chorzowskiego teatru nie jest jednak wierną kopią oryginału. Autorzy libretta scenicznego widowiska **Roberta Horna** w finezyjnym tłumaczeniu **Daniela Wyszogrodzkiego** (zarazem dziennikarza muzycznego, który zasłynął w swoim czasie erudycyjnymi książkami o dziejach zespołu rockowego The Rolling Stones), przenieśli akcję do współczesności, na ulice tętniącego życiem Nowego Jorku.

Główny bohater, Michael Dorsey, bierze udział w castingu do roli… niani w teatralnej wersji „Romea i Julii", a nie w rywalizacji związanej z telewizyjną „operą mydlaną". W efekcie powstaje swoisty „teatr w teatrze", co momentami pociąga za sobą rozrywkowe konsekwencje. Nie brakuje fantastycznej zabawy i niespodziewanych zwrotów akcji, obfitującej w ciągłe przebieranki sceniczne.

Gdy Michael przeistacza się w Dorothy, przepełnia go duma. Do tego stopnia identyfikuje się z graną przez siebie postacią, że zaczyna myśleć i odczuwać jak kobieta. Mało tego – oburzają go wszelkie przejawy dyskryminacji i złego traktowania kobiet. W niektórych chwilach fabuła musicalu przeobraża się wręcz w ekspresyjny manifest feministyczny. Frywolne dialogi bohaterów przedstawienia dodają całości pikantnego smaczku, a głośne salwy spontanicznego śmiechu na widowni potęgują jego ucieszny charakter (warto dodać, że komedia jest przeznaczona dla widzów od 14 roku życia).

Pod batutą perfekcyjnego dyrygenta

Wyróżnikiem dwuaktowego spektaklu są liczne piosenki **Davida Yazbeka**. Ich teksty zostały również przetłumaczone przez Daniela Wyszogrodzkiego. Amerykański muzyk, kompozytor i pisarz dał się poznać z wielu przebojowych musicali wystawianych z powodzeniem na nowojorskim Broadwayu. Melodyjne brzmienie jego utworów ma niemały wpływ na ciepłą atmosferę „Tootsie".

Chorzowscy widzowie mogą się o tym przekonać za sprawą orkiestry grającej pod batutą **Michała Jańczyka**, znakomitego dyrygenta, a także trębacza, pianisty, kompozytora i aranżera.

Oprawa muzyczna przedstawienia jest jego cennym atutem. W zespole zwraca uwagę perfekcyjna sekcja instrumentów dętych. Śpiewający aktorzy mają solidne wsparcie instrumentalne. A trzeba koniecznie wspomnieć, że nie w każdym teatrze muzycznym występuje takie oczywiste – wydawałoby się – zjawisko.

Artystyczne wizytówki

Niektóre role w spektaklu są majstersztykiem sztuki aktorskiej, w czym naprawdę nie ma ani grama przesady. Z jak najlepszej strony prezentują się: **Hubert Waljewski** (jako Michael Dorsey, a zarazem Dorothy Michaels), **Katarzyna Hołub** (postać rozdartej uczuciowo Julii), **Jakub Wróblewski** (we wcieleniu Jeffa, przyjaciela głównego bohatera) oraz **Marek Chudziński** (odtwórca roli Maxa, zabiegającego o względy Dorothy). Kostiumy zaprojektowane przez **Lidię Kanclerz** uwypuklają ich artystyczne kreacje. A odtwórcy pozostałych ról wcale nie ustępują im znacząco pod względem umiejętności aktorskich. Artystyczny poziom całego zespołu teatru wydaje się mocno wyrównany.

Imponuje rozmach realizacyjny „Tootsie". Obrotowa scena chorzowska umożliwia częste zmiany sytuacji scenicznych, co gwarantuje utrzymanie żywego tempa całej komedii przeradzającej się chwilami w żywiołową farsę. Scenografia **Grzegorza Policińskiego** i reżyseria świateł **Pawła Murlika** podkreślają zaś amerykański rodowód musicalowej opowieści z Broadwayu.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje choreograficzna oprawa spektaklu. To dzieło **Jakuba Lewandowskiego,** wybitnego twórcy wielu autorskich przedstawień teatru tańca, stypendysty renomowanej placówki francuskiej – Centre Choregraphique Mathilde Monnier National de Montpellier. Popisy grupy baletowej pod jego choreograficznym okiem są eksplozją scenicznej energii.

Takich właśnie twórców przedstawienia dobrała sobie **Magdalena Piekorz**, czuwająca z werwą nad finalnym kształtem artystycznym „Tootsie". W minionych latach reżyserowała ona spektakle w teatrach Bielska-Białej, Częstochowy, Katowic, Krakowa i Warszawy. Bez większych obaw o popełnienie błędu można zaryzykować śmiałą opinię, że jej najnowsze dzieło nie zejdzie z afisza przez długi czas w Chorzowie! ■

Polska prapremiera musicalu „TOOTSIE" Davida Yazbeka i Roberta Horna w Teatrze Rozrywki w Chorzowie – 19 maja 2023. Reżyseria spektaklu – Magdalena Piekorz.



fot. Artur Wacławek

Sceny z „Tootsie" w chorzowskim Teatrze Rozrywki, polska prapremiera 19 maja 2023



